Najnowsza powieść autora ***Marymonckich młynów***,
Dnia sznura oraz ***Zakonu Świętego Brutusa***

PREMIERZY

ADAM

PODLEWSKI

ADAM

PODLEWSKI

PREMIERZY

SKARPA WARSZAWSKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Poczet bojowców polskich

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część pierwsza, „Kurier Tokijski”, *12 grudnia 1908 roku*

Sen towarzysza Ziuka

AP, Rady dla przyjezdnych, część pierwsza, „Codziennik Wileński”, *19 września 1908 roku*

Prace towarzysza Ziuka, *19 września 1908 roku*

Prace towarzysza Katajamy, *19 września 1908 roku*

Prace towarzysza Siłacza, *19 września 1908 roku*

Prace towarzysza Gustawa, *19 września 1908 roku*

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część druga, „Kurier Tokijski”, *13 grudnia 1908 roku*

Sen towarzysza Ziuka II

Prace Bożydara Trudnika, *19 września 1908 roku*

Akcja pod Bezdanami, 19 września 1908 roku, towarzysz Ziuk

Akcja pod Bezdanami, 19 września 1908 roku, towarzysz Katajama

Akcja pod Bezdanami, 19 września 1908 roku, towarzysz Siłacz

Akcja pod Bezdanami, 19 września 1908 roku, towarzysz Gustaw

Akcja pod Bezdanami, 19 września 1908 roku, posłowie

AP, Rady dla przyjezdnych, część druga,
„Codziennik Wileński”, *24 września 1908 roku*

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część trzecia,
„Kurier Tokijski”, *14 grudnia 1908 roku*

Sen towarzysza Ziuka III

Rekreacje towarzysza Ziuka, *24 września 1908 roku, około południa*

Rekreacje towarzysza Ziuka, *24 września 1908 roku, tuż po południu*

Interludium (nie pierwsze, ale pierwsze oficjalnie)

Rekreacje towarzysza Ziuka, *24 września 1908 roku, wciąż tuż po południu (bo przecież to całe wspomnienie zabrało Józefowi ledwie chwilę) i dużo później*

Tajemne przygody towarzysza Ziuka, *25 września 1908 roku, późnym wieczorem*

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część czwarta, „Kurier Tokijski”,
15 grudnia 1908 roku

AP, Rady dla przyjezdnych, część trzecia,
„Codziennik Wileński”, *25 września 1908 roku*

Prace towarzysza Ziuka, *26 września 1908 roku*

Prace towarzysza Katajamy, *26 września 1908 roku*

Prace towarzysza Siłacza, *26 września 1908 roku*

Prace towarzysza Gustawa, *26 września 1908 roku*

Prace Bożydara Trudnika, *26 września 1908 roku*

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część piąta, „Kurier Tokijski”, *16 grudnia 1908 roku*

Akcja pod Bezdanami (teraz już na serio), towarzysz Ziuk, *26 września 1908 roku*

Akcja pod Bezdanami (teraz już na serio), towarzysz Gustaw, *26 września 1908 roku*

Akcja pod Bezdanami (teraz już na serio), towarzysze Katajama i Siłacz, *26 września 1908 roku*

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część szósta,
„Kurier Tokijski”, *17 grudnia 1908 roku*

AP, Rady dla przyjezdnych, część czwarta,
„Codziennik Wileński”, *26 września 1908 roku*

Najgorszy kurs Bożydara Trudnika, *26 (i trochę 27) września 1908 roku*

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część siódma, „Kurier Tokijski”, *18 grudnia 1908 roku*

Prace towarzyszy spod Bezdan, część ostania w tej powieści, ale nie ostatnia w ogóle

„Wileńskie Wieści Drobne”, *28 września 1908 roku*

Sen towarzysza Ziuka

AP, Rady dla przyjezdnych, część piąta, „Codziennik Wileński”, *28 września 1908 roku*

Akcja pod Bezdanami, posłowie metafizyczne

Redakcja
Paweł Wielopolski

Korekta
Magdalena Świerczek-Gryboś

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcia wykorzystane na okładce
© Benis Vdovin/Unsplash

Skład i łamanie
Marcin Labus

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023
© Copyright by Adam Podlewski, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83290-60-7

Wydawca
Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Ponieważ za każdym poważnym dziełem mężczyzny stoi jakaś Aleksandra, książkę tę dedykuję mojej wspaniałej Żonie Oli, bez której pisanie latem i jesienią 2022 roku byłoby niemożliwe – AP

Poczet bojowców polskich

Arciszewski, Tomasz Stefan (1877–1955), pseudonim „Antoni", „Ludwik", „Siłacz" – postać autentyczna. Jeden z założycieli OBPPS (Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej).

Balaga, Jan (1882–1909), pseudonim „Stefan" – postać autentyczna. Członek OBPPS.

Brzeszczot-Lepiszcze, Regina (1887–1952?), pseudonim „Anastazja" – postać fikcyjna. Działaczka prawdziwej Polskiej Partii Socjalistycznej, żona członka OBPPS, Janusza Lepiszcze, również postaci fikcyjnej. Wnuczka bohatera powstania listopadowego i styczniowego Barnaby Brzeszczota (takoż fikcyjnego).

Brzycki, Paweł (1888–1926?), pseudonim „Brzytwa" – postać fikcyjna. Farmaceuta, członek OBPPS.

Dobosz, Maciej (1889–1926?), pseudonim „Bęben" – postać fikcyjna. Muzyk, członek OBPPS.

Fijałkowski, Jan (1886 – zm. po 1938), pseudonim „Figiel", „Ryszard" – postać autentyczna. Członek OBPPS.

Gibalski, Edward Michał (1886–1915), pseudonim „Franek" – postać autentyczna. Telegrafista, członek OBPPS.

Krzenica, Waldemar (1887–1939), pseudonim „Ogień" – postać fikcyjna. Członek OBPPS.

Lepiszcze, Janusz (ur. ok. 1885 – zm. po 1918), pseudonim „Ostry" – postać fikcyjna. Członek prawdziwej OBPPS. Mąż fikcyjnej Reginy Brzeszczot-Lepiszcze. Odkrywca równie fikcyjnego tunelu pod Wisłą między Cytadelą a Fortem Jasińskiego. Wnuk bohatera powstania listopadowego i styczniowego, Leona Lepiszcze (takoż fikcyjnego).

Lutze-Birk, Aleksander Wilhelm (1878–1974), pseudonim „Stefan", „Dynamit Piroksilinowicz" – postać autentyczna. Inżynier, członek OBPPS.

Okrzeja, Stefan (1886–1905) pseudonim „Witold", „Ernest" – postać autentyczna. Członek OBPPS, schwytany przez policję w trakcie zamachu na cyrkuł policyjny na Pradze i stracony 21 lipca 1905. Męczennik Polskiej Partii Socjalistycznej.

Piłsudski, Józef Klemens (1867–1935), pseudonim „Ziuk", „Wiktor" – postać autentyczna. Przywódca Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej.

Prystor, Aleksander Błażej (1874–1941), pseudonim „Katajama", „Bogdan" i „Rafał" – postać autentyczna. Jeden z założycieli OBPPS.

Prystor, Janina Amelia (1881–1975), pseudonim „Bogdanowa", „Taterska" – postać autentyczna, choć nie jesteśmy pewni jej drugiego pseudonimu. Działaczka Polskiej Partii Socjalistycznej. Żona towarzysza Katajamy.

Sawa-Sawicki, Jerzy (1886–1922), pseudonim „Sawa" – postać autentyczna. Członek OBPPS.

Sławek, Walery Jan (1879–1939), pseudonim „Gustaw", „Soplica" – postać autentyczna. Jeden z najbliższych współpracowników towarzysza Ziuka.

Szczerbińska, Aleksandra (1882–1963), pseudonim „Morska" – postać autentyczna, choć nie jesteśmy pewni jej pseudonimu. Działaczka Polskiej Partii Socjalistycznej. Późniejsza żona towarzysza Ziuka.

Świrski, Czesław (1884–1973), pseudonim „Adrian" – postać autentyczna. Członek OBPPS.

Wojciechowski, Wojciech (1890 – zm. ok. 1965), pseudonim „Wojtek" – postać fikcyjna, członek OBPPS.

Zakrzewski, Czesław (ur. ok. 1980 – zm. po 1908), pseudonim „Czesław" – postać autentyczna (ale tak tajemnicza, że niemal fikcyjna). Członek OBPPS.

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część pierwsza, „Kurier Tokijski”, 12 grudnia 1908 roku

Szanowni Czytelnicy, na prośbę Redaktora Naczelnego, ja, Kobayashi Osamu, specjalny wysłannik „Kuriera Tokijskiego” do krajów Europy, spisuję moją relację z podróży po Imperium Rosyjskim, a zwłaszcza jego zachodnich rubieżach. W związku z niezwykłym zainteresowaniem wydarzeniami z września bieżącego roku przygotowałem swój, mam nadzieję bezstronny, raport o mojej podróży, spotkaniu z prawdziwymi polskimi terrorystami i przetrwaniu napadu na pociąg Północno-Zachodnich Dróg Żelaznych.

Być może Szanowni Czytelnicy pamiętają moją serię artykułów o polskim ruchu wywrotowym i niepodległościowym, z którego przedstawicielami miałem okazję rozmawiać w roku 1904. Jeśli nie, serdecznie zachęcam do sięgnięcia po dawne numery naszej gazety. W wielkim tym czasie, gdy boska wola Cesarza i mądrość naszych generałów wskazały, by ku osiągnięciu trwałego pokoju, na czas krótki trzeba wydać państwu rosyjskiemu wojnę, sprawy zbrojne zdominowały prasowe doniesienia. Jednak pośród tysięcy i milionów oczu, skierowanych na naszą Słodką Ojczyznę, znalazły się też oczy Polaków, członków niegdyś wielkiego, dziś upadłego państwa, którzy od ponad wieku dążą do zrzucenia jarzma rosyjskiej niewoli. Choć tłumaczenie wszelkich zawiłości w ruchach polskich buntowników może okazać się zbyt nudne, warto przeczytać raz jeszcze moje rozmowy z polskimi konspiratorami, aby nabrać choć ogólnej wiedzy w sprawach zachodnich i rosyjskich.

Jak się zresztą okazało, w wydarzenia z września bieżącego roku zamieszani byli ci sami ludzie, którzy odwiedzili naszą stolicę cztery lata temu.

W tym trudnym czasie, w którym ich gnębiciel, Rosja, przeżywał kryzys, ale też zaciskał palce na polskiej szyi, bojownicy ci poczuli prawdziwą desperację. Z honorowych żołnierzy, chcących iść na uczciwą wojnę, stali się prawdziwymi terrorystami, wrogami publicznej harmonii i krajowego pokoju, o co zresztą władze carskie oskarżały ich od niepamiętnych czasów. Nim jednak wydacie wyrok na tych groźnych desperatów, przeczytajcie proszę moją relację z niezwykłej podróży przez zachodnie gubernie Rosji i oceńcie sami, czy walka o kraj piękny, ale dziki, warta jest kroków tak gwałtownych jak te podjęte przez człowieka zwanego towarzyszem Z.

Sen towarzysza Ziuka

Mara wyglądała za każdym razem podobnie, ale różniła się w szczegółach. Te szczegóły zmieniały się w sposób bardzo naturalny, gdyż Józef nie dość, że nigdy nie był w soborze Świętej Trójcy, to właściwie jego noga nigdy nie postała w Warszawie. Znał ją dobrze z opowieści stołecznych towarzyszy, a o samym soborze, dawnym kościele pijarskim, słyszał wiele razy od Ignacego. To on też czasem był przewodnikiem Józefa w tej dziwnej drodze i bratem w gwałtownym końcu sennego marzenia. Tym razem jednak Ziuk szedł sam.

Pod nosem nucił tę uliczną przyśpiewkę, którą kiedyś zaśpiewał mu Mościcki. Były to chwile, w których nie dość, że sam pałał gorącą nienawiścią do znaków prawosławnej wiary, to jeszcze czuł żal i furię katolicką, wspominając pijarską przeszłość świątyni. Choć niby już od lat kilkunastu nie poddawał się papistowskiej propagandzie („Ech, Mario, Mario, przez ciebie same kłopoty", wzdychał niemo, myśląc o żonie, dla której porzucił wiarę ojców), w tym śnie zupełnie szczerze deklarował:

Poczekajcie no kopułki,
Przyjdą jeszcze z Francji pułki,
My nie chcemy obcej wiary,
Wróci nasza i pijary!

Wchodził więc do soboru, co dziwne przez nikogo nie niepokojony. W owym śnie miał na sobie znienawidzony mundur rosyjski, a wąsy wypomadowane i zawinięte jak u Stołypina, piekielnika, premiera, co te wąsiska chyba we krwi dobrych bojowców maczał. „Rany boskie, ja nigdy nie zostanę premierem – powtarzał Józef, a potem wracał do swojej sennej mantry: – *Poczekajcie no kopułki*..."

Minął siedzące w ławach damy, żony, córki i siostry urzędników. Minął wyfrakowanych mężczyzn, którzy jednak zdawali się nic nieznaczącymi dekoracjami prawosławnego spektaklu. Przed samym ikonostasem znajdowały się te najważniejsze ławki. Tak naprawdę siedział tam generał Hurko i jego świta, czasem kilku jeszcze oficerów z garnizonu. Ale w śnie jak to w śnie: Józef widział nie tylko nieżyjącego przecież już generała gubernatora warszawskiego, ale jeszcze z dziesięciu wyższych tuzów, w tym kogoś, kto wyglądał jak admirał Aleksiejew i generał Kuropatkin.

„O, dobry łup będzie!" – pomyślał śpiący Ziuk i przyspieszył kroku.

Pod mundurem trzymał dwa słoiki z nitrogliceryną, w dłoni dzierżył rączkę kwasowego detonatora. Śmiało podszedł do ławki z rosyjskimi oficerami i bez pardonu wepchnął się na siedzenie tuż obok udekorowanego admirała.

– Co się pchasz, Lachu? – zapytał skompromitowany wilk morski. – Nawet w świątyni nie dacie spokoju...

– Ja tylko na chwilę... – bąknął Józef, pokazując rączkę zapalnika.

Admirał, widocznie rozumiejąc prawidła zamachu terrorystycznego, skinął głową i powrócił do śpiewania nabożnej pieśni. A Ziuk, choć siedział w jednej ławie z admirałem, generałem i martwym gubernatorem Warszawy, międlił w dłoni spust detonatora, ale nie mógł go wcisnąć.

– No dalej, wciskaj! – krzyknął do niego pop, który miał twarz Ignacego Mościckiego.

– No coś nie idzie! – wystękał Józef.

– Cisza! – syknął admirał Aleksiejew. – Ludzie się tu modlą!

– Już, przepraszam! – odparł Ziuk, kolejny raz wciskając spust detonatora.

– Czy to problemy ze spełnieniem aktu? – zapytał wąsaty adiutant gubernatora, który miał twarz jakby żywcem zdjętą z wiedeńskiego lekarza, ucznia Freuda, u którego bywali czasem po pijaku.

– Nie, tylko mi się zacięło! – odparł Józef, uderzając detonatorem o krawędź ławki.

– To jakaś farsa! Wy, Lachy, nawet wysadzić się nie… – zaczął martwy gubernator Hurko, ale przerwał mu huk eksplozji.

Wnętrze cerkwi zajaśniało niebiańskim blaskiem wybuchu nitrogliceryny. Zamiast fali gorąca i bólu Ziuk poczuł tylko elektryzujące doznanie w całym ciele, podobne do tego paraliżu, który ogarnia źle zgiętą nogę na jadącym godzinami wozie.

– No, wreszcie to zrobiłeś! – zawołał niewidoczny pop Mościcki. – Ty poświęciłeś życie dla ojczyzny, abym ja stał się gigantem nauki i służył sprawie narodowej przez odkrycia i patenty.

– Cisza! – rzucił ponownie teraz już pod dwakroć martwy gubernator Hurko. Ale Józef nie zdążył mu odpowiedzieć, gdyż się obudził.

AP, Rady dla przyjezdnych, część pierwsza, „Codziennik Wileński”, 19 września 1908 roku

Szanowni Czytelnicy, zapewne dotarły do was sensacyjne doniesienia o serii napadów na pociągi, które wydarzyły się tego lata po całym Imperium. Wedle prasy z guberni centralnych i wschodnich liczne organizacje socjalistyczne i nacjonalistyczne atakowały wagony pocztowe w akcjach rabunkowych, które sami napastnicy nazywają „akcjami ekspropriacyjnymi” lub krócej „eksami”. Może tak jest na północy i na wschodzie, ale pomysł, by podobne złodziejskie operacje odbywały się na Wileńszczyźnie, można uznać za zupełnie fantastyczny.

Wbrew pozorom, rozsiewanym przez płoche powieści sensacyjne, napaść na pociąg – nie daj Boże! – z wagonem pocztowym i eskortą żandarmerii zadaniem jest niezwykle karkołomnym, a żadna organizacja wywrotowa, która działa obecnie na terenie Imperium, nie posiada dość sił, woli ani umiejętności, aby podobny zamach przeprowadzić.

I jakiż to plan mogliby podobni desperaci przeprowadzić? Zapewne wybraliby pociąg przewożący odpowiednią sumę pieniędzy z podatków lub sprzedaży rządowych obligacji. Wyobraźmy sobie taki skład jadący z Warszawy do Petersburga, w którym dopięty jest wagon pocztowy z sejfem i składem żandarmerii dla osłony. Obrabować go podczas jazdy nie sposób. Wagony te nie jeżdżą jako ostatnie, odpiąć ich w drodze nie da rady. Walka ze strażą skończyć się musi katastrofą nawet dla licznego oddziału bandytów, jako że w wąskich przejściach między wagonami tylko jeden lub dwóch ludzi strzelać się może. Jeśli zaś wagon pocztowy podpięty jest tuż za lokomotywą, atakujący nie mogą nawet zaskoczyć żandarmów z dwóch

stron. Wysadzenie wagonu zagrażałoby bytowi całego pociągu, a na to nawet najbardziej zatwardziali bojowcy nie są, jak mniemamy, gotowi.

Walka z eskortą musiałaby się odbyć na postoju, z zaskoczenia, z udziałem napastników w i poza pociągiem. W tej sytuacji terroryści powinni zniszczyć linię telegrafu, mając choćby cień nadziei na ucieczkę przed pogonią. Musieliby liczyć na sterroryzowanie nie tylko obsługi, ale i pasażerów pociągu. Chcieliby też szybko rozpruć ciężki sejf, nie niszcząc jego zawartości.

Terroryści muszą uciec, nim nadejdzie odsiecz wojskowa i policyjna. To mogłoby być możliwe w dalekich ostępach Rosji, ale tutaj, na Litwie? Wolne żarty, napastnicy nie ujdą daleko w okolicy naszego spokojnego i praworządnego Wilna.

Czyż życiowe doświadczenie nie uczy nas, że jeśli plan składa się z tylu chwiejnych elementów, wielce jest prawdopodobne, że może dojść do więcej niż jednej komplikacji? Drodzy przybysze, jesteście bezpieczni. Do napadów u nas na pewno nie dojdzie!

Prace towarzysza Ziuka, 19 września 1908 roku

Sen skończył się śmiercią w bohaterskiej glorii. Niestety, zaraz później zaświtał marny i smutny dzień. Do ciasnej, zatęchłej izby wpadły pojedyncze promienie słońca spomiędzy zasuniętych niedbale kotar. Lokal konspiracyjny (i miejsce schadzki w jednym) nie zachęcał, aby spędzić w nim choćby jedną zbędną minutę.

Józef z trudem odsunął kołdrę. Wciąż śpiąca Aleksandra wzdrygnęła się i odruchowo podciągnęła okrycie. Potem uśmiechnęła się przez sen, pokazując, że chociaż ona w tej brudnej izbie odnalazła odrobinę radości.

Ziuk wstał i podszedł do stojącego na stole dzbana z wodą. Pociągnął długi łyk, jakby chciał wypłukać z ust smak spalenizny, pozostałość dramatycznego snu. Potem narzucił na plecy płócienną koszulę. Ubiór był stary, zleciały i połatany. Na nowy pieniędzy nie było, a w każdym razie nie było waluty, którą Józef mógłby wydać z czystym sumieniem. Wszystko dla partii, nic dla bojowców... O ile nie liczyć tych drobnych pozorów luksusu, które zapewnili sobie na czas akcji.

On i Aleksandra udawali kochanków ukrywających się przed zazdrosnymi spojrzeniami zdradzanej żony. Wedle pierwszej zasady konspiracji najlepszymi kłamstwami były te, które zawierały dozę prawdy. A oni naprawdę kryli się przed gniewem Marii, gniewem szczerym i nieposkromionym.

Ślubna małżonka Ziuka już by odpuściła i pogodziła z losem, którego nie mogła zmienić, zaakceptowała, że przyszła nowa, młodsza i wciąż płonąca ogniem idei rywalka. Ale nie wtedy, nie owego lata. Wanda zmarła ledwo trzy miesiące wcześniej. Śmierć cudownej i niewinnej osiemnastolatki wstrząsnęła także Józefem. Pokochał Wandusię, jakby była jego rodzoną

córką, a nie tylko przysposobionym dzieckiem Marii. A Maria wiedziała, że Józef czuł się ojcem Wandy. Pewnie dlatego do melancholicznej żałoby dołączyło twarde przekonanie, że jej małżonek, nawet niewierny, powinien pogrążyć się w żalu zamiast oddawać popędom chuci oraz pracy konspiracyjnej.

„Ja chcę imperia obalać, ale żony do rozwodu nie skłonię – myślał. – A co w tym dziwnego, skoro ani obietnicy małżeńskiej, ani śmierci dziecka uszanować nie mogę?"

Bo i nie mógł. Związek z Aleksandrą przyszedł w najgorszym momencie, jak to niechciana i bezwzględna miłość. Emocje rozbudzone rewolucją, tajną robotą i morderczą grą w chowanego z żandarmerią i Ochraną rozlewały się na inne dziedziny życia, także rodzinnego. Józef, widzący w swojej pierwszej żonie już nie „piękną panią" i towarzyszkę konspiracji, ale nudną strażniczkę domowego ogniska, potrzebował nowego impulsu, smagnięcia emocjonalnym prądem, a tego Aleksandra dostarczała mu w nadmiarze.

„Ale dlaczego teraz? – myślał Ziuk. – Kiedy nie żyje Wandzia? Kiedy mamy tylu towarzyszy za kratami? Kiedy wszystko się rozpada?"

– Pobudka – dobiegł ich głos radosny jak szarża skacowanych ułanów.

Drzwi zaczęły otwierać się równolegle z okrzykiem. Gdy stały już na oścież, do izby zdecydowanym krokiem weszła młoda kobieta w letniej sukni, podpierając się lekką parasolką. Józef, znając niezliczony zasób zastosowań owego przedmiotu, profilaktycznie odsunął się od wejścia. Aleksandra także musiała poczuć respekt przed głosem i nieodłącznym atrybutem przyjaciółki, gdyż natychmiast otworzyła oczy i bez krztyny zaspania spojrzała na intruzkę.

– Regino, bój się Boga! – zawołała panna Szczerbińska.

– Boga? Boga? – odparła przybyła. – A ty już nic nie mów o Bogu, socjalistko jedna!

– Ty też jesteś socjalistką – zauważyła nad wyraz przytomnie (jak na poranną porę) Aleksandra.

– Ale pobożną. No, wstawajcie, moje skowronki, czas na odprawę.

– To ja prowadzę odprawę! – jęknął słabo Józef.

– No to się tym bardziej towarzysz na nią nie może spóźnić – oznajmiła Regina Brzeszczot-Lepiszcze, po czym wyszła z pokoju.

Pozostali sami, wyraźnie zmieszani huraganem energii, wniesionym przez gotową do rozpalenia rewolucji kobietę. Regina Brzeszczot-Lepiszcze, dwudziestoletnia warszawianka, od kilku lat zaangażowana w działania partii, wbrew pozorom nie była spadkobierczynią starożytnego rodu, a jedynie (lub aż) niedawno poślubioną żoną Janusza Lepiszcze. Rodziny Brzeszczotów i Lepiszczów zapisały się złotymi zgłoskami w historii polskich insurekcji, począwszy od obrony Warszawy w trzydziestym pierwszym, przez ich walkę partyzancką w Kampinosie w sześćdziesiątym trzecim i czwartym, a potem, już w następnym pokoleniu: robocie konspiracyjnej, notabene zarówno w Pepeesie, jak i Lidze Narodowej. Wreszcie, w trzecim pokoleniu boju o wolną Polskę, oba rody połączyły się małżeńskim sojuszem pomiędzy Reginą i Januszem. Niestety, ich pożycie trwało krótko, gdyż około czterech godzin. Żandarmi aresztowali Janusza jeszcze podczas wesela, a panna młoda już od następnego ranka przystąpiła do zbierania funduszy na łapówki dla strażników. Regina była ze wszech miar zdeterminowana, aby przeprowadzić udaną robotę ekspropriacyjną.

Aleksandra i Józef bez zbędnych słów rozpoczęli tę część poranka, która wydaje się zupełnie naturalna dla małżonków, ale dla kochanków (nawet z długim stażem) stanowi pełne niezręczności wyzwanie. Ona udała się za kotarę i po chwili Ziuk usłyszał pluskanie wody w misie. On zajął się zakładaniem reszty garderoby, wciąż ostrożnie, gdyż walka o lepszy byt polskiego ludu toczyła się w zwietrzałych łachach. Zdążył wyjść dość szybko, aby pozostawić kochance choć ciut prywatności.

Ich lokal konspiracyjny znajdował się na przedmieściach Wilna. Niewielki domek od strony szosy dyneburskiej wyglądał na całkiem ładną daczę, ale od strony podwórka ilustrował upadek Imperium Rzymskiego. Właściciel budynku (czy raczej: luźno spokrewniony kolektyw właścicieli) nie miał pojęcia o wywrotowym potencjale jego gości – myślał (a właściwie: myśleli), że domek wynajmują zwykli przestępcy.

Była to tylko jedna z kilku kryjówek ponad dwudziestoosobowej grupy bojowców. Oddział Sławka za ostatnie pieniądze z budżetu wynajął dwa pokoje w hoteliku w centrum Wilna, ale była to konieczność – Walery i jego towarzysze mieli jechać tym samym pociągiem i przybyć na miejsce akcji równocześnie z łupem. Ziuk oraz wspierające bojowców damy – Aleksandra, Regina i Janina Prystorowa – zajęły kwaterę przy wyjeździe z Wilna, a pozostali członkowie ekipy mieli się zakonspirować na własną rękę i na własny koszt. Wszystko kręciło się wokół ograniczonych możliwości finansowych zamachowców, co wciąż spędzało sen z powiek dowódcy.

„Moneta! – pomyślał Józef. – Niech ją diabli wezmą, jak nią gardzę, ale wolę ją brać tak jak zdobycz w walce, niż żebrać o nią u zdziecinniałego z tchórzostwa społeczeństwa, bo przecież jej nie mam, a mieć muszę!" Zaraz jednak uznał, że choćby najsłuszniejsze biadania na nic się nie zdadzą wobec twardej rzeczywistości.

Ziuk wszedł do pomieszczenia, zwanego nieco na wyrost salonem daczy. Regina już działała: przygotowała tablicę (tym samym nadając pokojowi wygląd klasy szkolnej; niestety, Józef nie czuł się nauczycielem), kredy, linijki oraz samowar gotowy do rozpalenia. Ziuk przez chwilę zastanawiał się, czy urządzenie ma służyć jedynie zagrzaniu wody na herbatę, czy przygotowaniu zaimprowizowanej broni przeciw policji w razie wpadki, ale bezwolnie wyobraził sobie Brzeszczot-Lepiszcze lejącą wrzątek na wdzierających się do salonu sługusów caratu.

Żona zasłużonego bojowca łaskawie wskazała dowódcy jego miejsce. Józef niepewnie stanął pod tablicą, poddając się nabytemu w latach gimnazjalnych nawykowi, aby się przedstawić i rozpocząć odpowiedź. W duchu podziękował srogiej asystentce, że wezwała go na czas: nikt jeszcze nie przyszedł. Czekali na członków grupy inwigilacyjnej i bojowej.

Nim do salonu dotarła Aleksandra, przybyli też najważniejsi słuchacze: Walery Sławek, Aleksander Prystor, Tomasz Arciszewski i inni. Ziuk nie lubił pseudonimów, głównie dlatego, że uważał te przybierane na potrzeby konspiracji miana za śmieszne albo nadęte (z wyjątkiem swojego), a w najlepszym razie: niepasujące.

„Choćby taki Walery – myślał. – Gustaw. Jaki Gustaw? To z Mickiewicza ma być kryptonim? Że niby jak dziad wygląda? Ale kto go zna, ten wie lepiej. Urwane palce, szklane oko to lepsze znaki szczególne. Odyn jakiś. Albo Paluch. A Gustaw to ma wieszczyć w ciemnym lesie?" Nie dodał, że skoro Gustaw, to i Konrad, a on był jedynym prometeicznym, mrocznym czynnikiem sprawczym. Ta Organizacja Bojowa Polskiej Partii Socjalistycznej była zbyt mała na tę dwójkę.

Zgromadzeni zasiedli na drewnianych stołkach, zostawiając jedno w miarę wygodne krzesło dla którejś z pań. Aleksandra wreszcie dotarła na miejsce odprawy, ostatnia zaś zjawiła się Janina. Krzesła nie zajął nikt, gdyż Regina bardzo poważnie potraktowała rolę asystentki, a Szczerbińska i Prystorowa nie mogły zdecydować się, której ów stolec przysługuje.

Jeden z towarzyszy zamknął okiennice, a gdy rozległ się wyjątkowo nieudanie imitowany odgłos śpiewu czajki (ustalony jako sygnał, że lokal nie jest pod obserwacją), rozpoczęła się odprawa. Regina odpaliła lampę naftową (co swoją drogą bardzo zastanowiło Józefa; gdyby to on na miejscu jakiegoś szpicla Ochrany zobaczył zamknięte okiennice i blask ognia, natychmiast nabrałby podejrzeń) i dała znak, że są gotowi.

– Towarzysze! – zaczął podniośle Ziuk. – Zebraliśmy się tutaj… – Od razu w duchu sklął się za tak banalny i niezręczny wstęp. „Zebraliśmy się tutaj, aby wydać resztki naszej kasy", pomyślał smutno, ale kontynuował: – …i działamy. Dziś, jak wierzę, nastąpi wielki odwrót fortuny… – Znów syknął bezgłośnie, bo skoro fortuna się od nich odwracała, zapewne wypinała też ku bojowcom zadek. – Zdobędziemy dziś fundusze na dalszą działalność partii i ruch niepodległościowy na terenie całego kraju. Wyciągniemy naszych towarzyszy…

W tym momencie musiał przerwać, gdyż stojąca obok Regina Brzeszczot-Lepiszcze zaczęła klaskać. Co prawda groźne spojrzenia zgromadzonych mężczyzn uciszyły ją, ale potem zaczęła klaskać raz jeszcze, tym razem bezgłośnie, po nałożeniu rękawiczek.

– Wiecie, co trzeba zrobić – kontynuował nieco zbity z tropu przywódca grupy bojowców. – Pociąg z Warszawy do Petersburga wiezie pieniądze

i obligacje. Obrabiamy… – skrzywił się, czując, że to słowo nie odpowiada powadze patriotycznego zadania – …przejmujemy zasoby z wagonu pocztowego. Dzięki naszemu zwiadowi przeprowadzonemu przez towarzyszki Morską, Taterską i Anastazję…

Spojrzał na obecne w pomieszczeniu kobiety. Janina i Aleksandra wybrały normalne pseudonimy, tylko Regina Brzeszczot-Lepiszcze uparła się na Anastazję, tłumacząc to podniosłością zadania. Anastazja, czy z grecka „wskrzeszona", miała być, wedle słów żony partyjnego męczennika, prefiguracją zmartwychwstałej ojczyzny, ale też zapowiedzią zmartwychwstania małżeństwa Reginy, które nastąpi po wydobyciu z więzienia Janusza.

„Greka, prefiguracja, psia ich mać!" – pomyślał Józef, ale potem zawstydził się bardzo reakcyjnej myśli. Przez krótką chwilę uznał, że wykształcenie kobiet, zwłaszcza w duchu klasycznym, to zapowiedź społecznych i towarzyskich kłopotów. Aby ukoić serce, spojrzał na Aleksandrę „Morską" Szczerbińską, która nie dość, że swój rewolucyjny i narodowy zapał okazywała w stonowany sposób, to jeszcze miała krótki i niepozorny pseudonim.

– …znamy rozkład pociągów, wiemy, jak będzie wyglądał skład. Mamy ustalony plan…

Jednocześnie Regina-Anastazja rysowała schemat pociągu. Mimo najusilniejszych starań, trzymana przez nią kreda skrzypiała jak potiomkinowska wioska. Józef nie mógł wyrzucić z głowy obrazu konspiratorki jako swojej guwernantki, nauczycielki francuskiego, która wycisnęła z niego morze łez.

– Naszymi atutami są rozpoznanie terenu, zaskoczenie i zdecydowanie. Nasza akcja opiera się na zgraniu działań czterech grup: zwiadowczej, dywersyjnej, bojowej i odwodowej…

Następne dwa kwadranse bojowcy spędzili, słuchając instrukcji Ziuka oraz skrzypienia kredy. Wszyscy znali plan, przynajmniej w zarysie. Józef uznał jednak, że ów etap powtarzania zamierzeń jest niezbędny. Po pierwsze: utrwalał same procedury. Po drugie: był wspólnym doświadczeniem zespołu. Po trzecie: nawet jeśli plan był zły, to powtarzając go po raz kolejny, dochodzili do wniosku, że się uda. Doktor Krauze z Wiednia mówił,

że wiara we własne siły jest równie ważna jak prawdziwa moc, gdyż wola to sprawczość. „Mierzymy siły na zamiary" – powtarzał Ziuk.

Odruchowo spojrzał na Walerego. Towarzysz Gustaw nie wydawał się posiadać dość sił, a nawet zamiarów. Na tego człowieka los zrzucił ostatnio potężne ciężary. Ponoć przyzwyczaił się do życia bez oka, a kolejne operacje przywracały jego pozostałym palcom elementarną zręczność. Ale ten do niedawna wyjątkowo sprawny fizycznie mężczyzna był kaleką. Ziuk zastanawiał się nawet, czy stary towarzysz konspiracji nada się do akcji bezpośrednich, gdyż Walery dobrze celować z rewolweru nie mógł, a nawet wciśnięcie spustu było już wyzwaniem dla jego zmasakrowanej dłoni. Od feralnej akcji pod Milanówkiem (Józefa przy tym nie było; Sławka odwiedził dopiero w Krakowie, gdy ranny cudem wydostał się z Warszawy), kiedy trefna bomba karbidowa rozerwała się w dłoniach Gustawa. Bojowcowi zabrała nie tylko pięć palców i oko, ale i wolę życia.

A potem los znów się do niego uśmiechnął, aby następnie pokazać język. Walery poznał młodą Wandzię, córkę Marii i pasierbicę Józefa. Ziuk z początku nie dawał wiary plotkom o kiełkującym romansie towarzysza broni i przysposobionej córki, ale gdy sam zobaczył ten ogień w oczach pary (w dwojgu oczu Wandzi i jednym Walerego), odkrył, że wcale nie smuci go ów dziwaczny rozwój spraw. Uznał, że Wandzia i tak normalnego życia mieć nie będzie, jako wychowanica dwojga doskonale znanych Ochranie wichrzycieli, za to w czyste intencje Sławka i wierność (której zalety podczas afery rozłamowej Józef doświadczył na sobie) nie wątpił. Obruszał się kilka tygodni na nieprzystojne zachowanie młodej pasierbicy, ale potem zamierzał powiedzieć jej, że nie ma nic przeciw umizgom Walerego. Ale wtedy przyszła następna tragedia...

Lekarze powiedzieli, że było to zapalenie żółci, coś, co się po prostu zdarza i przewidzieć tego nie sposób. Choroba zabrała Wandę w niecały tydzień. Niczym karbidowa bomba wrzucona przez okno do pociągu ta śmierć zburzyła kruchy spokój wielkiej rodziny Józefa, za którą uważał nie tylko swoją oziębłą żonę i szaloną kochankę, ale też grupę najwierniejszych towarzyszy konspiracji. Od tej pory Sławek snuł się jak duch prowadzony

przez Józefa albo Prystorów. Ziuk uznał, że udział w prawdziwej akcji przywróci biedakowi wolę życia. Nie był jednak pewien, czy nie pogrzebie szans na sukces tegoż przedsięwzięcia.

Te wszystkie myśli przelatywały mu przez głowę. Przypominał plan uderzenia na pociąg, cały drżał, słysząc skrzypienie kredy, ale i uspokajał się, widząc, jak na twarzach słuchaczy budzi się entuzjazm. „Oni wierzą, więc i ja muszę" – pomyślał i postanowił zabrać Reginie kredę.

Do południa omówili wszystko, co trzeba było, włącznie z podziałem oczekiwanych łupów. Dla Ziuka, który dotychczas dzielił ostanie grosze, wizja przejęcia pół miliona rubli wydawała się niemal śmieszna. Był to budżet funkcjonowania organizacji na ponad rok… albo liczba wystarczająca na pokrycie najpilniejszych wydatków dotyczących opieki nad rodzinami aresztowanych. W tej części Regina nawet nie udawała, że słucha poleceń wodza czy jakiegokolwiek mężczyzny. Gdy Józef nieopacznie dopuścił ją do głosu w sprawie wydatków związanych z procesami więźniów, odłożyła kredę i przejęła inicjatywę. O swoim mężu mówiła właściwie krótko, za to jej odważna wizja skorumpowania praktycznie całego aparatu policyjno-sądowego guberni warszawskiej przekonałaby nawet Ziuka (gdyby nie fakt, że ten wiedział, jak bardzo to jest nieprawdopodobne). Wspomniała, że dotychczasowe akcje ekspropriacyjne nie przyniosły oczekiwanych sukcesów (obrażając nie wiadomo kogo bardziej: Józefa, który jak dotychczas w brudnej robocie nie uczestniczył, czy Walerego, który niechcący przekreślił szanse na sukces napadu pod Milanówkiem), ale tym razem los na pewno się odmieni.

Prace towarzysza Katajamy, 19 września 1908 roku

Na okazję działalności warszawskiej w dniach rewolucji Aleksander Prystor przyjął pseudonim „Katajama", co miało mu dodać nimbu tajemnicy oraz skojarzyć osobę samozwańczego chemika i medyka z japońskimi projektami towarzysza Ziuka. Jednak za plecami nazywano go „Mundurkiem" albo „Pułkownikiem", bez złej woli, nawet nie do końca prześmiewczo, szczerze szanując krótkie, ale intensywne szkolenie wojskowe podczas służby wśród saperów. Z początku Aleksander tego nie znosił, ale z czasem uznał, że kiedyś pułkownikiem (co najmniej!) zostanie i jeszcze będą o nim tak mówili z szacunkiem lub grozą.

Od niemal trzech lat nadzorował te najniebezpieczniejsze zasoby organizacji. Walery pilnował broni i amunicji, a Aleksander przewoził, ukrywał, a czasem własnoręcznie budował ładunki wybuchowe, bomby kwasowe i dymne oraz przydatne w pruciu kas narzędzia. Od kiedy zaś jego żona zaczęła pomagać Ziukowi w prowadzeniu buchalterii, małżeństwo Prystorów stało się ową długą szyją, bez której bojowa głowa PPS-u nikogo kąsać nie mogła.

Po odprawie ruszył po wóz z zaopatrzeniem. Najpierw skierował się ku centrum Wilna i szedł tak zakazanymi ulicami, że każdy ewentualny szpicel Ochrany musiałby zaryzykować utratę przykrywki, zębów lub portfela (a być może wszystkich tych trzech dóbr). Potem złapał omnibusa w kierunku Pola Wyścigowego. Stamtąd ruszył *per pedes* do kolejnego punktu konspiracyjnego, tym razem chłopskiej zagrody na wyjeździe z miasta. Na wypożyczenie dwóch koni umówił się zawczasu; do wynajętej na skraju lasów ziemianki kluczył z godzinę, prowadząc ponure siwki. Tam czekał już towarzysz Wojciech, zamaskowany w przydrożnych krzakach.

– Kto taki piękny? – zapytał młody bojowiec.

– Francuziki – odparł Aleksander, powtarzając ustalone na dzień hasło.

Podszedł do ubranego w znoszony żakiet konspiratora, uchylił melonik, po czym uścisnął prawicę Wojciecha. Ten od razu ujął lejce jednego z koni i skierował się ku ścianie lasu.

– Chyba kolega przesadza – stwierdził Aleksander. – Byłem ostrożny, nie mam ogona.

– Skoro towarzysz Katajama tak twierdzi… – odparł bojowiec, tonem głosu wyraźnie stwierdzając, co o spokoju starszego kolegi myśli. – Ale wejdźmy szybko między drzewa. Ktoś tu czasem chadza.

Wóz ze sprzętem był ukryty tak dobrze, że Aleksander niemal jęknął na głos. Praca, jaką musiał wykonać Wojciech, mogła ściągnąć bardzo niepożądane zainteresowanie. „Typowa młodzież – pomyślał doświadczony trzydziestoczterolatek. – Kiedy nie trzeba, robią z sekretnej roboty wielki teatr, ale by pomyśleć na spokojnie, to nie potrafią".

Od stacji pod Bezdanami dzieliło ich niemal dwadzieścia wiorst. Z dwoma końmi i wozem drabiniastym obciążonym ważnym, ale nie tak ciężkim ładunkiem, była to trasa, która w idealnych warunkach zajęłaby mniej niż cztery godziny. No, policzmy pięć, aby dać odpocząć siwkom. Prystor zastanawiał się wiele razy, dlaczego nigdy nie był świadkiem akcji odłożonej z powodu złamanej ośki czy błota unieruchamiającego wóz na trakcie.

Aleksander zdał sobie sprawę, jak bardzo polega na magicznym myśleniu i zaufaniu przesądom. W grupie bojowej powszechnie uważano, że akcja będzie prosta, gdyż działa z nimi Sławek. Niezwykły pech Walerego podczas napadu pod Milanówkiem uznano za ofiarę złożoną losowi, więc katastrofa na miarę wybuchającej przed czasem bomby zdarzyć się już nie mogła. Aleksander nigdy nie powiedział o tym Waleremu, a tym bardziej nie poruszał tego tematu z Ziukiem, ale powątpiewał, czy pogrążony w żałobie kaleka jest najlepszym powiernikiem broni ręcznej podczas ich wypadku. Owszem, lepsze to było niż oddanie mu pod pieczę bomb i palni-

ków karbidowych, ale wciąż kusiło się los o kolejny wypadek, który zakończy konspiracyjną karierę drużyny Ziuka.

Na wystającym z pobocza kamieniu przednie lewe koło wyskoczyło z osi jak z procy. Natychmiastowa reakcja Aleksandra i Wojciecha uratowała ładunek. Podparli bok pojazdu, a potem delikatnie poprawili maskujące zasoby siano. Potem spojrzeli na siebie, Prystor zakłopotany, młody bojowiec przerażony.

– Spokojnie, to tylko koło – zauważył Katajama. – Sami to naprawimy, zanim ktoś nadjedzie. Czyś ty wóz kiedyś oprawiał?

– Ja z Krakowa jestem…

– Nie jeżdżą wozami w Krakowie?

– No jeżdżą, ale…

– Cichaj, podaj koło, przymierzymy.

Z punktu widzenia prawdopodobieństwa, losu i możliwych konsekwencji prawnych ich pech był znacznie poważniejszy niż wypadek Walerego. Kolumna jeźdźców z wileńskich koszar nadjechała zbyt szybko, aby podjąć jakieś sensowne działanie. Kiedy Aleksander zrozumiał już, że zmierza ku nim co najmniej tuzin jeźdźców, rozważył, co należy robić. Wysadzenie bomb z wozu nie wchodziło w grę: wymagało zbyt wiele czasu, nie gwarantowało zniszczenia wszystkich dowodów, ściągnęłoby tylko zainteresowanie władz na niemal każdym szczeblu. Rejterada między drzewa w krótkiej perspektywie była obiecująca, ale co konspiratorzy mieli czynić dalej? Jak mieliby ostrzec resztę grupy? Jak sami opuścić Wilno? Kontaktów pod miastem nie posiadali, tych wewnątrz nie mogli spalić przed ewakuacją reszty.

Porażka kolejnego eksa oznaczała zapewne koniec całej organizacji. Utrata znacznej części ładunków wybuchowych oraz piekielnie drogich palników karbidowych to jedno. Lecz utrata obiecującego bojowca oraz doświadczonego sapera i polowego medyka, z doświadczeniem w akcjach bezpośrednich, byłaby wielkim ciosem dla ruchu socjalistycznego i sprawy narodowej.

„Jezu, Janina wdową zostanie – pomyślał Prystor. – Ale lepiej wdową niż żoną zesłańca. Żywcem mnie nie wezmą!”

Zamknął oczy i przypomniał sobie rozkład trefnego ładunku. Aby dotrzeć do bomby, wystarczyło doskoczyć do wozu, odrzucić siano i porwać owiniętą wikliną butlę skrywającą domowej roboty dynamit i wstrząsowy zapalnik. Aleksander spojrzał w oczy towarzysza, a jego usta bezgłośnie wyszeptały: „Za Polskę!”.

Ruchem błyskawicznym jak żmija bojowiec wyciągnął bombę i podniósł ją nad głowę. Dokładnie w tym momencie dogonił go jeździec w szarym mundurze rotmistrza. Spojrzał w oczy Polaka i się uśmiechnął. Choć Prystor zebrał w sobie całą odwagę, zamarł. Nie był w stanie cisnąć śmierciono śną butlą w wóz.

– Nie trzeba, dobry człowieku. Jestem rotmistrz Fiodor Waliliowicz Ustanow i prowadzę moich dzielnych jeźdźców dońskich na manewry. Nie bójcie się!

Oficer wziął zaskoczenie napotkanych na trakcie za objaw paniki. Mówił do nich jak do wyjątkowo ciemnych przedstawicieli miejscowej fauny ludzkiej. Nawet doganiający go kawalerzyści, zacięci na twarzach Kozacy, patrzyli na Aleksandra i Wojciecha z dozą współczucia. Ustanow, nie zsiadając z konia, wyjął z rąk Prystora butlę i położył ją na koźle wozu.

– Nie trzeba nam podarków dla zachęty. Pomożemy wam z wozem tak z czystej sympatii dla litewskiego ludu!

Skinął ręką na podwładnych, a ci, wyjątkowo niechętnie, zaczęli zsiadać z koni. Tuzin Kozaków otoczył półkolem wóz polskich konspiratorów i czekał na dalsze rozkazy.

– No co tak stoicie? Pomóżcie tym biedakom.

Nim Polacy zdołali zareagować, kilka par silnych rąk podniosło oś wozu, a wskazany dłonią rotmistrza Kozak przytoczył felerne koło. Obyci z konserwacją wozów kawalerzyści z podziwu godną sprawnością nałożyli brakujący element.

– No, może być… – ocenił Ustanow, który nadal dumnie tkwił w siodle. – Z Bogiem, dobrzy ludzie!

– Dzię… dziękujemy! – wydukał wreszcie Prystor po rosyjsku, patrząc, jak dońscy Kozacy wskakują na siodła.

On i Wojciech patrzyli na ruszających i po chwili znikających za zakrętem drogi kawalerzystów. Milczeli kilka zdrowasiek, potem zaś młody konspirator spojrzał na starszego kolegę.

– Dekonspiracja… – szepnął.

– Bzdury gadasz! – uznał Prystor. – Przypadek, że tędy jechali i niczego nie zauważyli.

– To była bomba! – zauważył trzeźwo Wojciech. – Chciałeś nas wysadzić.

– No gdyby nas zatrzymali, to trzeba by było…

– Będą nas śledzić.

– Nie będą. Patrz, już pojechali.

– Gdzie? Skąd? Kozacy na manewrach? Za miastem? Nie na polu wojennym?

– Ty to chyba z Krakowa jesteś, nie z Wilna – zauważył złośliwie Prystor. – Skąd wiesz, jak powinno być?

– A towarzysz Katajama to wie?

– Jasne, durniu, tu się urodziłem. Nic nam nie będzie.

– Trzeba odwołać akcję.

– Zgłupiałeś – stwierdził zirytowany bojowiec. – Niczego nie podejrzewają. Jeszcze nam kpy wóz naprawiły, to jakby Bóg nam machał na szczęście.

– Nie, zła to wróżba – oponował Wojciech. – Uniknęliśmy kostuszej kosy o cale. Towarzysz się chciał przed chwilą wysadzać… Dajmy znak Ziukowi, przecież taka jest procedura. Mamy plan awaryjny na akcję za tydzień.

– I co, będziemy siedzieć po dziuplach przez tydzień? To dopiero ryzyko dekonspiracji. Uwierz mi, swoje odrobiłem na eksach.

Spojrzał na młodszego kolegę, usiłując przelać na niego całą pewność siebie. W oczach Wojciecha powoli znów pojawiał się spokój i wiara w przywództwo towarzysza Ziuka i towarzysza Katajamy.

– Dobrze, sprawdź, czy coś się nie obluzowało, a ja skoczę za potrzebą – dodał Aleksander.

Ruszył w las, najpierw powolnym i dostojnym krokiem, potem zaś coraz prędzej i prędzej, aż wpadł w gęstą kępę jałowców, dość daleko, aby Wojciech miał niewielkie szanse zobaczyć, a nawet usłyszeć kolegę. Tam pochylił się i zwymiotował wszystko, co jego żołądek utrzymał ze śniadania. Potem wytarł usta chusteczką i zagryzł kciuk, niemal do krwi. Trwał w ten sposób długie minuty, nim jego ciało nie rozluźniło się dość, aby przybrać pozory spokoju.

Prace towarzysza Siłacza, 19 września 1908 roku

Tomasz czuł się niezręcznie u boku Józefa. Właściwie sam sugerował, aby Ziuk nie brał udziału w akcji, a kiedy wódz się uparł, delikatnie dawał do zrozumienia, że jest to zbędne, ryzykowne i właściwie samolubne.

Prawda była brutalna: Piłsudski do tej pory nie przewodził bezpośrednio żadnemu poważnemu eksowi. Owszem, wcześniej, za starych czasów, ale wtedy skala, możliwości bojowców, a także żandarmerii i Ochrany były inne. Tomasz nadal wierzył, że jego przyjaciel to przyszłość ruchu socjalistycznego i najlepsza droga ku wolności, ale musiał dodać, że wąsy Józefa najlepiej sprawdzały się, drgając podczas wiecowych przemów, a nie zwracając uwagę przechodniów przed poważnymi akcjami.

Wiedział, że może liczyć na opanowanie Aleksandra, do niedawna był też pewien niezachwianej i nieugiętej woli Walerego („Biedny chłopak!" – pomyślał), ale do tej pory nie uczestniczył w żadnej akcji z Ziukiem jako przywódcą. „Są ludzie od kierowania i są od dowodzenia. Józef to taki naczelnik, ale niekoniecznie marszałek".

Jechali wynajętą przy dworcu bryczką. To samo w sobie należało do wątpliwych części planu. Tomasz zdawał sobie sprawę, że ktoś na stacji Bezdanach może rozpoznać pojazd i zadać sobie pytanie, dlaczego ta dziwaczna grupa podróżnych wypożycza brykę i konie w mieście, aby pojechać na stację kolejową ledwie kilkanaście wiorst dalej. Umyślny, za pomocą którego chcieli odesłać pojazd do miasta, też był potencjalnym zagrożeniem dla akcji. „I wiece, i więzienne kraty stępiły czujność Ziuka – uznał Tomasz. – Ale przecież od tego jestem ja. To mnie powinien powierzać to, czym komendancka głowa nie musi się kłopotać!"

Udział Józefa na forum organizacji uznał za dowód zaangażowania wodza, w ciszy zaś uważał za swoiste wotum nieufności. Z równym dystansem przyjął obecność Walerego, zasłużonego towarzysza, ale rekonwalescenta. „Boże, to prawdziwa robota terrorystyczna, a nie terapia dla przyjaciół!" – syknął w myśli, ale dopiero wtedy, w bryczce, gdyż w obecności Walerego podobne myśli z trudem przychodziły mu do głowy.

Nie miał na Sławka już żadnego wpływu. Grupa zwiadowcza planowała wsiąść w pociąg na Dworcu Wileńskim, pojechać do Grodna i tam łapać kurs z Warszawy. Czyli: działać niezależnie po otrzymaniu sygnału. Jak na rozeznanie Tomasza, zbyt wiele elementów tego mechanizmu mogło się zaciąć. Doceniał, że bojowcy dzielili się na cztery grupy i w razie wpadki redukowali straty. „Ale nie możemy sobie pozwolić na straty. Już nie!"

Powoził Ziuk, na ławkach siedziały panie i Tomasz. Pogoda tej soboty: słoneczna, ale chłodna, nie zwiastowała kłopotów. Druga połowa września na Wileńszczyźnie była przyjemna, o ile nie bało się za bardzo zimnych nad ranem nocy i okazjonalnego deszczu. Na szczęście tego dnia na ulewę się nie zanosiło. „Wbrew pozorom wilgoć to wróg uciekinierów. Owszem, opóźnia reakcję wojska, może zmylić zapach psom gończym… ale cóż z tego, jeśli zwalnia nas? Kozak wróci do koszar i się wyśpi. Uciekinier będzie mókł, marznął i w końcu złapie jakąś influenzę. A chory nie ujdzie pogoni".

Jechali do Bezdan dłuższą drogą, nie przez leśny dukt, którym wysłano transport z bombami. Z powodu nieobecności Aleksandra to Tomasz i Janina mieli udawać zakochaną parę. Wąsy Józefa upodobniały go do wiejskiego woźnicy, a Aleksandra ze wszystkich sił utrzymywała skupienie Reginy. Brzeszczot-Lepiszcze wyglądała jak rozpalona przez książkowy romans uczennica, tylko że zamiast wizji zakazanej miłości opętała ją wizja wysadzanego pociągu. Gdyby nie nadzór starszych koleżanek, wyciągnęłaby z Tomasza detale wszystkich dotychczasowych akcji ekspropriacyjnych.

Akurat z nią Arciszewski mógłby się swoją wiedzą podzielić. Mimo pozorów naiwności wzięła sobie do serca rolę sekretarki Józefa i opanowała

plan do najdrobniejszego szczegółu. W dodatku rozumiała stawkę, o jaką toczyła się gra. Nie straciła nikogo na zawsze, ale było blisko.

Jej stryj, ojciec i teść musieli wyjechać do Galicji. Jej mąż siedział za kratami, a i ona dorobiła się, mimo młodego wieku, pokaźnej kartoteki w biurze Ochrany. Areszt wisiał nad nią niczym miecz Damoklesa albo wojna nad Alzacją. Ryzykowała tyle samo, co mężczyźni, a zdaniem Tomasza zapewne więcej, gdyż jej, jako damie (co odnosiło się w tym samym stopniu do Aleksandry i Janiny), nie wypadało posuwać się do pewnych środków w ucieczce i unikaniu ślepej pięści carskiej sprawiedliwości. Na przykład: nie mogłaby tak jak Ziuk udać wariatki, gdyż to zrujnowałby jej reputację w i poza kręgiem rewolucyjnym. Chociaż, co Tomasz musiał przyznać, naśladowanie furiatki nie stanowiłby dla Reginy poważnego problemu.

– Gdybyśmy podłożyli ładunki pod dwie osie pierwszego wagonu, wywrotka byłaby niemal pewna… – perorowała Regina, gotowa podeprzeć swoje scenariusze dość przekonującymi obliczeniami.

– Ciszej, ktoś usłyszy! – szeptała Aleksandra, trzymając przyjaciółkę za rękę.

– Oj tam, kto? – mruknął Józef z kozła. – Patrolu żadnego nie widać. Na drogach przecież nas nie szukają.

– Jedzie za nami dyliżans – zauważyła Aleksandra. – Ma zasłonięte firany, choć jest ciepło. Trzyma równe tempo, a woźnica co chwila zerka przez okienko do środka.

– Bo ma na co! – prychnął Ziuk. – Jakiś wesołek zamówił dwie panienki od madame Wislerowej i korzysta już w podróży.

– A ty skąd wiesz, że to ta Bislerowa. Korzystasz? – zapytała twardo Aleksandra.

– Wislerowa – odparł niezrażony Ziuk. – Kobieto, odpuść. Ja tu do gimnazjum chodziłem, w czasach gdy Wislerowa jeszcze sama klientów przyjmowała.

– Ciebie też?

– Oleńko, co… – zaczął nieporadnie Józef, ale w tym momencie Tomasz postanowił wybawić go z kłopotów.

– Konni! – syknął, pokazując kapeluszem na polne skrzyżowanie przed nimi.

I faktycznie, boczną drogą jechała czota Kozaków. Kilkunastu jeźdźców zbliżało się do przecięcia szosy, pozornie nie spiesząc się nigdzie i nie zwracając na nic uwagi. Tomasz uznał, że nie może to być jakaś zaplanowana obława, a nawet zorganizowany patrol, gdyż te bardzo rzadko trzymały się tak małych dróg. Jednak nieprzyjaciel pozostawał nieprzyjacielem. Należało zachować ostrożność.

Powożący konie Józef usiłował dokonać anomalii fizycznej. To znaczy: chciał wyglądać na jadącego jak najwolniej, by jednocześnie jak najprędzej oddalić się od pechowego skrzyżowania. Niestety, bojowiec PPS-u nie posiadał (jeszcze!) pełni władzy nad materią i rządzącymi nią siłami. Tym bardziej że Kozacy zaczęli zwalniać, aby złośliwie osiągnąć skrzyżowanie w tym samym czasie. Gdy wóz dotarł na rozstaje, dowódca oddziału stał na środku szosy.

– Bądźcie zdrowi, szanowni obywatele! Niech Bóg prowadzi – pozdrowił ich wesoło po rosyjsku.

Wszyscy jadący na akcję pomyśleli to samo. Miły Rosjanin (przynajmniej miły na trzeźwo) zwiastował kłopoty. Tomasz zaś powściągliwie oceniał szansę na wybawienie. Oczywiście, nie na pokonanie wroga czy ucieczkę („Jest ich trzynastu, na świeżych, żwawych koniach. Nie damy rady!”), ale na zniszczenie dowodów.

Mieli tylko lekkie pistolety, tak zwane damki systemu Derringera. Powodem tak słabego uzbrojenia było przekonanie Józefa, że obecność broni zaprojektowanej do samoobrony kobiet można łatwo wytłumaczyć. Co prawda panie posiadały po dwie sztuki śmiercionośnej zabawki, ale cóż.

„Czasy są ciężkie, panie oficerze, a los niewiast smutny w świecie pełnym przemocy!”

Tak Tomasz wyobraził sobie wygłoszoną z teatralnym przekonaniem kwestię Aleksandry. A czasy były zaprawdę ciężkie, zwłaszcza dla niewiast

gotowych wejść w ów świat przemocy.

– Niech Bóg prowadzi – odparł w końcu towarzysz Siłacz, zdając sobie sprawę, że skoro Ziuk powozi, to on musi udawać komendanta tej przejażdżki. – W czym możemy pomóc, panie majorze?

Celowe awansowanie skromnego rotmistrza miało schlebić kawalerzyście, ale temu nie drgnął ani jeden mięsień na twarzy. Wciąż nie schodził z niej przepisowy uśmiech, który zapewniał poddanych Imperium: wojsko carskie jest twoim przyjacielem i nie siecze nahajkami napotkanych przypadkowo ludzi, przynajmniej do czasu, aż przyjdzie taki rozkaz.

– Czy można zapytać, gdzie państwo się udają w tę piękną sobotę?

– Korzystać ze słońca, panie oficerze – wyjaśnił Tomasz, usiłując swoim rosyjskim zdaniom nadać pokory, a sobie wrażenie lichości i durnowatości, tak by swoim zachowaniem nie peszyć wojskowego.

– Państwo są rodziną? – zapytał rotmistrz, zupełnie ignorując przygotowania konspiratorów do złożenia ofiary z życia na ołtarzu ojczyzny.

Józef pochylił się, aby złapać za solidny kostur leżący pod jego nogami. Tymże kijem miał realną szansę dosięgnąć dowódcę patrolu i jeśli nie zabić czy nawet pozbawić przytomności, to przynajmniej strącić z wierzchowca. A jeździec na ziemi, wedle powiedzenia, które Ziuk przypisywał kilkunastu słynnym osobom, to nie jeździec, tylko dupa. Aleksandra i Janina wyuczonymi ruchami skradających się do ofiary żmij sięgały powoli po pistolety. Każda po jeden. Za to Regina na pewno chciała złapać dwa albo już miała je w rękach; zapewne dlatego w ten nie tak zimny dzień założyła na dłonie puszystą mufkę.

Tomasz zamarł na tę krótką chwilę, zdając sobie sprawę z daremności tych starań. „Nawet przy wielkim szczęściu wyeliminujemy pięciu jeźdźców albo cztery konie. Może w walce w zwarciu jeszcze szóstego i siódmego, nim nas rozsiekają szablami albo podziurawią kulami. Żadnych ładunków nie mamy, w powietrze się nie wysadzimy. Możemy ich zatrzymać na dość długo, by Józef uciekł na wypiętym koniu, ale on nie zostawi nas na pewną śmierć. Co robić? Będzie areszt, będą tortury. Damy radę czy nas złamią?”

Potem ocenił, że niezależnie od zaangażowania i determinacji jadących z nimi kobiet, nie zdobędą się one na zabicie towarzyszy (kochanków i przyjaciół), a potem na honorowe samobójstwo. „Może jest szansa, aby się z tego wykpić? Tylko aby wszyscy wytrzymali, nie dali się ponieść nerwom!" Wspomniał opowieści Ziuka o jego uwięzieniu i wielkiej ucieczce, która polegała na udawaniu wariata. Pod pewnymi względami Józef od zawsze balansował na granicy szaleństwa, a by skutecznie udawać obłąkanego, trzeba było posiadać niezwykle trzeźwy umysł. Niestety, to nie Józef miał wziąć na barki ciężar rozmowy. Powoził, udawał skromnego woźnicę, gdyby włączył się w negocjacje z Kozakami, mógłby zdekonspirować całą wyprawę.

– Tak, to moje kuzynki – odparła Aleksandra prędzej, niż Tomasz zdołał się włączyć do rozmowy. Tak pewnie wyszło lepiej, gdyż towarzyszka Morska, mimo że urodzona w Suwałkach, względnie najlepiej znała okolicę. – Ale skąd te pytania, panie oficerze? Czy coś nam grozi?

To było ryzykowne zagranie, gdyż choć tworzyło pozory ignorancji, nakierowywało uwagę żołnierza na tematy związane z bezpieczeństwem. A tego chcieli unikać za wszelką cenę.

– Tak, szanowna pani, mamy doniesienia o bandytach szykujących się do napadu na pociąg. Ale żadne niebezpieczeństwo wam nie grozi, gubernator zmobilizował odpowiednie siły, aby pochwycić szubrawców.

Sięgające do toreb prawice pań zadrżały, Regina została z obiema dłońmi w mufce, Józef nie zdradził się niczym, ale Tomasz zobaczył, że zaciska palce na kiju. „Tylko spokojnie – myślał. – To pewnie blef. Co szkodzi temu rotmistrzowi dla zabawy postraszyć podróżnych?"

– Czy uważa pan oficer, że powinniśmy wrócić do miasta? – zapytał w końcu Tomasz pozornie spokojnym głosem.

– O nie, absolutnie nie ma takiej potrzeby – oznajmił rotmistrz. – Tylko w razie napotkania jakiegoś podejrzanego pojazdu lub grupy ludzi błąkającej się pozornie bez celu w okolicy przejazdów kolejowych, proszę natychmiast powiadomić stójkowego w najbliższym cyrkule lub napotkanych żołnierzy. Dbajmy wszyscy o bezpieczeństwo publiczne.

– Tak, panie oficerze…

Wtedy jednak ową napięta rozmowę przerwała katastrofa. Dyliżansik, podążający szosą tuż za bryczką konspiratorów, nie zwolnił, nie zatrzymał się i jak gdyby nigdy nic przejechał środkiem drogi przez skrzyżowanie. Dwaj Kozacy w ostatniej chwili spędzili konie z trasy przejazdu tajemniczego wozu, ale naraz we wpojonym przez służbę odruchu spięli wierzchowce do pościgu. I tak trzeba było gonić. Gdy dziesiętnik Kozaków zadął w gwizdek, prowadzące dyliżans konie spłoszyły się i skoczyły raźnym tempem przed siebie.

– Stać! Stać! Nie ruszać się, sobaki! – wrzasnął rotmistrz.

W jednej sekundzie kulturalna i przyjemna maska oficera przepadła. Na jego twarzy zakwitł gniew, a ukryte w skórzanych rękawicach dłonie zacisnęły się na wodzach. Szarpnął konia i skoczył do pościgu niczym chart na dostrzeżonego zająca.

Ci z dyliżansu chcieli się zatrzymać, ale po prostu nie mogli. Ze środka budy dobiegły zmieszane damsko-męskie krzyki i odgłos uderzania o burtę. Rotmistrz i jeden z Kozaków błyskawicznie zrównali się z pojazdem i zsynchronizowanymi niemal do niemożności ruchami sięgnęli po szable. Potem, w ciągu kilku uderzeń serca, cięli po pasach zaprzęgu. Para koni wyrwała po drodze, już pozbawiona obciążenia. Dyliżansik toczył się jeszcze kilkadziesiąt sążni, po czym stoczył do rowu obok szosy.

Wtedy charci duch obudził się w reszcie Kozaków. Drzwiczki do pojazdu zostały wykopane imperialnym butem, a od razu potem ręce żołnierzy zanurkowały w ciemność. Zdrowaśkę później na szosie leżał kulący się po ciosie w brzuch woźnica oraz pasażerowie dyliżansu – dwóch mężczyzn i kobieta.

– Jezu! – jęknął Ziuk, rozpoznając przynajmniej jedną osobę.

– Jedź! Wolno, ale bądź gotów do ujścia! – szepnął Tomasz.

Zgodnie z ryzykowną, ale sensowną radą Józef pogonił konie. Szybko dotoczyli się do zbiegowiska na drodze. Tomasz nie rozpoznawał dwóch młodzików wyrzuconych z pojazdu. Zauważał jednak, że obaj byli niekompletnie ubrani i zupełnie spanikowani. Za to leżąca między nimi kobieta

zachowała więcej spokoju, podczas gdy żołnierze nie kryli swej konsternacji. Leciwa już dama także była niekompletnie ubrana, a mieszanina kurzu i pudrów na jej twarzy przywodziła na myśl obrazy harpii z greckich malowideł.

– Nazwisko! – wrzeszczał rotmistrz.

– Joanna Wislerowa, zamieszkała w Wilnie, przy Szpitalnej… ugh, nie bijcie!

– Panie oficerze… – zaczął Tomasz, pchany intuicją starego konspiratora.

– Ciszej! – ryknął rotmistrz. – Jazda mi stąd! Niczego nie widzieliście, zrozumiano?

– Już, panie oficerze…

– Chyżo, zmiatajcie mi stąd, bo was też zatrzymam!

Józef popędził konie, a te posłusznie wyminęły leżących na drodze zatrzymanych. Potem wóz przyspieszył i sam zniknął w chmurze kurzu. Ziuk bardzo sumiennie wziął do serca polecenie dowódcy patrolu i po chwili bojowcy zniknęli z oczu Kozaków.

– Boże, Boże, tak blisko… – szeptała Janina.

– To była ta burdelmama? – zapytała wprost wstrząśnięta Aleksandra.

– Co robimy?! – jęknął Tomasz. – Józefie, co robimy?

– Jedziemy. Nawet się nie odwracajcie. Póki zajmują się Wislerową, musimy wyglądać niewinnie jak lilie!

– Co robimy z akcją?!

Zamilkli wszyscy, słychać było tylko parskanie koni i terkot kół. Myśli konspiratorów podążały w jednym kierunku. Akcja stała się niemożliwa do przeprowadzania. To znaczy: była możliwa, ale bezpieczna jak rosyjska ruletka.

– Musimy wracać! – odezwała się Janina. – Ostrzec, odwołać!

– Jeśli zawrócimy, zgarną nas – odparł drżącym głosem Ziuk. – Zresztą jak? Zdążymy powstrzymać grupę Walerego, ale Aleksander już dawno ru-

szył po wóz z bombami.

– Wymyśl coś, jesteś wodzem! – jęknęła Regina. Gdy jednak nie padła żadna odpowiedź, to ona dodała głosem silniejszym i głośniejszym: – Dobrze, jedziemy dalej. Damy radę!

– Regino! – jęknęła Janina.

– Kobieto, opanuj się! To nie wyjdzie! – syknął Tomasz. – Jedziemy na stację i przeczekamy. Bez sygnału nie zaczną.

– Damy sygnał! – rzuciła ostro Brzeszczot-Lepiszcze. – Akcja się odbędzie.

Wszyscy wiedzieli, co dzieje się w głowie Reginy. Pieniądze z napadu były dla jej męża ostatnią deską ratunku. Musiała coś zrobić, za wszelką cenę. A Tomasz odczytywał też głosy tłukące się pod czaszką Ziuka. „On chce ruszać, chce dokończyć plan. Musi zwyciężyć lub zginąć, inaczej już nigdy nie będzie naszym wodzem". I wspomniał te wszystkie wieczory przy długich rozmowach, gdy Józef, nie łykając ani kropli wódki, wyglądał jak pijak z rosyjskiej powieści. Oni go nie słuchali, pogrążeni w oparach alkoholu, ale on deklamował wzniosłe frazy o śmierci za ojczyznę. O tym, że z raz obranej drogi się nie zawraca, gdyż tylko tchórze się cofają. O tym, ilu ludzi na takie akcje posyłał, ilu przez to skończyło na szubienicy i że w razie swojej śmierci da świadectwo, że ich wódz nie gardził brudną robotą.

„Zrobi to! Da się podpuścić tej wariatce i wpadniemy w pułapkę. Zabije nas!" – pomyślał Tomasz Arciszewski, pseudonim Siłacz.

Prace towarzysza Gustawa, 19 września 1908 roku

Walery pogodził się z tym, że zginie. Należało to do obowiązków każdego wojownika o lepszą sprawę. Jednak owego popołudnia uczył się innej, chyba ważniejszej umiejętności; zaakceptowania, że powinien przeżyć. Idąc na dworzec, co chwila spoglądał w oczy Czesława, Pawła i pozostałych, dostrzegając w nich niepokój. Nie tylko zwykły strach przed aresztowaniem czy kulą żandarma kolejowego, ale przed Walerym właśnie. Miał opinię straceńca i o czym bezwiednie przypominali mu wszyscy: pechowca. Jego odruch, objawiający się wpierw drapaniem dwoma palcami prawej ręki dłoni lewej, a zaraz potem trzema palcami ręki lewej prawej dłoni, wszystkim przywodził na myśl nieszczęście pod Milanówkiem. Gdyby miał siłę, zapewniałby kompanów, że tym razem nie skrewi, a w dodatku, że zrobi wszystko, aby wydobyć swoich ludzi żywych. Ale wpierw nie miał siły, potem nie miał czasu. Około południa napotkał pierwszą przeszkodę, a potem akcja wciągnęła go niczym wycieczka po poleskim bagnie.

Towarzysz Piorun, czyli Czesław Zakrzewski, nie dotarł na miejsce zbiórki. Wszystko w grupie Walerego było zaplanowane jak w zegarku. On miał dołączyć do towarzyszy z Warszawy, jadąc pociągiem o jedenastej do Grodna. Tam miał zabrać Pawła Brzyckiego, Czesława Świrskiego i Czesława Zakrzewskiego do docelowego pociągu trasy petersburskiej. Na rozdanie uzbrojenia miał tylko godzinę, ale praktyka organizacji wskazywała, że lepiej zrobić coś w pośpiechu, niż ryzykować dekonspirację przez siedzenie w wagonie z załadowaną bronią. Poza tym Grodno i Wilno były dużymi stacjami, trudno je było pomylić, a ustawianie skomplikowanych zadań na małych przystankach aż prosiło się o katastrofę.

A owego dnia ktoś błąd popełnił. Trzech bojowców siedziało w grodzieńskiej kawiarni dworcowej i usiłowało nie rozglądać się zbyt intensywnie. Tego typu starania niemal nigdy się nie udają i trzech ubranych w długie płaszcze mężczyzn wyglądało jak czekający na dostawę towaru morfiniści.

– To nie na moje serce! – powtarzał Paweł Brzycki, czyli towarzysz Brzytwa. Co chwila klepał się w klatkę piersiową lub ściskał niewielkie puzderko z glicerynowymi tabletkami. – Nie ma go, dekonspiracja!

– Tego nie wiemy, może się spóźnił na pociąg w Warszawie – odparł Czesław Świrski, towarzysz Adrian. – Walery, co robimy?

– To co zawsze, Czesiu, zmieniamy świat – odparł Gustaw. – Póki nie mamy wyraźnego sygnału, że akcja odwołana, kontynuujemy. Nie bójcie się, damy radę. Żelastwo rozdam dopiero gdy ruszymy z Wilna, ryzyko małe.

– Dla ciebie całkiem spore – zauważył Paweł i znów położył dłoń na sercu.

Potężnie zbudowany student medycyny i farmacji był najmłodszym z obecnych przy stole, ale i najbardziej niedołężnym. Był przekonany, że zaraz umrze na zawał serca (czego przy jego tuszy nie dało się wykluczyć) i dlatego nie może ryzykować udział w niebezpiecznych akcjach. Gdy przychodziło jednak co do czego, jego gadatliwa i paniczna natura zagłuszała odwagę serca. Niestety, był w akcjach niezbędny, gdyż jako student medycyny potrafił załatwić, a nawet zalegalizować znaczne ilości nitrogliceryny. Jednak bojowcy nie używali chemikalium, aby ukoić rytm ich serc, ale przyprawić o palpitację agentów Ochrany.

– Nie bój się! – kolejny raz uspokoił go towarzysz Gustaw. – Przecież was nie wydam, a w śledztwie mnie nie złamią.

– Tego nikt nie jest pewny… – zauważył przytomnie Czesław.

– Ja jestem pewien – przerwał mu Walery. Podniósł zza filiżanki niewielką, szarą tabletkę. – Niepozorna, prawda? Wygląda jak lekarstwo na serce…

– To jest moje lekarstwo na serce – zauważył Paweł.

– ...a to tabletka pełna śmiertelnej strychniny. Połknę ją i następnym razem odezwę się dopiero na Sądzie Ostatecznym...

– Kurwa, Waluś, to jest moje lekarstwo na serce – powtórzył Paweł. – Nitrogliceryna z apteki Wittów w Warszawie.

– Tak... tak? – W głosie towarzysza Gustawa pojawiła się nuta niepewności. – To gdzie...

– Kurwa! – syknął Czesław i rozpoczęli gorączkowe poszukiwania. Wysypali na stolik zawartość papierowej torby niesionej przez Pawła i zaczęli oglądać każdą z pojedynczych pastylek. – Jak to wygląda?

– Inaczej! – odparł Paweł. – Musisz znaleźć tylko jedną odmienną kapsułkę. Waluś, jak dokładnie wyglądała?

– No nie wiem, wielkości była identyczna. Może trochę jaśniejsza...

– Może?! Kurwa, Gustaw...

– Czy jeszcze czegoś sobie panowie życzą? – zapytał uprzejmie kelner, który od pewnego czasu stał nad wpatrującymi się w pigułki spiskowcami.

Paweł z trudem opanował atak paniki, ale Walery odpowiedział pozornie spokojnym głosem:

– Dziękujemy. Poprosimy rachunek.

– Jeden? – uściślił kelner.

– Oczywiście. I tak płacimy z centralnej kasy... – zaczął towarzysz Gustaw, ale przerwał, zanim jeszcze jego łokieć trafił kuksaniec Czesława. – Jeden, jeden. Dziękujemy.

Gdy uprzejmie niedociekliwy ober skłonił się i ruszył na zaplecze, trzech bojowców wróciło do sortowania rozsypanych na stole pastylek. W ciszy, przerywanej tylko stukotem tabletek o stół, padło bardzo ważkie pytanie.

– Paweł, czemu wozisz ze sobą tyle leków?

– A ile mam wozić? Pięćdziesiąt sztuk tylko – odparł. – No co? Jak mnie aresztują, to i tak nie będę brał i umrę im na pierwszym przesłuchaniu.

– Ale po co kupiłeś aż pięćdziesiąt?!

– A po co, do diabła, mam się rozdrabniać? Taniej jest w dużej partii, tym bardziej że zwykle kupuję na funty do bomby!

– Rachunek – powiedział niewiarygodnie szybki kelner, który już wrócił z wypisanym paragonem.

Niewzruszeni Paweł i Czesław wciąż oglądali piguły, a Sławek sięgnął po portfel. Otworzył go, po czym dostrzegł w nim niewielki, biały kształt.

– Panowie, nie szukajcie, mam.

– Strychninę?

– Maryjo ostrobramska! – syknął kelner. – Ciszej, z łaski swojej, bo tu szpicli i prowokatorów jak mrówków!

Walery wręczył oberowi odliczoną sumę, po czym spojrzał mu prosto w oczy.

– Czy towarzysz z partii?

– W życiu, ja w Lidze jestem. Ale jak wpadniecie w moim lokalu, to wielu dobrych ludzi będzie miało kłopoty.

– To nie to – ocenił Paweł, podnosząc trefną pigułkę pod światło. – Wyblakła i tyle.

– Pokaż to…

Walery odwrócił się od kelnera i złapał potencjalnie trefny towar. Skończyło się tak, jak musiało: trzy palce towarzysza Gustawa skierowały się ku jednemu punktowi w przestrzeni, ale drogą tak pokrętną, że pastylka wyślizgnęła się spomiędzy dłoni dwóch spiskowców. Poleciała tęczowym łukiem ku stolikowi po prawej, po czym wpadła wprost do kawy starszego jegomościa w grafitowym surducie.

– A to co, do czorta! – zawył po rosyjsku.

Bojowcy i kelner zamarli, patrząc na właściciela kawy, w której potencjalnie właśnie rozpuszczała się trucizna.

– Najmocniej przepraszam, szanowny panie! – krzyknął ober, podchodząc do drugiego stolika. – Proszę dać mi filiżankę, natychmiast przyniosę drugą kawę. Po turecku bez dodatków?

– Chwileczkę… – wtrąciła się starsza kobieta w bezowej sukni. Dystyngowana niewiasta wstała i uśmiechnęła się łagodnie. Potem zaś przeszła na polski. – Panowie, nie stresujcie się, każdemu się może zdarzyć. Zresztą czy to nie była nitrogliceryna? Mój mąż bierze ten lek, a sądząc po jego obecnym stanie, to mu nie zaszkodzi. – Do małżonka powiedziała zaś po rosyjsku. – Kochanie to lekarstwo i tak byś wziął. Wypij, nie narzekaj, nie będziemy pana obera fatygować po nową porcję.

Walery, Czesław i Paweł jednocześnie wyobrazili sobie rosyjskiego urzędnika wijącego się z pianą na ustach po podłodze, a potem zaczęli rozglądać się po kawiarni, szukając najbliższego wyjścia. Kelner schował dłonie za plecy, aby ukryć ich drżenie.

– Ale ja muszę… Szanowna pani, szanowny panie, trzeba…

– Nie trzeba, prawda, Wasylku? – zapytała dama.

– Ja bym go kazał wypłazować na polu marszowym, ale skoro tak mówisz, żonusiu, to zostawmy sprawę. I tak bym pastylkę wziął.

– Ale… ale to dla mnie miało być! – wyjąkał Paweł. – Ja taką tuszę mam, dawka niezwykle wielka…

– A spójrz, młody człowieku, na mojego słodkiego Wasyla. Półtora tuzina kamieni waży jak nic.

– Wypraszam sobie! – ryknął Rosjanin, chyba rozumiejąc polskie zdania.

– Ale, ale…

– Ja muszę zrobić nową kawę! – dodał z desperacką mocą kelner. – To dyshonor dla mnie i zakładu.

– Honor, honor! – syczał urzędnik. – Kolejny Lach się honorem unosi.

– Przepraszam! – rozległ się nowy głos.

Sześcioro par oczu skierowało się do trzeciego stolika i we wszystkich zakwitło zdumienie. Patrzyli na ubranego w skromny, ale schludny garnitur młodego człowieka w okularach. Szkła te były nałożone na twarz o rysach nieczęsto spotykanych w tych stronach.

„Kałmuk jaki? – pomyślał Sławek. – Ale nie, wygląda inaczej, a i akcent ma dziwaczny. To chyba Lapończyk… Nie, ten drugi, Japończyk z wysp na

Pacyfiku. Co go do Grodna przygnało?”

– Serdecznie przepraszam, ale czy historię ową w gazecie mojej opisać mi szanowne państwo pozwoli? – zapytał Japończyk. – Nazywam się Kobayashi Osamu. Jestem korespondentem… – kilka uderzeń serca myślał, jak przetłumaczyć tytuł – …„Kuriera Tokijskiego”. Piszę artykuł o Grodnie, a postawa tego kelnera buduje bardzo dobre świadectwo o tym mieście.

– A co pan… – zaczął pytanie Rosjanin, ale potem pojął, że nie wie, czego chce się dowiedzieć. A że błogosławieni ci, którzy nie mając nic do powiedzenia, nie oblekają tego faktu w słowa, urzędnik sapnął i zamilkł.

– Ależ oczywiście, kochanieńki – odparła łaskawa pani. – Pan z jakiejś wschodniej guberni pochodzi, prawda?

Nie czekając na rozwój sytuacji, kelner porwał filiżankę Rosjanina i zniknął z nią na zapleczu. Bojowcy też nie czekali na rozwój sytuacji, wręcz aktywnie postanowili go zatrzymać.

– Czy panowie pozwolą potem zamienić kilka słów? – zapytał Japończyk, który już siadł przy stole polsko-rosyjskiego małżeństwa.

– Tak, oczywiście… – odparł Walery, a do towarzyszy szepnął: – Wychodzimy, wychodzimy, wychodzimy!

Wyszli, kiedy przybysz z dalekiego Nipponu zadawał niezwykle niedyskretne pytania starszej parze. Skierowali się prosto na peron, gdzie do przyjazdu pociągu musieli poczekać jeszcze dwie godziny. Mieli jednak co robić: musieli przez ten czas unikać spotkania z rosyjskim urzędnikiem, starą damą, młodym Japończykiem i zapewne czerwonym z wściekłości kelnerem, któremu w dodatku Walery nie dał żadnego napiwku. Dzień dopiero chylił się ku końcowi, a dopiero noc miała być ciekawa.

– Kurwa! Mam tę twoją tabletkę. Wrzuciłeś mu do kawy zwykłą glicerynę! – oznajmił Paweł.

– Technicznie rzecz biorąc, obaj ją wrzuciliście – zauważył Czesław.

– Panowie, omal nie zginęliśmy – powiedział cicho uśmiechnięty Walery Sławek. Od wielu, bardzo wielu miesięcy po raz pierwszy poczuł, że żyje.

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część druga, „Kurier Tokijski”, 13 grudnia 1908 roku

Koleją z Petersburga do Warszawy i z powrotem zdarzało mi się jeździć wielokrotnie. Trasa należy do Towarzystwa Północno-Zachodnich Dróg Żelaznych i jest to jeden z najważniejszych szlaków w imperium Romanowów, zapewne najważniejszy na zachodzie. Łączy stolicę Rosji z dawną stolicą Rzeczpospolitej, niegdyś wielkiej rywalki, potem poddanej carów. Na trasie znajdują się miasta tak znaczne jak Psków, Dyneburg, Wilno i Grodno, a odnogi trasy prowadzą do Rygi, Kowna, a nawet w kierunku Prus, do Królewca, a dalej do Berlina. Ceny biletów są przystępne, niższe nawet niż na linii warszawsko-wiedeńskiej. Przewoźnik oferuje trzy klasy, ale ta trzecia, w której podróż odbywa się w wagonie bez przedziałów, na szerokich i twardych ławach, jest używana głównie przez ludność wiejską do podróży do i z większych miast. Zresztą nawet pasażerowie klasy trzeciej wpuszczani są do wagonu restauracyjnego, o ile są ubrani porządnie, nie śmierdzą i nie są ewidentnie pijani.

Druga klasa stanowi większość składu na trasie Warszawa–Petersburg. Czasem są to trzy, czasem dziewięć wagonów, zwykle zaczepionych tuż za tymi klasy pierwszej. Warunki panują w nich znośne: jest schludnie i dość elegancko, choć pociągi rosyjskie zdają się nie dość ocieplane jak na warunki klimatyczne. Przedziały liczą po osiem całkiem wygodnych foteli i choć nie oferują żadnych usług, można bez problemu przejść z nich do wagonu restauracyjnego.

Na trasie do stolicy zawsze jeździ co najmniej jeden wagon pierwszej klasy, nawet jeśli bywa on niemal pusty. Ba! Zdarza się, że w piątki, soboty i niedziele jadą nawet trzy pojazdy najwyższego standardu.

Zazwyczaj oprócz od trzech do dziesięciu wagonów pasażerskich oraz wspomnianego wagonu restauracyjnego, między lokomotywą a resztą składu znajduje się wagon pocztowy, w którym przebywa też eskorta złożona z pracowników kolei, urzędnika pocztowego i co najmniej trzech uzbrojonych członków Samodzielnego Korpusu Żandarmów. Właśnie z tym wagonem wiąże się moja przygoda na trasie do Petersburga.

Sen towarzysza Ziuka II

Ludzie uważają wigilię Bożego Narodzenia za dzień ze wszech miar wyjątkowy. Zwykle oczekują doznać owego wieczoru wielkiego szczęścia, zazwyczaj w gronie rodziny i przyjaciół. Jest to czas wzniosłych przeżyć duchowych, i to z gatunku tych najprzyjemniejszych. Choć Wielkanoc powinna wlewać w serca wiernych nie mniej, a może nawet więcej uwielbienia dla Chrystusa, to jednak przed niedzielnym rankiem jest zawsze piątkowe popołudnie i wspomnienie po Jezusie Umęczonym. A Boskie Dziecię w kołysce potrafi rozczulić i nawrócić nawet tak zatwardziałych niedowiarków jak wileńscy pepeesowcy. Młody Józef nie był nieczuły na magię świąt, ale od pamiętnego roku 1887, ów święty dzień kojarzył mu się tylko z jednym.

Tak naprawdę nie brał udziału w buncie. Dobrze, może i rzucił miską w strażnika, bo kto by nie rzucił, ale nie agitował, nie planował rozróby, został ukarany za cudze przewiny. W wersji sennej zwykle był odległym świadkiem buntu. Siedział w celi na końcu korytarza, choć wtedy w Irkucku było inaczej. Mózg musiał dostosowywać wspomnienie do późniejszych emocji, pokazać, że akurat tym razem niedoszły zabójca cara Aleksandra III (nieprawda, nawet jego brat Bronisław, znający lepiej bojowców z Narodnej Woli, nie planował samemu pociągnąć za spust) pokutował za nie swoje winy. Może nie cierpiał za miliony, ale gdy do oświetlonego tylko kilkoma lampkami korytarza wbiegł oddział więziennej straży i starszy konwojent Achmatow, Józef czekał na końcu skrzydła budynku jak Chrystus na biczowanie. Więc tej wigilii nie było żłóbka, tylko korona cierniowa.

Siepacze wpadli do celi, dwóch strażników złapało Józefa za rękawy startego płaszcza, a Achmatow (który tak naprawdę podczas buntu siedział i pił w irkuckiej karczmie) stanął przed zesłańcem i pośród morza wrza-

sków oraz błagań dobiegających z dziedzińca, wysyczał Józefowi w twarz swoje oskarżenia.

– I znowu, Lachu, do buntowników przystajesz! My już nauczymy twoje plemię moresu. Jesteście chorym członem Słowiańszczyzny. Chorym członkiem Zachodu. Chorym członkiem ludzkości. A my jesteśmy lekiem!

Wziął szeroki zamach i uderzył prawym sierpowym twarz Józefa. W śnie ból był wyblakły, ale przecież w ową wigilię Ziuk ciosu też nie czuł (nie od razu). Jeden z zębów wyleciał z ust jak wyrzucony z procy. Drugi też wypadł, ale utknął na języku i zniknął w morzu ciepłej krwi. Jak na umówiony sygnał strażnicy puścili Józefa, a ten w ostatniej chwili złagodził upadek przetrąconym ramieniem.

– Taka twa natura, buntować się! – krzyczał mu nad uchem Achmatow, kopiąc bok zesłańca. – A moja taka, aby cię oćwiczyć. Wytresować. Ucywilizować, Lachu! – powtarzał wraz z rytmicznymi uderzeniami buta.

Ale wtedy Józef zdał sobie sprawę, że ma pod płaszczem bombę od Ignacego i któryś z kolejnych ciosów Rosjanina na pewno zdetonuje ładunek. Liczył więc kopniaki aż do momentu, gdy coś chrupnęło, a potem świat utonął w czystej bieli eksplozji. Jasność była nieskalana jak wigilijny śnieg.

Prace Bożydara Trudnika, 19 września 1908 roku

Bożydar nauczył się odpoczywać w każdej wolnej chwili. Przejazd ze stolicy do stolicy trwał dwa dni, więc całego dyżuru nie przetrwałby nawet najtęższy wagonowy, a co dopiero początkujący, taki jak Bożydar. Dlatego kierownik Bronik wyznaczył mu czas na sen, odpoczynek i posiłki, złożone z resztek dyskretnie przynoszonych z restauracyjnego. Chłopak jadł na zapas, bo przecież na strawie można było zaoszczędzić, ale potrzebował niewiele snu i przez większość drogi z Warszawy do granicy leżał na ławie w przedziale załogi i czytał.

Na wysokości stacji w Uhowie wstawał, zakładał mundur pracownika Towarzystwa Północno-Zachodnich Dróg Żelaznych, po czym ruszał do pracy, zmieniając w Białymstoku Iwana lub Marka. Jako młodszy pracownik przejmował nocny dyżur, trwający czasem aż do postoju w Pskowie, w południe dnia następnego. W teorii, jako praktykant, otrzymywał godziny nocne, które miały być łatwiejsze, gdyż większość pasażerów spała, a w Dyneburgu i na pobliskich stacjach wsiadało i wysiadało niewielu podróżnych. Prawda jednak była taka, że pozostali wagonowi nie lubili nocnych dyżurów, a kiedy mogli, brali przykład z pasażerów i je przesypiali.

Bożydar nie protestował, choć lubił też dzień, gdyż podczas wolnych godzin przy świetle słońca lepiej mu się czytało. Ale czuł się bardzo dobrze, przejmując opiekę nad pociągiem po zachodzie, jesienią było to gdzieś w okolicach Grodna (i Ostrowa, gdy wracał z Petersburga). W teorii był odpowiedzialny tylko za obsługę pasażerów pierwszej klasy, ale w praktyce nie dość, że niańczył też żandarmów i urzędnika z wagonu pocztowego, to jeszcze asystował klientom bufetu, a dzięki temu jego rewir rozszerzał się de facto na cały pociąg. Ba! Czasem i maszyniści żądali jakiegoś posiłku

przyniesionego do lokomotywy. Wtedy Bożydar przekraczał tajemne wrota wagonu pocztowego i mijał sejfy z pieniędzmi oraz worki z pocztą.

Choć jego koledzy w obu centralach (w Petersburgu i Warszawie) namawiali go do aktywnego oporu wobec wyzysku pracodawcy, Bożydar nie zamierzał wstępować do związku. Po części był to wynik problemu praktycznego: polscy koledzy namawiali go na aktywność w Polskiej Partii Socjalistycznej, koledzy rosyjscy i bałtyccy zapraszali do mienszewików, a kilku desperatów do poparcia Lenina i jego bandy. Na tych nikt nie donosił, bo na kolei nie tak się załatwiało sprawy, ale prawdziwych komunistów często znajdowano z rozkwaszonymi nosami, gdzieś za magazynem węgla.

Wszystkim frakcjom Bożydar odpowiadał, że nie interesuje go polityka socjalistyczna, obiecał siostrom, że nie wda się w żadną bezbożną aferę, a podczas dyskusji o niepodległości z pepeesiakami cytował Dmowskiego, co zwykle zniechęcało biało-czerwonych towarzyszy do dalszej rozmowy. Ale jego lojalna wobec systemu światowego wyzysku postawa nie była wynikiem jedynie podszeptu idei, ale rozumu praktycznego.

Bez ojca radzili sobie już kilka lat, lecz śmierć matki przyniosła w życiu rodziny Trudników istne trzęsienie ziemi. Osiemnastoletni Bożydar stał się z dnia na dzień głową rodziny, to jest jedynym żywicielem schorowanej cioci Wandy i dwóch młodszych sióstr. Zamiast brać okazyjne kursy, zatrudnił się w towarzystwie na etat i jeździł na dalekich trasach tak często, jak się dało. Pieniędzy z tego miał dość, jak na skromne życie, które z siostrami prowadził. Na szacunek nie narzekał, bo choć praca była ciężka, mundur i godność kolejowca starczały mu do szczęścia. W wolnych chwilach czytał i gromadził wiedzę, którą chciał pewnego dnia pokazać na egzaminach uniwersyteckich. Póki co nie odłożył dość grosza, aby móc utrzymać ciotkę, siostry i siebie, ale Bożydar był cierpliwy. Dlatego kwitował zapowiedzi strajków i manifestacji pełnymi tolerancji, ale i wzgardy westchnięciami, po czym robił swoje. W każdym razie: bardzo w to wierzył.

Gdy wjeżdżał na peron dworca w Grodnie, był gotowy do pracy. Wyprasowany mundur pachniał czystością i solidną robotą. Wraz z bagażowym Antonem Bożydar ustawił się przy tylnych drzwiach, aby przywitać podró-

żujących do stolicy. Zwykle wszystkie pakunki odbierali Anton i Marek, ale ponieważ ich starszy kolega ordynarnie zapił, Bożydar musiał zastępować bagażowego. Sprawnie pozdrawiał pasażerów pierwszej klasy, potem podawał Antonowi kufry. W Grodnie pociąg petersburski miał stać dwadzieścia minut. Zdążyli bez problemów, przyjmując ostatnich podróżnych wraz z ostatnim gwizdkiem.

Bożydar miał przeczucie, że wszystko idzie zbyt gładko. Podczas trasy z Warszawy nikt nie czynił burd, nikt nie zgłaszał zguby bagażu ani kradzieży. Dlatego młody wagonowy czekał na jakieś komplikacje, ale nie potrafił wskazać konkretnego źródła niepokoju. Nagle jego uwagę zwróciła dziwaczna grupa ludzi wchodząca do pierwszego wagonu drugiej klasy, tuż obok niego. Trzech mężczyzn prowadzonych przez rosłego brodacza ze szklanym okiem wyglądało nietypowo, a ich wódz roztaczał wokół siebie straszną aurę, pełną niezgłębionego szaleństwa.

Akcja pod Bezdanami, 19 września 1908 roku, towarzysz Ziuk

Józef obudził się, gdy bryczka wjechała na bezdański bruk. Zmienił Tomasza i znów powoził pojazdem, rzucając tylko czasem niezbędne komendy. Do wsi dojechali około ósmej wieczorem i byli świadkami zasypiania tego dziwnego sioła. Pod pewnymi względami Bezdany całkiem skutecznie udawały małe miasteczko.

Józef był tu wiele razy. Przejeżdżał podczas podróży kolejowych, bywał nawet w samej wsi, w tym raz jeszcze w czasach gimnazjalnych. Mało go mogło zaskoczyć w tej miejscowości. Oceniał, że we wsi znajduje się mniej niż sto domów, najwyżej czterysta dusz, w tym połowa w ten czy inny sposób związana była z funkcjonowaniem stacji kolejowej. Zbudowanie postoju kolei żelaznych pięć dekad wcześniej miało ożywić miejscowości na Wileńszczyźnie, i tak zwykle się działo, choć nie wszędzie. Ziuk uważał, że jeśli cywilizację porównać do choroby, niektórzy pacjenci mogą ją przejść zupełnie bezobjawowo.

Bryczkę zostawili kilkanaście sążni od stacji. O tej porze samotny wóz mógł wzbudzać zainteresowanie, ale i ciemność ukrywała już większość alarmujących detali. Dwa konie były gotowe do ewakuacji; albo ciągnięcia bryki, albo niesienia jeźdźców, na wypadek gdyby pojazd trzeba było porzucić.

Grupa Ziuka skierowała się ku stacji. Dwóch mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy idący pewnym krokiem, wyglądali dziwacznie na krótkim brukowanym fragmencie ulicy. Weszli do niewielkiego pomieszczenia stacji łączącego funkcję poczekalni i bufetu. Usiedli, jako jedyni oczekujący, nie licząc miejscowej rodziny, która głośno komentowała po litewsku przybycie

„eleganckich państwa". Józef nosił stary płaszcz i buty odkupione od żołnierza, ale takie, które mogły pamiętać ewakuację Port Artur. Na szosie wyglądał na woźnicę, jednak widać ten standard ubioru był uważany za elegancki wśród bezdańskich mieszkańców. Na pewno uwagę zwracały urodziwe panie, tym bardziej że wszystkie trzymały swoje torebki podejrzanie blisko dłoni.

– Siadamy i czekamy na Katajamę – powiedział Ziuk.

– Nie mamy! Po takie przysmaki to do Wilna! – odkrzyknął bufetowy o niezwykle czułym słuchu, który nie całkiem zrozumiał, o co chodzi Józefowi.

– Jezu, trzeba uważać – szepnęła Janina, a do ajenta powiedziała: – O której pociąg będzie?

– O jedenastej, szanowna pani – odparł młody jeszcze wąsacz w niemal dopranej koszuli i mało eleganckiej kamizelce. – O ile ich po drodze nie napadną.

– Jakże to by mieli napaść między stacjami? – zapytał pozornie rozbawionym głosem Ziuk.

– Ja tak się nie rozeznaję, ale jeśli szanowny pan zna się na napadaniu pociągów, to wierzę na słowo.

– Nigdy nie napadłem na pociąg – odparł Ziuk. Gdy już wymawiał te słowa, poczuł, że jego policzki krasi rumieniec wstydu.

– Czyli pan niedoświadczony? – zauważył wąsacz, podchodząc do stolika ze szklankami. – Herbaty?

Ziuk zastygł na dwa uderzenia serca, po czym zaczął się rozglądać po poczekalni. „On wie, on wie!" – myślał gorączkowo. Aleksandra, Janina i Regina sięgnęły do torebek, jakby były trzema marionetkami poruszanymi przez jednego lalkarza. Tomasz skierował głowę ku siedzącej pod ścianą rodzinie, jakby oceniając, czy stary, chuderlawy chłop, jego okrągła jak gomółka sera żona oraz troje szkrabów, pewnie jeszcze w wieku przedkomunijnym, mogli być siepaczami Ochrany.

„Żart czy nie żart? Prowokacja? – nie przestawał panikować Józef. – Ale jeśli nie? Zaraz wpadną tu żandarmi… Spokój, spokój! Jesteśmy przecież czyści". To prawda, nie mieli bomb, a wspomniane już podwójne pistoleciki dam można było tłumaczyć obawą o własne bezpieczeństwo. Nie zrobili jeszcze niczego złego, choć jeśli ajent znał pseudonim Prystora i nie uznał „katajamy" za jakiś egzotyczny deser, to wiedzieli o nich wszystko. „Bez sensu. Nawet gdyby wiedzieli, to by ten chłystek się nie demaskował!" – pomyślał Ziuk, opanowując drżenie rąk. Spojrzał po towarzyszach.

– Chyba nic się nie stało… Ale nie wiem, czy skoro nie dostaliśmy listu, jest sens jechać.

– Poczty u nas nie ma, ale można listy odbierać u naczelnika stacji, od poniedziałku rano. Poczta przyjedzie dziś z pociągiem do stolicy, ale jutro niedziela, więc wydać mi go grzech.

– Czy… czy mógłbyś, dobry człowieku, nie słuchać tego, co mówimy? – wysyczał wściekły Józef.

– Jestem kelnerem, to muszę słuchać, co klienci mówią. A właśnie: rozpalać samowar?

– Panie, daj nam spokój… – zaczął Ziuk, ale wtedy zdał sobie sprawę, że jeśli nie chce zwracać uwagi, powinien coś zamówić. – Dobrze, herbatę poprosimy.

– A nie mówiłem? – mruknął ajent i położył na stole tacę z pięcioma szklankami.

Zaraz zniknął na niewielkim zapleczu poczekalni. Przez zamykające się drzwi Józef zauważył, że sięga po stojący w sieni but. Jako dawny zesłaniec doskonale wiedział, co łączy but z herbatą. Nie znał szybszego sposobu na rozpalenie samowara niż wentylowanie go wysokim kozakiem lub kaloszem. Wyobraził sobie, jak kelner i ajent całego lokalu w jednym sypie do blaszanego sprzętu węgla, polewa go oliwą, po czym zręcznym ruchem ciska w środek zapałkę. A potem sięga po najlepszego przyjaciela stopy. Zaciska dół cholewy rytmicznym ruchem, a już po chwili ogień bucha pod zbiornikiem samowara.

– Co robimy? – zapytał mocno wstrząśnięty Tomasz.

– To szpicel! – uznała natychmiast Regina.

– Ciszej, pewnie słyszy – uznała Aleksandra. – Józefie, jeśli to prowokator?

Ziuk już dawno zmienił zdanie. Chciał odwołać tę akcję już od incydentu na drodze, ale nie potrafił znaleźć dobrego pretekstu. Złe przeczucia to za mało. Poza tym zadeklarował, że nie stchórzą. Słyszeli wszyscy, jego Oleńka, Janina, Tomasz… ta szalona młódka… „Odwagą Polaka jest inny Polak – pomyślał ponuro Józef. – Jak to będzie wyglądało, jeśli wyjdzie, że jechaliśmy tu na próżno!"

W tej samej chwili do poczekalni weszli następni goście, a w serce Józefa wstąpiła wiara w powodzenie przedsięwzięcia. Towarzysz Katajama i Wojciech (Ziuk nawet nie potrafił przypomnieć sobie jego pseudonimu) sztywnym krokiem podeszli do drugiego stolika i usiedli demonstracyjnie plecami do pierwszej grupy.

– Kto taki piękny? – zapytał towarzystwo młody bojowiec Wojciech.

– Co takiego? – Józef nie krył zdziwienia.

– Kto taki piękny? – powtórzył. – Hasło. Kto taki piękny?

– Komuniści – odruchowo odpowiedziała Janina.

– Przecież to odzew na następny tydzień! Towarzyszu Katajama, co robimy?

– No przecież widzisz, że to moja żona – zauważył Aleksander Prystor. – No i towarzysza Ziuka też chyba poznajesz.

– A, faktycznie. Przepraszam – dodał młodzik, po czym sięgnął do kieszeni i po chwili podał Józefowi ciężki przedmiot owinięty w szmatę.

– Jezu, nie tutaj! – syknął Ziuk.

– Państwu też podać herbatę?! – Dobiegł ich krzyk z zaplecza. – Tylko szybko proszę się decydować, bo za pół godziny pociąg będzie.

W absolutnej ciszy przywitali wracającego z samowarem kelnera. Wąsacz prowadził wózek z urządzeniem, bardzo uważając, by jego zdezelowane kółka nie spowodowały katastrofy. Jednocześnie rzucał co chwila na boki szalone spojrzenie. Przez kilka sekund Józef rozważał zupełnie absur-

dalny scenariusz, w którym to kelner jest terrorystą, samowar wypełniony jest nitrogliceryną i rozerwie ich zaraz w wielkiej eksplozji. Mimo to wąsacz dotarł do ich stolika i zaczął napełniać szklanki.

– Ostrożnie! – syknął Józef, prowokując jakby katastrofę.

Skrytykowany kelner jak na komendę prysnął kilkoma kroplami wrzątku na dłoń Tomasza. To wystarczyło, aby bojowiec cofnął rękę, wywracając przy tym szklankę ze swoją herbatą. Ta, wciąż niemal wrząca, popłynęła gorącym potokiem ku krawędzi stołu, po czym zleciała na spodnie Józefa. Ziuk poderwał się na równe nogi. Krzyk zaskoczonych kobiet na szczęście zagłuszył odgłos zsuwającego się z kolan i upadającego na podłogę rewolweru.

Najszybciej zareagował Tomasz. Chwycił ze stołu serwetę, po czym złapał mocno jej przeciwległe rogi. Z tak zaimprowizowaną garotą skierował się do kelnera. Ten zaś uniknął sprawnie ataku… „Nie, czekaj!" – chciał krzyknął Ziuk, rozumiejąc, że bufetowy nie uchyla się przed napaścią, tylko chce wytrzeć oblaną herbatą nogawkę. Ale to i tak nie miało znaczenia, gdyż wzrok wąsacza padł na owinięty w szmaty rewolwer.

– Najmocniej przepraszam, zaraz podniosę – zapewnił i wyciągnął rękę po śmiercionośny prohibit.

Nie czekała na to Regina. Brzeszczot-Lepiszcze kopnęła rewolwer, posyłając go poza zasięg kelnera. Potem kopnęła go raz jeszcze Janina, a przeklęta broń zniknęła pod stołem Aleksandra i Wojciecha. Ten drugi, chcąc się zrehabilitować za wcześniejszą pomyłkę, od razu ukucnął i schował pakunek. Potem Józef wręcz nie mógł uwierzyć, że żaden z pocisków colta nie wypalił od nieoczekiwanych wstrząsów. Owego wieczora wszak wszystko było możliwe.

– Do diaska! – syczał Ziuk, chcąc odwrócić uwagę ajenta.

Teatralnie upadł na podłogę, zasłaniając sobą wszelką aktywność pod drugim stołem. Na udawanie, że nic się nie stało, było już za późno, ale w owej chwili chcieli z tej sytuacji wyjść z twarzą.

– Ja… bardzo przepraszam! – powtarzał kelner. – Oczywiście herbata gratis… I oferuję zniżkę na następną wizytę w naszym lokalu.

Spojrzenia Józefa, Tomasza i Aleksandra się spotkały. Bez wydania jakiegokolwiek dźwięku wszyscy osiągnęli zgodność myśli i znaleźli się na skraju paniki. Jeśli akcja miała się odbyć, kelnera winno się uciszyć jak najszybciej, i to na wieki, w przeciwnym razie wścibski ajent był gotów na nich donieść. Ten z kolei jak gdyby nigdy nic ścierał herbatę z podłogi pod towarzyszem Ziukiem.

– Dobrze, nic się nie stało – powiedział w końcu Józef. – Nie psujmy tej spokojnej nocy żadnymi awanturami.

– Dziękuję! – odparł zgięty wpół ajent.

Akcja pod Bezdanami, 19 września 1908 roku, towarzysz Katajama

Aleksander zrozumiał, że akcja została odwołana, a on może odetchnąć z ulgą. Potem jednak pojął, że teraz zaczyna się kolejny etap walki, tym razem już nie czynnej, ale wciąż zbrojnej: ukrycie sprzętu na następną akcję. I była to jego odpowiedzialność. Zaczął w myśli układać plan ewakuacji, a jednocześnie śledził działania wodza.

– Dobry człowieku, właściwie możesz już dziś zadośćuczynić nam za trudności. Co ty na to? – zaproponował Ziuk.

– Czym mogę szanownemu państwu służyć? – zapytał ajent.

– Masz ty klucze do biura naczelnika? To świetnie. Sprawdź, proszę, czy nie przyszedł list na nazwisko Wiktorski, dobrze?

– Oczywiście, szanowny panie! – zapewnił kelner, wstając. – Ale zaraz, zaraz, przecież mówiłem, że poczta ma przyjść pociągiem petersburskim, więc za jakąś godzinę.

– No tak… – odparł wyjątkowo niepewnie Ziuk. Uratowała go Regina.

– Ale może poczta dotarła wcześniej? Choćby pociągiem z Pskowa?

– To zależy, od kogo ten list – przytomnie zauważył kelner i spojrzał na Józefa. – Panie Wiktorski, skąd się pan spodziewa korespondencji?

Aleksander zaklął w duchu. Jak mawiał ów największy poeta wśród reakcjonistów, Joseph de Maistre, czas był nie tylko ministrem w rządzie Boga, ale także dorywczo błaznem w piekle. Nawet najlepiej naoliwiony umysł poddany presji czasu popełnia błędy, które okazują się oczywiste dla kogoś innego.

– A skąd mam, do diabła, wiedzieć! Nie mam pojęcia, gdzie tego nicponia porwało… – krzyknęła Regina. Najwidoczniej szalony umysł młodej rewolucjonistki pod presją czasu działał na szybszych obrotach.

– Regino, nie unoś się, lekarz zabronił! – szepnęła teatralnie Janina. – Pomyśl o sobie! Pomyśl o dziecku!

– Myślę o tym łajdaku, który nas zostawił! – krzyknęła Regina. Wstała i złapała ajenta za poły fartucha. – Panie, pokaż nam te listy. Zobaczymy, czy mój mąż to łajdak skończony, czy mężczyzna z resztkami sumienia.

– Szanowna pani… – zaczął bufetowy, ale Regina nie pozwoliła mu, by dokończył.

– Patrz pan! – Podeszła do Ziuka i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu. – Mój mąż, skończony łajdak, zniknął z pieniędzmi na wieść, że noszę jego dziecko. To jego brat, który nie dość, że Wincenta wychował po śmierci ich świętej pamięci matki, to utrzymywał go podczas studiów i długi płacił. A nawet teraz wziął po opiekę swoją nieszczęsną szwagierkę, kiedy jego krewny utracjusz spieniężył wszystkie papiery spółdzielni w Grodnie…

– Pani, ja nie chcę wiedzieć o żadnych sprawach politycznych! – jęknął bufetowy. – Chodźmy do naczelnika, listu poszukamy, mógł przyjść dzisiejszym porannym ze stolicy.

– Dzięki ci, dobry człowieku! – rzuciła Regina.

Brzeszczot-Lepiszcze i Ziuk wyszli za niepewnie stąpającym ajentem. Na odchodnym Józef szepnął Aleksandrowi:

– Akcja za tydzień, ratuj, co się da!

Łatwo było powiedzieć, trudniej zrobić. Słysząc, jak dowódca odwołuje napad na pociąg, Aleksander wcale nie odetchnął z ulgą. Może dla innych kończyły się najtrudniejsze zadania, ale dla niego rozpoczynała się prawdziwa próba. To przecież on sprawował pieczę nad ładunkami wybuchowymi i palnikami karbidowymi. Na jego barki spadało zadanie tytaniczne: ukrycie trefnego wyposażenia tak dobrze, aby go nie znaleziono, ale i na tyle sprytnie, aby użyć go w następnej akcji.

„Oczywiście, jeśli nikt nic nie zauważy. Jeśli ten wąsacz na nas nie doniesie, a złośliwy los nie przygotuje następnej niespodzianki" – pomyślał towarzysz Katajama. Naprawdę podziwiał Ziuka za opanowanie, a Reginę i swoją żonę za błyskawiczne odegranie wiarygodniej komedii odwracającej uwagę ajenta. Nie wątpił też, że w biurze naczelnika stacji domniemany pan Wiktorski i jego hipotetyczna bratowa będą musieli wspiąć się na wyżyny aktorskich umiejętności. Ale nie zmieniało to faktu, że on, kwatermistrz akcji, pozostał z zadaniem niewdzięcznym i co najmniej równie ryzykownym.

„W aktach pewnie mnie nie ma, ale złapanie z takim ładunkiem to teraz pewny krawat stołypinowski. Jak ja to wszystko ukryję? Tylko z Wojciechem?" Tuż przed jedenastą na stację miała przybyć grupa dywersyjna towarzysza Sawy, ale im zakazano podejmować kontaktu przed rozpoczęciem ataku. „Właśnie, mam nadzieję, że Tomasz jakoś odwoła inne grupy!"

Skinął na Wojciecha, wstali i wyszli w noc bez zbędnych słów. Dopiero w ciemnościach wieczoru Aleksander zdał sobie sprawę, że cały czas trzymał w ręku zawiniątko, kolejny rewolwer Colta, który zmierzał wręczyć Arciszewskiemu. „Ten ajent albo ślepy jest, albo w politykę naprawdę nie chce się mieszać!" – pomyślał towarzysz Katajama.

Schował rewolwer do kieszeni płaszcza i ruszył ku wozowi. W ciemności zauważył grupę ludzi w imitującej skwer kępie drzew. „No to na dwoje babka wróżyła: albo żandarmi Samodzielnego Korpusu, albo reszta naszych pod wodzą Sawy!"

– Kto taki piękny? – zawołał pchany odruchem Wojciech.

Gdy w grupie naprzeciw wybuchał mała wrzawa, a Aleksander wyłapał szept: „Kurwa, jaki na dziś odzew?", był już spokojny. Żandarmi Ochrany nie zachowaliby się tak nieprofesjonalnie.

– Francuzki! – odparł wreszcie szepcący w ciemności.

– Panowie, pożar w burdelu. Impreza odłożona! – powiedział pewnym głosem Prystor.

– Serio? – Z ciemności wyłonił się młody Sawicki z widocznym grymasem rozczarowania na twarzy. – Co się dzieje?

– Rozpuść ludzi, niczego nie widziałeś. Czekajcie na znak.

– Leża zimowe? – zapytał bojowiec, upewniając się, że grupa ma się rozjechać na wszystkie strony świata.

– Nie, letnie. Może następny pociąg… za tydzień!

– Dobrze, towarzyszu. Z Bogiem!

Podniósł prawicę w serdecznym geście, ale nie zaryzykował podejścia do Aleksandra. Zaraz znów zniknął w mroku, skąd zaczęły dobiegać gorączkowe szepty. Towarzysz Katajama pożałował, że nie poprosił o pomoc, ale było już za późno. Zresztą zmiana planów niemal nigdy nie popłacała. Potem Aleksander niemal trzasnął się otwartą dłonią w czoło: w grupie dywersyjnej był przecież towarzysz Franek, czyli Edward Gibalski, długoletni pracownik kolei. Podczas akcji miał być odpowiedzialny za sabotaż telegrafu, na którym pracował dwa lata. Przydałby się Józefowi i Reginie, mógłby skorzystać z okazji i obejrzeć urządzenie w Bezdanach, a przy okazji uszkodzić je, w wypadku gdyby ślepy bufetowy jednak postanowił wezwać pomoc. Cóż, w ten pechowy wieczór wszyscy byli zdani na siebie.

„Mam nadzieję, że chociaż Waleremu idzie dobrze" – pomyślał Aleksander. Miał szczęście, że nie posiadał żadnych zdolności paranormalnych, gdyż widząc, co w owej chwili wyczynia towarzysz Gustaw, zapewne sam poddałby się Ochranie.

Wraz z Wojciechem dotarli do wozu. Jechać zupełnie po ciemku nie mogli, więc młodszy z bojowców zawiesił nad kozłem solidną lampę naftową. Dzięki temu widzieli fragment drogi, ale Prystor poczuł się samotny, słaby i opuszczony.

W ciemnościach wrześniowej nocy lampa naftowa wyglądała jak miniaturowe słońce. Niestety, ta sztuczna gwiazda była zagubiona w czerni podwileńskiego kosmosu i wyglądała na samotną, słabą i opuszczoną jak, nie przymierzając, towarzysz Katajama. Podniesiona na kiju latarnia owszem, oświetlała świat na kilka sążni przed nimi, tworząc jakby sferę łagodnego blasku. Za to wszystko to, co znajdywało się poza zasięgiem światła, zlewało się w bezkształtną masę, jakby oblepiającą kulę jasności. Aleksander

i Wojciech mogliby minąć przyczajony tuż obok patrol Kozaków, nie widząc ani koni, ani jeźdźców.

„Jeśli znów nam koło spadnie, to wszystko stracone. Każę Wojciechowi uciekać, a sam zdetonuję ładunki!"

Ale tym razem święty Brutus, patron zamachowców, musiał patrzyć przychylnie na bojowców. Wóz wyjechał z Bezdan nie niepokojony. Na drodze nie spotkali nawet jednego wiejskiego pijaka (co w sobotnią noc mogło się wydać podejrzane), a tym bardziej czoty patrolujących za dnia Kozaków.

Nie można powiedzieć, że nie byli przygotowani. Wojciech i kilku innych towarzyszy z Wilna zawczasu wykopali ziemiankę w lesie, w której miano przechować łup. Jednak kryjówka posłużyła za magazyn dla zupełnie innego towaru.

Ostatecznie wóz wjechał kilka sążni w las, Aleksander stanął z dwoma rewolwerami na drodze, a Wojciech zaczął rozładowywać broń i narzędzia. Towarzysz Katajama stał, trzymając dwa colty i myśląc, czy po wystrzelaniu obydwu bębenków nie zostawić dwóch kul dla siebie i towarzysza. Na szczęście nikt nie zbliżał się leśną drogą, a praca młodemu bojowcowi przebiegała nad wyraz sprawnie. Jego umięśnione ramiona chwytały kolejne skrzynie i zanosiły je do ziemianki. W lichym świetle lampy nie wyglądał na człowieka, ale na jakąś leśną bestię, potężnego niedźwiedzia. To straszne wrażenie psuła tyko nucona pod nosem piosenka.

Wojtek, Wojtek, chłop kochany
Co żołnierskie cechy miał
Z bojowcami bił Moskala
Przyjacielem nam się stał!

Tekst tej pieśni jakoś nie pasował Aleksandrowi do niczego, ale stary bojowiec nie wybrzydzał. „Pewnie to na cześć jakiegoś Wojciecha, który za wolność oddał młode życie swe. Raczej nie z Wilna, nie z Warszawy, może Łodzi czy Krakowa. Kto wie, może nasz towarzysz Wojciech przybrał pseu-

donim na cześć tego bohatera?" W tym momencie uznał, że melodia piosenki jest właściwie miła dla ucha, a tekst musi znaczyć coś ważkiego.

Śpiew Wojciecha ginął w nocnej mgle, a Aleksander pojął, że gdyby nie te dźwięki, scena byłaby straszna. Prystor był dzieckiem miasta. Urodził się i wychował w Wilnie, czasem jako malec jeździł z ojcem koleją. Lasy, które otaczały litewską stolicę, były dla niego krainą egzotyczną i odległą, mimo geograficznej bliskości. Rzadko bywał w podwileńskim borze, a kiedy te kilkanaście razy w życiu przemierzał dzicz po zmroku, zawsze przypominał sobie straszne opowieści, snute przez babkę. Były to historie o pogańskich dziadach, duchach lasu i klątwach rzucanych przez kapłanów dawnej wiary na lud chrześcijański. Za dnia Aleksander, człowiek, któremu ręka nie drżała wobec rewizji żandarmów, śmiał się ze wszelkich strachów, ale noc... Noc była innym światem. Tylko widok młodego towarzysza broni powstrzymywał go przed drżeniem.

„Studiowałem matematykę i medycynę, dwie dziedziny, które powinny były mnie wyleczyć z mistycznych skłonności, a mimo to czuję zło tego dzikiego lasu. A Wojciech, co po czterech klasach edukację zakończył, śpiewa sobie pod nosem w tej jamie szatana. Czy on jest zbyt głupi, aby się bać? Chyba nie, mimo braku nauki, wydaje się całkiem łebski. Widać to już inne pokolenie, światłe światłem nowej epoki. Idą nowe czasy, piękne i straszne, ale na pewno inne. A ten drągal jest już produktem dwudziestego wieku..."

– „Wojtek, Wojtek, chłop kochany / Co żołnierskie cechy miał" – śpiewał dalej młody bojowiec, maskując wejście do kryjówki. – Towarzyszu, rzuć okiem, czy to dobrze schowane.

Aleksander schował jeden z rewolwerów do kieszeni i podniósł lampę. Podszedł do ziemianki i uważnie spojrzał na całkiem sprawnie ukryte wejście. Ukucnął, pochylił się nad jamą...

Szatan otworzył oczy dokładnie w chwili, gdy towarzysz Katajama postawił lampę na ściółce. Światło naftowej latarni na chwilę zostało zasłonięte grudą ziemi, a ochronny blask przestał powstrzymywać mroczne siły.

Dwa żółte ślepia, umieszczone nieludzko blisko siebie, skierowały się na Aleksandra. Ten zdołał zareagować, przełamując paraliż strachu.

Krzyknął, a jego głos na dobre rozdarł leśną ciszę. Ręka, pchana odruchem bojowca, podniosła colta i zacisnęła palec na spuście. Natychmiast potem noc wypełnił kolejny hałas, tym razem huk odpalanego pocisku. Kula wbiła się w ziemię przy wejściu do ziemianki, płosząc kunę.

Futrzak, przerażony nie mniej od człowieka, skoczył w rozpaczliwej próbie ucieczki. Minął stojącą lampę, minął klęczącego Prystora i zniknął w okolicznych krzakach, dodając do niespodziewanego rwetesu swój zew: dźwięk mieszający wycie i syczenie. Jednak natychmiast później wszystko zamarło. Aleksander widział tylko blask lampy, okryte darnią wejście do ziemianki i pochylającego się nad nim towarzysza Wojciecha.

– Już dobrze, towarzyszu… – szeptał młodzik, jakby bał się, że nawet najlżejsze powtórzenie poprzednich hałasów zaalarmuje garnizon w koszarach huzarskich. – To wydra…

– Ku… kuna? – wydusił z siebie sparaliżowany Prystor.

– Tak, kurna, zdarza się – potwierdził Wojciech. – Chodźmy już.

Delikatnie, jakby dotykał nie mężczyznę w sile wieku, ale kruchego starca, złapał dowódcę za ramiona i go podniósł. Potem zaś skierował ku wozowi. Z każdym krokiem Aleksander czuł, jak opuszcza go strach, a zalewa falą palący wstyd. Przyspieszył, wyrywając się młodemu opiekunowi.

– No, każdemu się zdarza – powtórzył młodzik. – Taka wydra w ciemności to może człowieka do zawału doprowadzić. Tłumaczył mi to towarzysz Brzytwa.

– Już wszystko dobrze, idziemy! – syknął Katajama.

– No właśnie. Strzału chyba nikt nie słyszał. A jak słyszał, to pewnie pomyślał, że to jakiś poeta nieudany poszedł do lasu się zabić. – Dogonił Prystora i znów konfidencjonalnie położył mu dłoń na ramieniu. – Zresztą towarzysz to już nie powinien z nami na akcje chadzać, tylko planować operacje. Doświadczenia nie należy wystawiać na nadmierne ryzyko.

– Tak, pewnie masz rację – odruchowo odparł Aleksander, nim pojął, że właśnie dziewiętnastolatek wysłał na emeryturę trzydziestoczterolatka. – Kurwa! – szepnął, myśląc o kunie.

Akcja pod Bezdanami, 19 września 1908 roku, towarzysz Siłacz

Tomasz szedł do kantorka naczelnika pełen najgorszych przeczuć, ale przez tę setkę kroków, która dzieliła bufet od biura, zdołał się uspokoić. Myślał chłodno, racjonalnie. Analizował zachowanie ajenta i uznał, że wierzy on w komedię odstawioną przez Reginę. Oczywiście mógł być świetnie wyszkolonym prowokatorem Ochrany, który specjalnie podpuścił bojowców, licząc na zdobycie dodatkowych informacji. Ale co właściwie mógł zyskać? Liczył, że Ziuk użyje telegrafu, aby nadać jakąś wiadomość? Bardzo nieprawdopodobny scenariusz. Chciał rozdzielić terrorystów, aby poradzić sobie z połową oddziału wroga? Widać musiał posiadać nieliche mniemanie o sobie, uważając, że powali dwóch całkiem rosłych mężczyzn i trzy uzbrojone w parasolki kobiety. Owszem, nie wiedział o pistoletach dam, a tym bardziej o bojowym duchu działaczek, ale i tak ryzykował sporo. „Chyba że w biurze śpi żandarm lub dwóch. W tym przypadku ajent wprowadza nas w sprytną pułapkę". Jednak kości zostały rzucone.

Usłużny bufetowy wprowadził nocnych gości do biura. Mieściło się ono w dobudówce tego samego budynku, acz trzeba było okrążyć stację i wejść od strony miasta. Samo połączenie kantorku naczelnika, urzędu pocztowego i stacji telegrafu mierzyło ledwo dwadzieścia na dwadzieścia kroków. Tomasz zauważył, że na przeciwległej do wejścia ścianie znajdują się drzwi, zapewne prowadzące do bufetu. W półmroku (bufetowy zapalił tylko niewielką lampę naftową) widać było zarys tabliczki, na której zapewne widniało obwieszczenie „Tylko dla personelu". Z mieszaniną irytacji i pewnego szacunku towarzysz Siłacz uznał, że na stacji w Bezdanach przestrzega się wszelkich procedur.

Potem pomyślał jeszcze, że gdzieś w innej rzeczywistości inny towarzysz Siłacz omija zapowiedź śmiertelnej pułapki, gdyż bufetowy mógł obudzić głośnym zachowaniem żandarmów, po czym dać im czas na przygotowanie się do walki. Ale w biurze nie było stróżów rosyjskiego prawa. Znaleźli tam tylko porządek, ale nie ten z gatunku starannie utrzymywanych, ale wynikający z biedy; na stacji po prostu nie dość było gratów, by zaśmiecić kantor naczelnika.

Poczta leżała na stole pod północną ścianą pomieszczenia. Tomasz zauważył, że nad równo ułożonymi stertami papierów znajduje się porcelanowy przycisk, a na suficie wisi edisonowska żarówka. Regina natychmiast podążyła spojrzeniem w górę, zainspirowana przez towarzysza.

– Macie tu oświetlenie elektryczne.

– Oczywiście – odparł ajent, wieszając lampę naftowa na haku nad biurkiem. – Mamy przecież lampy żarowe w bufecie i na peronie. Poza tym telegraf potrzebuje prądu.

– To dlaczego nie zapali pan światła? – zapytała Brzeszczot-Lepiszcze.

– No przecież poczta już zamknięta! – odparł, przypominając tę oczywistą (przynajmniej dla siebie) oczywistość. Po chwili jednak postanowił opuścić służbistą gardę, zapewne wspominając swój herbaciany blamaż sprzed kwadransa. – No dobrze, zapalę. Tylko proszę nie mówić o tym naczelnikowi.

W świetle nowoczesnej, wolframowej żarówki pomieszczenie zyskało na oficjalności. Było czyste i nijakie jak sam ajent. Aleksandra, Janina, Tomasz i Józef zaczęli oglądać uważnie wyposażenie biura, a Regina wciąż odwracała uwagę gospodarza. Wciąż skarżyła się na hipotetycznie zbiegłego męża; gdy bufetowy chciał się odwrócić, udała omdlenie. Z pomocą przybył jej Ziuk, na dobre już skupiając zainteresowanie ajenta. Pozostali bojowcy bez zahamowania zaczęli się przyglądać nadajnikowi telegrafu. Aleksandra nawet, w skrajnej bezczelności, wyciągnęła notesik i zaczęła spisywać widniejącą na tabliczce specyfikację sprzętu. Tomasz, nie będąc gorszy, podszedł do okna i sprawdził pole widzenia ulic Bezdan, dostępne z biurka naczelnika.

– Nie ma, nie ma… A to drań! – jęknęła w końcu Regina. – Wincencie, słabo mi, wychodzimy!

– Przykro mi – powiedział ajent. – Jeśli państwo poczekają jeszcze dziesięć minut, nadjedzie pociąg z Wilna. Może tam…

– Proszę się nami już nie kłopotać – przerwał mu Ziuk. – Bardzo dziękujemy za pomoc. Jeśli pan pozwoli, dopijemy herbatę i poczekamy na tę pocztę w bufecie.

Odruchowo ruszył ku drzwiom z tabliczką „Tylko dla personelu", ale został powstrzymany dyskretnym szturchnięciem przez Tomasza. Cała grupa pechowych zamachowców wyszła w chłód nocy i pokonała okrężną trasę w przeciwnym kierunku. Podświetlony żarówkami edisonowskimi zegar na wieżyczce stacji wskazywał sześć minut do jedenastej. Pociąg z Wilna mógł przyjechać w każdej chwili.

Tomasz, przekonany do słuszności sprawy socjalista, był jednak socjalistą polskim, jeśli nie katolickim, to przynajmniej maryjnym. Zaczął bezgłośnie szeptać prośby do Najświętszej Panienki, patronki wszystkiego, co polskie, więc i polskich terrorystów, aby natchnęła roztropnością towarzysza Gustawa i nie dopuściła do dekonspiracji na tym ostatnim etapie odwołanej akcji.

Akcja pod Bezdanami, 19 września 1908 roku, towarzysz Gustaw

Walery klął, na czym świat stoi, a jednocześnie nie potrafił pozbyć się tego straceńczego entuzjazmu do ewidentnie przeklętej akcji. Czesław, czyli towarzysz Piorun, nie dołączył do grupy. Walery znalazł Waldka Krzenicę na umówionym miejscu, ale gdy nie zastał w trzecim przedziale Zakrzewskiego, uznał, że wpadli. Ryzykując sporo, rozesłał pozostałych ludzi na poszukiwania. Krzenica, czyli towarzysz Ogień, Czesław (ten drugi, Świrski), Paweł, towarzysz Figiel (czyli Jan Fijałkowski) oraz sam Sławek rozeszli się po pociągu, szukając zguby. Było to zagranie bardzo ryzykowne, gdyż ostrzeżenie w jakikolwiek sposób żandarmów z wagonu pocztowego oznaczało pewną porażkę.

To towarzysz Gustaw uznał, że sprawdzi najtrudniejszy odcinek, czyli wagon restauracyjny i ten pierwszej klasy, tuż za pojazdem pocztowym. Z wielu powodów nie było to rozwiązanie idealne, gdyż Walery nie dość, że rzucał się w oczy z powodu kalectwa, to był na tyle znany z powodu procesu w Kongresówce, że mógłby zostać rozpoznany nawet przez przypadkowego podróżnego. „Szkoda, że nie mam bomby – pomyślał. – W razie wtopy wbiegłbym po prostu do wagonu pocztowego i zabrał ze sobą tak wielu, ilu bym zdołał!" Jednak, może to z powodu modlitw co pobożniejszych towarzyszy, Matka Boska Powstańcza czuwała nad straceńcem.

Nikt go nie niepokoił, wręcz przeciwnie. Na widok ubranego w długi płaszcz mężczyzny z krzywym uśmiechem i bliznami na twarzy pasażerowie odwracali wzrok. Ba! Jeśli ktoś zauważył okaleczoną dłoń Sławka, tym rychlej wbijał spojrzenie w bufetowy stół.

Sam Walery czuł dumę i moc. Nie życzył żadnemu z podróżnych źle, nawet tym dwóm narodowym zdrajczyniom: damy przy pierwszym i szóstym stoliku siedziały w towarzystwie Rosjan, z którymi ewidentnie pozostawały w zażyłych, być może nawet małżeńskich stosunkach. Ale towarzysz Gustaw wyobrażał sobie, że gdy nadejdzie godzina (minuta i sekunda), łaskawie pozwoli wszystkim wysiąść na peron i podziwiać robotę narodową z bezpiecznej odległości.

Niestety, towarzysza Pioruna nie było w wagonie restauracyjnym ani na korytarzu pierwszej klasy. Szukanie go po luksusowych przedziałach mijało się z celem. Czesław nie mógł kupić biletu *première classe,* gdyż przy takiej transakcji kolej spisywała wszystkie dane i badała niektórych pasażerów, zwłaszcza samotnych mężczyzn. Poza tym Czesław niemal na pewno nie miał dość pieniędzy na taki luksus. Przez kilkanaście sekund Walery zastanawiał się, czy kochliwy towarzysz nie jedzie w przedziale wykupionym przez jakąś damę (co tłumaczyłoby jego spóźnienie na zbiórkę), ale odrzucił tę możliwość. Piorun był słownym bojowcem, a w dodatku nie ryzykowałby wpadki w tak krytycznym czasie. A nawet jeśli nawiązałby znajomość na tak wysokich szczytach socjety, na przeszukanie przedziałów Walery nie miał czasu.

Sławek zatrzymał się przed zakazanymi drzwiami. W wagonie przed nim jechała eskorta: być może i ośmiu żandarmów Samodzielnego Korpusu. Bojowiec przejrzał się w szybie zdobiącej drzwi. W odbiciu zauważył pokrytego bliznami, ale gotowego na wszystko wojownika. „Już niedługo!" – pomyślał i odwrócił się ku tyłowi pociągu.

– Przepraszam! – powiedział wagonowy z naręczem pościeli.

Zamyślony Sławek wpadł na owego młodzika, a ten w pokazie profesjonalizmu połączył przeprosiny z twardym jak szynowa stal tonem, który wskazywał, co pracownik kolei myśli o zachowaniu pasażera.

– Nic się nie stało? – zapytał autentycznie zawstydzony Walery. – To moja wina. Proszę wybaczyć.

– Oczywiście, miłego dnia – odparł wagonowy, którego towarzysz Gustaw już niedługo pozna jako Bożydara Trudnika.

Sławek opuścił wagon pierwszej klasy nadal pełen energii, acz zirytowany zarówno swoim rozkojarzeniem, jak i (przede wszystkim!) brakiem towarzysza Pioruna. Gdy zauważył w wagonie restauracyjnym Pawła Brzyckiego, skinął mu znacząco głową, a potem podniósł wyprostowaną prawą dłoń. Tuż potem, klnąc bezgłośnie, podniósł i lewą, aby pokazać nie trzy, tylko pięć palców. Nadchodził ten czas.

Pięć minut później był już w toalecie drugiego wagonu klasy drugiej. Spod długiego płaszcza wyciągnął podróżny wór i czekał na towarzyszy. Jednak na początku usłyszał zwykłe pukanie zamiast ustalonego kodu.

– Zajęte! – oznajmił natrętowi.

– To ja, Paweł – dobiegło zza drzwi.

– To dlaczego nie pukasz kodem?

– Bo ja nie po klamkę, tylko muszę do szaletu! – rzucił towarzysz Brzytwa.

– Ciszej, na litość boską! – jęknął Sławek, po czym dodał: – Idź do drugiego! A jak skończysz, wróć i zapukaj, jak trzeba.

Na szczęście pozostali konspiratorzy działali zgodnie z instrukcjami. Krzenica, Świrski, Fijałkowski, Dobosz, a na koniec ponownie Paweł Brzycki pukali ustalonym sygnałem: dwa razy mocno, cztery razy słabo i dwa mocno. Towarzysz Gustaw wpuszczał ich, wciskał w dłoń rewolwer Colta albo małego browninga, klepał w plecy, po czym wypuszczał na korytarz. Z pespektywy postronnego obserwatora scena ta musiała wyglądać zastanawiająco, zupełnie jak sprzedaż jakiejś nielegalnej gazetki lub leku. Z min wychodzących z toalety znać jednak było, że owo lekarstwo przypominało grecki *phármakon*, który w dużych dawkach prowadził do śmiertelnej formy ołowicy.

Walery spojrzał na zegarek: do jedenastej pozostały trzy minuty. Ponieważ pociąg odjechał z Wilna zgodnie z planem, lada chwila mieli zatrzymać się w Bezdanach. Przez ułamek sekundy towarzysz Gustaw zmarkotniał, myśląc, że plan napadu uda się dzięki dokładności rozkładu rosyjskiej kolei, ale zaraz potem wspomniał, że działanie owego skomplikowanego mechanizmu możliwe jest jedynie dzięki rzetelności Polaków, Łotyszy, Fi-

nów i innych uciskanych narodów, których przedstawiciele budowali te najchwalebniejsze aspekty funkcjonowania Imperium.

„Ale już niedługo! – pomyślał. – Oto zachwieją się posady starego świata, a my: ja, Ziuk i inni towarzysze pokażemy, jak może wyglądać świat nowy. Naprzód!" W ten sposób zrobił pierwszy krok do narodowej, politycznej i społecznej (ale nie komunistycznej!) rewolucji.

A potem sześciu wspaniałych ruszyło do wagonu restauracyjnego. Choć była to część bardzo skomplikowanego planu, szli nie jak bandyci, którzy właśnie zamierzają obrabować pociąg, ale kapłani w świętej procesji. Trochę bolał Walerego brak siódmego akolity nowego porządku, ale i bez Czesława (tego drugiego; towarzysz Adrian był przecież na stanowisku) także mogli stanowić godny orszak proroków nowej ery.

Tak dotarli do bufetu, gdzie zostali zatrzymani przez groźną maszynę i groźnego człowieka. Wózek z przekąskami właśnie wyjeżdżał z restauracyjnego, aby odbyć tournée po klasie drugiej. Pchał go nie kto inny, jak Bożydar Trudnik, acz Walery jeszcze nie znał tego kluczowego dla dziejów napadu, sprawy polskiej i losów świata nazwiska.

– Orzeszki, rodzynki, wafle! – oznajmił wagonowy. – Skuszą się panowie?

– Ja... – zaczął Paweł Brzycki, tęsknym wzrokiem patrząc na przekąski. Został jednak zgromiony kilkoma surowymi spojrzeniami i szturchnięciem towarzysza Adriana. – Nie, dziękujemy.

Bożydar Trudnik ustąpić zamachowcom z drogi nie mógł. Nie chodziło (tym razem!) o pryncypialność młodego kolejarza, ale wąskość przejścia. Chcąc nie chcąc, drużyna towarzysza Gustawa musiała wyminąć wózek. Wciskali się między ściankę wagonu a pierwszy stolik, po czym przesuwali bokiem za transporter słodyczy. Nie przyszło im to łatwo, zwłaszcza towarzyszowi Brzytwie, którego potężna tusza niemal strąciła wazon ze stołu pierwszego (tym samym prawie zalewając ubrania narodowej apostatki i jej rosyjskiego męża). W dodatku pod opiętym płaszczem Pawła widać było pas, a za pasem rewolwer Colta. Na szczęście winni narodowego me-

zaliansu małżonkowie bardziej zwracali uwagę na swój stół niż na cielsko bojowca.

– Przepraszam – sapnął Brzycki i ruszył dogonić procesję.

Walery wprowadził swoich ludzi do pierwszej klasy. Przeszli przez niemal pusty korytarz (nikt dobrze sytuowany w Bezdanach nie wysiadał, chyba że naprawdę musiał) i stanęli na jego przedzie, tuż przy wyjściu. Pociąg właśnie zaczął zwalniać przed stacją. Walery zwrócił się na lewo i sięgnął po colta. Tuż za nim czekał młody Maciej Dobosz, a reszta ekipy celowała w drzwi wagonu eskorty.

Zaskrzypiały hamulce, a skład zwolnił. Sześciu mężczyzn zastygło w nerwowym oczekiwaniu na znak. Pociąg stawał, ale na ciemnym peronie stacji nie słychać było ani wystrzałów, ani wybuchu bomby.

„Coś jest nie tak!" – zrozumiał towarzysz Gustaw, ale było za późno na rozważania; Walery syknął jeszcze do Czesława i pozostałych:

– Nie strzelać, do czasu sygnału albo ognia przeciwnika!

Potem zaś energicznym ruchem nacisnął klamkę drzwi i nie czekając na zatrzymanie pociągu, skoczył w ciemność. Dla dodania sobie animuszu, krzyknął gromkie: „Hu, hu!", bacząc jednak, by nie brzmiało to jak: „Bij! Pal!", czyli polecenie do natarcia. Po pierwsze jednak, zagłuszył go pisk hamulców, po drugie: odpowiedziało mu głuche echo.

Sam zaś Sławek leciał na peron trochę dłużej, niż się spodziewał. Poza tym: zamiast nowoczesnej, betonowej płyty, pod nogami poczuł, owszem, ubity, ale nieutwardzony żwir. Natychmiast odskoczył, aby zrobić miejsce lądującemu tuż za nim Maciejowi, a potem zaczął nerwowo rozglądać się wokół. Nie zobaczył nic podejrzanego, a właściwie nie zobaczył niemal nic.

Peron-nie peron nie był oświetlony nawet pojedynczą lampą. Tylko światła pociągu rzucały mdłe światło na miejsce postoju i lichy budynek tuż przed Sławkiem. Ten widok wcale nie przypominał obrazu, który towarzysz Gustaw zapamiętał z rozpoznania przed akcją. Poza tym gdy oddalił się już gwizd lokomotywy, zapadła idealna cisza, ciężka jak otaczająca ich noc.

– Ludzie, przecież tu nikogo nie ma! – szepnął Walery ku stacji w Bezdanach.

O ile była to stacja w Bezdanach…

Akcja pod Bezdanami, 19 września 1908 roku, posłowie

– To nie tu… – jęknął dowódca grupy szturmowej. – Maciej, do pociągu!

Młodzik był zaskoczony jeszcze bardziej niż jego przełożony. Dał się jednak posłusznie wepchnąć do środka wagonu (z trudem; schodki wejściowe były położone dziwnie wysoko…), nim z tylnych wagonów wyszło kilku pasażerów trzeciej klasy. Nie było czasu na tłumaczenia: towarzysz Gustaw skinął na pięciu podwładnych. Procesja świętej rewolucji ruszyła w drogę powrotną do wagonu restauracyjnego.

Bojowcy bez słowa rozsiedli się przy pierwszym wolnym stoliku. Wetknąwszy broń do kieszeni, nie zdejmując kapeluszy, wbili wzrok w puste nakrycia. W owej chwili sześciu mężczyzn było przerażonych. Najbardziej zaś Sławek, który musiał coś powiedzieć.

– To nie ta stacja – szepnął.

– Jak to? – zapytał Paweł. Przecież pierwsza po Wilnie, tak mówiłeś na odprawie…

– Może ominęliśmy Bezdany? – zastanawiał się Dobosz. – W rozkładzie pisało, że to stacja czwartej klasy. Nie zawsze zatrzymują się tam pociągi dalekobieżne.

– To nie były Bezdany – przerwał mu Walery. – Wiem, co widziałem.

– Ale dlaczego wyskoczyłeś z drugiej strony, a nie na peron? – zapytał towarzysz Adrian.

– Co takiego? – żachnął się Sławek.

Na początku był obojętny na słowne przepychanki towarzyszy. Obserwował otoczenie. Siedzieli przy stoliku tuż przy wyjściu. Na razie nikt nie zwrócił na nich uwagi, ale to mogło się zmienić w każdej chwili. Nie przy-

pominali ani pasażerów drugiej klasy (nie mówiąc już o pierwszej!), ani miejscowych, którzy mogliby jechać pod Wilno. Właściwie nie przypominali nikogo prócz zamachowców właśnie. W wagonie krzątało się dwóch kelnerów, a dalej, w pierwszym wagonie drugiej klasy, widać było przeklętego wagonowego z wózkiem. W zasięgu wzroku nie przebywał żaden żandarm ani urzędnik pocztowy. Im zapewne przynoszono posiłki na stanowiska, ale jeśli któryś chciałby pójść do baru po wysoce nielegalny, ale konieczny na służbie alkohol…

– Gustawie! – szepnął Paweł, trącając łokieć przełożonego. – Co się stało? Czy to były Bezdany?

– Dlaczego wyskoczyliśmy na lewą stronę?

– To nie były Bezdany – odparł Sławek, zdając sobie sprawę, że być może popełnił błąd. – To chyba jakaś stacja techniczna jeszcze w Wilnie. Zaraz dojedziemy do Bezdan.

– Ale jeśli wyskoczyliśmy na złą stronę, to mogłeś wziąć jakaś szopę za nieoświetlony budynek stacji – naciskał Czesław.

– Cisza, towarzysz Gustaw decyduje! – syknął Maciej.

– To nie były Bezdany! – powtórzył Walery, z każdą sylabą nabierając pewności. – Wracamy na stanowiska. Wyskakujemy na najbliższej stacji… to jest na miejscu akcji!

Pociąg toczył się jeszcze dwadzieścia wiorst, zanim znów zaczął zwalniać. Przez ten czas grupa szturmowa dokonała powtórnego rozlokowania na stanowiskach. Dzięki temu uniknęli wścibskiego kelnera, który już kroczył pewnie, by zaproponować pasażerom herbatę i ciastka. Uniknęli też spotkania z inną postacią, ale o niej później.

Kiedy pociąg zwalniał po raz wtóry, ludzie Walerego byli gotowi, chyba lepiej od swojego wodza. Sławek stał na przedzie wagonu pierwszej klasy i usiłował zagłuszyć targające nim wątpliwości. Pamiętał, że wyskoczył przez drzwi na lewo, ale dla dobra akcji musiał o tym zapomnieć. Z trudem odwrócił się na prawo i położył dłoń na klamce. Modlił się w duchu, aby żaden z towarzyszy nie zapytał o powód tej zmiany.

„A może to były Bezdany? Faktycznie, jeśli wyskoczyłem nie na peron, ale na żwir po drugiej stronie, to nie patrzyłem na budynek dworca, tylko jakiś magazyn. Ale dlaczego było tak cicho? Gdyby to było odpowiednie miejsce, ludzie Ziuka mieli gwizdać, odpalić bombę i wołać do nas!" To spostrzeżenie uspokoiło bojowca, przynajmniej na tyle, by mógł skupić się na nadchodzącym zadaniu.

Lokomotywa zagwizdała, skład zwolnił. Poza gwizdem i skrzypieniem hamulców, wszystko odbywało się w ciszy, godnej lichej stacji czwartej klasy. Walery wyjrzał przez okno…

Zamachowiec działał automatycznie i chyba to go uchroniło przed wpadnięciem w panikę. Otóż pociąg wtoczył się na zupełnie nieoświetloną stację. Sławek rozpoznał w ciemności kształt budynku poczekalni i płytę peronu, ale nie oświetlało jej nic prócz pojedynczej żarówki nad tablicą informacyjną. Towarzysz Gustaw widział, co głoszą czarne litery na obwieszczeniu, ale zdecydował się działać mimo wszystko. Nacisnął klamkę i wyskoczył w ciemność, tym razem pewnie lądując na płycie peronu.

– Polska wolna, sprawiedliwa! – krzyknął, znów złośliwie zagłuszony przez drugi gwizd lokomotywy.

Potem zastygł w miejscu, gdyż jego mózg przeanalizował już informację z tabliczki. Skaczący Maciej uderzył go w plecy i obaj mężczyźni zachwiali się, prawie padając. A potem młody Dobosz podążył za spojrzeniem kolegi i odczytał napis pod lampą.

– Podbrodzie, stacja czwartej klasy – szepnął. – To nie tu…

– Do środka, Jezu, do środka! – krzyczał ktoś od drzwi wagonu pierwszej klasy.

Walery wciąż nie mógł ruszyć nogami, ale zebrał w sobie dość sił, aby obrócić się ku pociągowi. Tam zobaczył Tomasza Arciszewskiego wciągającego Macieja na platformę wagonu. Towarzysz Siłacz wepchnął młodszego bojowca w korytarz i odwrócił się ku Sławkowi. A ten nadal stał, patrząc na wyciągniętą dłoń przyjaciela, i nie mógł się ruszyć. Tak jak pod Milanówkiem, tak jak na procesie.

„Znowu przegrałem – pomyślał. – Lepiej niech uciekają beze mnie!"

Lokomotywa zagwizdała po raz trzeci, tym razem obwieszczając odjazd. Widać nikt nie skorzystał z postoju pociągu na stacji czwartej klasy, gdyż maszynista Woźniak od razu zwolnił hamulce i odkręcił zawór pary. Jednocześnie tylko dlatego nikt nie zwrócił uwagi na stojącego samotnie na peronie zarośniętego mężczyznę z rewolwerem.

Tkwiący na platformie towarzysz Siłacz zaczął się oddalać wraz z całym stalowym potworem. Patrzył w oczy przyjaciela, przerażony, ale chyba też pełen zrozumienia. Powiedział jeszcze (a w każdym razie Waleremu tak się zdawało): „Wilno, baza, jeszcze raz". A potem odjechał w ciemność.

Walery stał pod latarnią długie minuty. Jego zamyślenie przerwał nieoczekiwany głos, tuż za nim. Ktoś po polsku, bardzo uprzejmie, zapytał ochrypłym basem, zdradzającym niedawne spotkanie z trunkiem o wysokim procentażu:

– Szanowny panie, czy pociąg do stolicy już poszedł?

– Pojechał, jeśli już – odparł lodowatym głosem towarzysz Gustaw. Nie chciał być niemiły, ale uznał, że lepiej już złajać niespodziewanego rozmówcę słownie, niż wypalić mu w głowę z rewolweru. – Poza tym o którą stolicę panu chodzi? Naszą czy Moskali? Co do Wilna jechało, to nie wiem. A że kurs do Petersburga już ruszył, to jestem pewien.

Pijak zamilkł, ewidentnie zawstydzony tymi uwagami. Ściągnął z głowy wymięty kapelusz (czego Walery nie widział, wciąż odwrócony twarzą ku torom), zaczął go miętosić w dłoniach na wysokości brzucha i szeptać:

– No racja, racja... Panie wybacz, ja pijany jak świnia, to mi się język plącze. Do Petersburga, tej jaskini łajdactwa, o to mi chodziło. To nie stolica... To znaczy jest stolica, ale tego Babilonu współczesnego, co pod swym grzechem upadnie. Właściwie nie chcę tam jechać. I tak pewnie się rozpiję do końca w tej jamie rozpusty.

– To nie jedź pan – odparł spokojnie towarzysz Gustaw. – A najlepiej: nie pij.

– Jakże to: nie pić? – zdziwił się przybysz, patrząc na tajemniczego mężczyznę spoglądającego na pusty tor.

– Ano, po prostu. Rosjan nienawidzisz, to ich nie karm. Podatki z twojej gorzałki idą do budżetu cara, a ten ma za to pieniądz, by armię i żandarmerię utrzymać, ludzi uciskać i parowóz dziejów opóźniać.

– Opóźniać… To może ten do Petersburga też się spóźnił? – hipotetyzował pijak.

– Nie, on już odjechał. Być może podjechał na czas, bo carat ma z twoich podatków pieniądze na obsługę stacji.

– Panie, toż to wyższa filozofia. Nigdy tak na moje picie nie patrzyłem – mruknął przybysz z podziwem. – Wiesz pan co? Przekonałeś mnie. – Podszedł do Walerego, wcisnął mu w dłoń nielichą butlę mętnego płynu i dodał: – Ja już nie będę karmił zaborcy. Do Petersburga nie pojadę. Jak wrócę do chaty, to żona mnie zabije, a może nie zabije. Będę silny dla rodaków i dla dzieci, które przyjdą po nas.

– Tak ci dopomóż Bóg! – potwierdził Sławek i odebrał z rąk ekspijaka butlę samogonu, jakby była to relikwia z samej Ziemi Świętej.

A nowo narodzony zwolennik trzeźwej pracy organicznej odwrócił się na pięcie i ruszył ku zabudowaniom Podbrodzia. Z każdym krokiem jego marsz stawał się lżejszy i lżejszy, tak że po chwili zdawał się szybować w tej rześkiej nocy, i to już bez pomocy alkoholu. W końcu zaczął śpiewać pod nosem, a do uszu Sławka doleciał tekst dawnej pieśni:

Sadźmy róże! Sadźmy róże!
Długo jeszcze, długo światu
Szumieć będą śnieżne burze.
Sadźmy je przyszłemu latu!

Potem zaś zniknął za rogiem budynku stacji, ale nie z horyzontu dziejów. Nieco uprzedzając wydarzenia, zdradzimy, że postanowienie byłego pijaka było szczere. Bogdan Wysota faktycznie rzucił picie, ba!, postanowił pomagać innym przełamać klątwę Bachusa. Niecały rok później, pewien już swojej stałości, dołączył do Wileńskiego Towarzystwa Krzewienia

Trzeźwości i Higieny Fizycznej, w którym działał, łącząc akcje antyalkoholowe z promocją sportów, w tym sportów strzeleckich. Choć z początku ręce drżały mu, jak to u skruszonych grzeszników bywa, z czasem stał się niezawodnym strzelcem i skarbnikiem stowarzyszenia. O jego pracy należy sądzić jak najlepiej, gdyż jedynie plotki o defraudacji pieniędzy pochodziły z kół ewidentnie niechętnych Wysocie. Członkowie WTKTiHF stali się cennymi kadrami Samoobrony Litwy i Białorusi, a i sam skarbnik Wysota zapisał bohaterską kartę w trudnych dniach stycznia 1919 roku. Mimo starań wileńskich milicjantów Ostra Brama padła, a bolszewicy zajęli miasto. Bogdan dostał się do niewoli. Został szybko zamordowany przez czerwonych, gdy wyszła na jaw jego działalność abstynencka. Należy jednak podkreślić, że owa śmierć w wieku lat czterdziestu dwóch należy do wyjątków podkreślających regułę, iż unikanie gorzałki przedłuża życie.

Jak potoczyły się dalsze losy Walerego Sławka dowiemy się niebawem. Dość na razie powiedzieć, że tuż przed północą 19 września 1908 roku bojowiec PPS-u ruszył na pola pod Podbrodziem, z rewolwerem w jednej i butelką bimbru w drugiej dłoni. Padł w napotkany stóg siana i tu wspomnienia towarzysza Gustawa się urywają. Na pewno powstał po tym upadku dnia następnego, około południa, nadal trzymając w jednej dłoni rewolwer, a w drugiej butlę, tyle że pustą. Następną godzinę bolał nad huczącym w jego głowie potokiem myśli, ale potem wziął się w garść i zastosował do polecenia towarzysza Siłacza – zniknął. Do lokalu konspiracyjnego w Wilnie dotarł w środę, 23 września. Ale o tym nieco później.

AP, Rady dla przyjezdnych, część druga, „Codziennik Wileński”, 24 września 1908 roku

Szanowni Czytelnicy raczyli zasypać nas listami dotyczącymi strasznych wydarzeń, do jakich dochodzić miało na kolei. Pozwolicie Państwo, że ominiemy skargi związane z jakością jedzenia w wagonach bufetowych oraz na stacjach, a skupimy się na domniemanych zagrożeniach bezpieczeństwa. Żaden napad na pociąg petersburski się nie odbył, nie twierdzą tego nawet najbardziej sensacyjne nastawieni korespondenci. Jednak musimy przyznać, że nawet na trasie stołecznej zdarzają się pewne nieprzyjemne incydenty. Choćby w ostatnią sobotę, na trasie pod Wilnem, miało dość do zakłócenia porządku przez nietrzeźwych pasażerów. Najpierw dwóch z nich wysiadło w Bezdanach ze złej strony wagonu, awanturowało się w towarzystwie innych pijaków w wagonie restauracyjnym, a potem ci sami osobnicy zrobili scenę na peronie w Podbrodziu. Pobudzili pasażerów pierwszej klasy (pod których wagonem rozegrała się awantura) i, czego jednak nie możemy zweryfikować, grozili sobie bronią. Eskorta pociągu nie zareagowała, mimo skarg ze strony dwóch pasażerek (nazwiska znane redakcji).

O ile współczujemy Czytelnikom dotkniętym przez te niepokoje, zwracamy uwagę, że mając w pamięci niedawne doniesienia o napadach na pociągi w Chinach i Ameryce, linię petersburską można uznać za wyjątkowo spokojną.

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część trzecia, „Kurier Tokijski”, 14 grudnia 1908 roku

Na ziemiach Imperium Rosyjskiego panuje obecnie wielkie wzburzenie. Choć tutejsze władze robią wszystko, aby rozwiały się wspomnienia niedawnej wojny, triumfu naszego Boskiego Cesarza, jego potężnej floty i odważnej armii, różnie z owymi wspomnieniami bywa w rosyjskiej stolicy, a różnie na obrzeżach państwa. Jako syn narodu Nipponu, jestem traktowany z lodowatą uprzejmością – tylko tak mogę opisać powierzchowną usłużność, emocjonalny dystans oraz utajoną wrogość rosyjskich urzędników. Może to po części uprzedzenie rasowe, niepozwalające Słowianom rozpoznawać wrodzonych przewag naszej Rasy, ale w głównej mierze wpływ niedawnego konfliktu.

Rosja, mimo wszelkich starań politycznych i duchowych, chce przynależeć do rodziny europejskiej, a wrodzona duma tej nacji każe jej wciąż patrzeć na siebie jak na potencjalną ofiarę drwin i pogardy (choć, warto zauważyć, takie postawy wobec Rosjan zdarzają się bardzo często, nawet ze strony narodów przez nich ujarzmionych). Z tego też powodu wojnę z naszym Cesarstwem potraktowali oni nie jak konflikt o zasoby czy strategiczny port, ale test, jakiemu poddani zostali jako biali ludzie. Nie dość, że przegrana z naszą armią i flotą stała się pretekstem do wielu złośliwości i obelg ze strony Europejczyków i Amerykanów, ale (co gorsza!) owe przytyki potęgują się w rosyjskich uszach dziesięciokrotnie. To stąd nowe, zupełnie bezsilne przejawy narodowej dumy, to stąd zwiększony ucisk narodów poddanych Imperium, a wreszcie: to stąd zupełnie bezrozumna reak-

cja na rozruchy roku 1905. Z ulicznych ruchawek paniczna reakcja cara i urzędników stworzyła ruch niemal masowy.

Władza, co zauważył nawet dawny italski mędrzec, Makiawel, powinna wykazywać się stałością. Jeśli jest łagodna, okazywać swą dobroć w każdej dziedzinie życia. Jeśli wybiera drogę siły, nie cofać się przez żadnym wyzwaniem rzuconym przez wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Tymczasem car Mikołaj pokazuje się niczym serdeczny i zatroskany ojciec, dając autonomię Wielkiemu Księstwu Finlandzkiemu i powołując przedstawicieli ludu do tak zwanej Dumy, a zaraz potem powołuje na stanowisko premiera Piotra Stołypina dyszącego żądzą zemsty na rewolucjonistach. W ten sposób władca Rosji ma pewność, że ci, co cenią łagodność, odwrócą się od tronu, widząc przemoc, a ci, co szanują tylko siłę, wyczują słabość rządu. I chyba nigdzie indziej rezultat ten nie okazał się bardziej widomy niż na ziemiach polskich.

Tamże stronnictwa z pozoru ugodowe zaczęły bardzo sprawnie wykorzystywać wszelkie drogi reprezentacji w systemie władzy, natomiast narodowi rewolucjoniści nie dostali żadnego powodu, aby wstrzymać zemstę za straconych i zesłanych towarzyszy broni rewolucji sprzed trzech lat. Choć i o tych pierwszych warto napisać wnikliwą relację, zacznę od opisu tych drugich, z którymi zetknąłem się osobiście podczas podróży z Warszawy do Petersburga.

Sen towarzysza Ziuka III

Tokio w lipcu musiało być ciepłe, wręcz upalne, ale w śnie Józef wyobrażał sobie je jak jesienne Wilno. Nie chodziło tylko o pogodę, która była zbyt europejska jak na wschodnią metropolię, ale także z powodu architektury, stroju i obyczajów Japończyków. Owszem, mężczyźni i kobiety nosili kimona (chyba tak nazywały się te zdobne szaty przypominające mieszaninę greckich chitonów i niemieckich szlafroków), ale jeśli chodzi o fryzury i zarost, przypominali Polaków i Litwinów. Kobiety nosiły fryzury trefione wedle najnowszej mody, a mężczyźni podkręcali wąsy, czasem przycinane na hiszpańską modłę. Jeśli chodzi o nakrycia głowy, panował międzykontynentalny chaos, gdyż prócz bambusowych stożków królowały zwykłe meloniki i czepki. Ci Japończycy, którzy ubierali się w zachodnie garnitury, nosili przy tym ceremonialne miecze i zawieszone na plecach drzewce z tradycyjnymi proporcami. Dzięki temu Józef dobrze wiedział, że śni. Mimo wszystko bardzo pilnie obserwował swoje marzenia. Często w tej niejasnej mieszaninie prawdy i fikcji odnajdywał coś nowego, co umykało jego dziennym zmysłom.

Na tokijskiej ulicy (to jest ulicy otoczonej wschodnimi domami, ale prowadzącej konny tramwaj, jak w Wilnie) towarzysz Ziuk szedł szybkim krokiem, o ile pamiętał, wciąż przejęty spotkaniem z Romanem Dmowskim. Wciąż uśmiechał się szeroko, dumny, w jak prosty sposób wystawił wodza Ligi Narodowej do wiatru. Dmowski wciąż nie podejrzewał, że jego szkocki przyjaciel i przewodnik, James Douglas, już od dawna przekazuje polskim socjalistom wszelkie szczegóły japońskiej wizyty członków Ligi. A ponieważ Douglas czyni to z politycznej sympatii, a nie za pieniądze (których Ziuk nie miał), pepeesowiec uważał, że nie jest to fortel zdradziecki, a wina łatwowierności politycznego rywala, której niewykorzystanie byłby grzechem zaniedbania.

Ale Piłsudski, wtedy, latem 1904, i potem w powtarzającym się śnie, zaczął wyczuwać własny ogon. Przyspieszył kroku i skręci niespodziewanie za najbliższy róg. Nie musiał długo czekać: młody Japończyk, ubrany w garnitur, a nawet noszący melonik i drewnianą laseczkę, wbiegł za winkiel tuż za Ziukiem. Polak błyskawicznie chwycił go za ramię, a Japończyk zamarł, albo zastraszony bystrością śledzonego, albo zdegustowany dotykiem nieznajomego.

– Tuś mi, bratku! – krzyknął Ziuk. We śnie: po polsku, wtedy, tak naprawdę, po rosyjsku. Japończyk odpowiedział w obu przypadkach łamaną ruszczyzną.

– Dzień dobry, panie Józefie. Czy mogę prosić o wywiad?

Śniący Piłsudski doskonale wiedział, jak to się skończy, ale gdy przeżywał ową scenę po raz pierwszy, był autentycznie zdumiony. Zaczął rozglądać się wokoło bacznym wzrokiem.

– Śledzisz mnie? Pułkownik obiecał mi…

– Ależ, panie socjalisto, ja naprawdę wywiad chcę.

– Tyś nie z wywiadu?

– Nazywam się Kobayashi Osamu, jestem reporterem „Kuriera Tokijskiego". Reprezentuję, jak wy mówicie na Zachodzie, wolną prasę.

Józef nie miał zaufania wobec wolnej prasy, zwłaszcza że jednego jej przedstawiciela wcisnął jako szpiega Dmowskiemu. Poza tym nie miał zaufania do pułkownika Akashiego Motojiro, który choć dzień wcześniej zapewniał go o pełnym wsparciu dla rewolucyjnej sprawy na ziemiach polskich, był zbyt wytrawnym wywiadowcą, aby mówić, co myśli, a tym bardziej by nie posłać za gościem z Europy jakiegoś szpicla.

„A ten młody nawet melonik nosi, jak prowokatorzy z Ochrany" – pomyślał Józef, a na głos zapytał:

– To nie pułkownik cię wysłał?

– Na pewno nasz zmyślny wywiad kogoś za panem pośle, ale nie mnie. Nic o tym nie wiem, bo to przecież nie wypada, aby prasę mieszać w państwowe sekrety – odparł z mocą Kobayashi Osamu. Potem dodał jednak ci-

szej: – Choć jeśli to ja bym miał pana śledzić, to bym się przecież do tego nie przyznawał, prawda?

– Czego od mnie chcesz? – zapytał Ziuk, ale nie uzyskał już odpowiedzi. Wtedy, w Tokio, rozmawiał jeszcze z dziennikarzem kilka minut, ale sny zwykle urywały się, zanim przedstawiciel wschodniej prasy powiedział coś interesującego.

– Niech to diabli! – westchnął Józef i się obudził.

Rekreacje towarzysza Ziuka, 24 września 1908 roku, około południa

Chodził do wielu doktorów. Po powrocie z Syberii do chirurga, ortopedy, pięciu dentystów (którzy jednak zgodnie uznali, że pozostałe zęby już się zaczęły zrastać, więc wstawienie srebrnych w miejsce wybitych w Irkucku nie naprawi rzymskiego oblicza Ziuka), a o znachorach od reumatyzmu Józef nie chciał już wspominać. Byli też lekarze od umysłu, jak to się od niedawna mówiło: psychiatrzy. Jedni prawdziwi, inni lipni, jak ci, którzy przychodzili kilka lat wcześniej do cytadeli i świadczyli, że pacjent Piłsudski dostał pomieszania zmysłów i reaguje spazmatycznie na ciemność i widok munduru, a poza tym w każdym pokarmie czuje truciznę. Jeszcze w wiedeńskich czasach chadzał do uczniów doktora Freuda, a raz nawet spotkałby się z samym mistrzem, ale woźny wyrzucił go, kiedy się okazało, że Ziuk nie ma dość pieniędzy na wizytę.

Potem zaś okazało się, że wśród działaczy socjalistycznych praktykuje sporo lekarzy, choćby niezawodny Rafał Radziwiłłowicz, ale przecież przed nimi Józef nie mógł otworzyć duszy. Znalazł więc doktora Grzegorza Wilczyńskiego, który był wielbicielem Ligi Narodowej i pism Carla Mengera. Między tymi mężczyznami od razu zapanowało szczere zrozumienie oparte na szantażu. Wilczyński mógł zdradzić sekretne plany Piłsudskiego, a ten drugi mógł rozpowiedzieć innym ligowcom o psychoanalitycznych zainteresowaniach pierwszego.

Wilczyński, wyglądający jak Cyprian Kamil Norwid w te gorsze dni, przyjął Ziuka w wileńskim gabinecie. Wizyta była objęta ścisłą tajemnicą. Aleksandrze powiedział, że idzie wysłać telegraf do Marii, a tej wysłał wiadomość, krótką, zdawkową i podejrzanie uprzejmą. „Żona myśli, że ja z kochanką, kochanka, że z żoną, a ja myk, do lekarza" – pomyślał Piłsudski, wchodząc do gabinetu utytułowanego znachora.

Wilczyński wskazał Ziukowi leżankę, której w istocie nie lubił ani on, ani jego pacjenci. Ale doktor praktykował w Wiedniu, Józef leczył się w Wiedniu, więc obaj wiedzieli, jak powinno wyglądać dobrze przygotowane stanowisko pracy psychiatry.

– Czy jest pan gotowy? – zapytał sucho Wilczyński. – Jeśli tak, to proszę opowiedzieć pański najnowszy sen.

– Skąd pan wie, że ze snami przychodzę? – zapytał Ziuk.

– Zwykle tak jest. Jeśli pan woli, możemy zacząć od wypartych wspomnień zakazanych przez naturę i prawo fascynacji cielesnych, ale jak wspominałem o tym kilkadziesiąt razy, temat ten uważam za obrzydliwy i mało pomocny.

– Przecież jest pan psychiatrą, uczniem Freuda.

– Człowiek uczy się na błędach, a nikt nie powiedział, że nie mogą to być błędy mistrza. Ale jak pan chce. Czy dręczą pana fantasmagorie seksualne powiązane z pańską świętej pamięci pasierbicą?

– Co takiego?! – ryknął Józef i zerwał się z kozetki.

– No mówię, że to urąga rozumowi i godności człowieka. Ale mogę polecić panu kilku naprawdę zwichrzonych kolegów.

– Nie trzeba. Niech pan zaczyna – westchnął Piłsudski i znów się położył.

– To pan zaczyna – odparł monotonnym głosem lekarz. – Ostatnie sny. Proszę powiedzieć, co się zmieniło.

– Śnię o Tokio – powiedział Ziuk, a potem zdradził wiele tajemnic partii.

Jak już wspominaliśmy, jego sekrety były podwójnie bezpieczne, gdyż Wilczyński szanował zarówno rotę przysięgi Hipokratesa, jak i własny wizerunek. Słuchał uważnie, udawał, że notuje, choć w rzeczywistości szkicował na kartce nagie kobiety. Kiedy Ziuk dotarł do ostatnich problemów z zaśnięciem, przenikliwy lekarz stwierdził:

– Pan mi czegoś nie mówi. To tak nie działa, że możemy jedno powiedzieć, a inne nie. Na przykład: był u mnie pewien młody człowiek, którego imienia zdradzić nie mogę, aby pan go nie zidentyfikował. Nazwijmy go Sławomirem. I tenże człowiek przyszedł do mnie, poradzić się w sprawie

życiowego dramatu, gdyż niedawno zmarła panna, którą kochał szczerze i z którą wiązał poważne zamiary. I tak mówił, ponad godzinę, ale nie chciał słowem wspomnieć o bliznach na twarzy, wyłupionym oku i utracie łącznie pięciu palców. A to wszystko musiało boleć. Przez to moja diagnoza była ułomna.

Józef spojrzał na psychiatrę, zastanawiając się, czy lekarz robi z niego idiotę, czy naprawdę nie pomyślał, że urazy, jakich nabawił się Sławek, najprędzej zdarzały się ludziom z towarzyskiego kręgu towarzysza Ziuka. W końcu uznał, że w genialnym umyśle znawcy dusz owe stany wiedzy i niewiedzy mogą współistnieć.

– Co pan mu zalecił? – zapytał.

– Przecież nie złamię tajemnicy lekarskiej dla pańskiej płochej rozrywki! – fuknął Wilczyński. – Com zalecił, zaleciłem. Teraz wróćmy do pana: co pan ukrywa?

– Cokolwiek by to było, milczę z ważnego powodu.

– Przecież sam pan widzi, że pacjentów nie zdradzam. Dowodem los tego młodzieńca, którego nazywamy Sławomirem.

Józef nie mógł wiele poradzić wobec tak żelaznej logiki, jednak wciąż powstrzymywał go wstyd. Nie leżał w gabinecie wiedeńskiego specjalisty, a w sumie niewielkim lokalu w centrum Wilna. Miał pewność, że Wilczyński żadnych sekretów świadomie nie zdradzi, ale cóż z tego, kiedy sędzią odwagi Polaka będzie inny Polak. „Z drugiej strony to lekarz. Wstydzić się lekarza, to jakby wstydzić się lustra. Tak mówił profesor Witnik w Charkowie i mądrze mówił" – myślał Józef. W końcu wziął głęboki wdech i zaczął opowiadać.

– Niedawno przypadło mi zainicjować pewne przedsięwzięcie, które nie wyszło.

– Na pewno chce pan mówić akurat o tym? – żachnął się psychiatra.

– Przecież pan obiecywał, że nic z tego gabinetu nie wyjdzie! Że z policją pan nie gada!

– Aaaa… – odparł Wilczyński. – To polityka albo terroryzm. To proszę śmiało. Przez chwilę myślałem, że pan będzie mnie zanudzał opowieściami o zawodach miłosnych i fizycznych. Obrzydliwości!

– No dobrze. W takim razie próbowałem napaść na pociąg – powiedział wbrew sobie towarzysz Ziuk.

Streścił wydarzenia minionej soboty, oczywiście pomijając personalia oraz (na wyraźne życzenie doktora) szczegóły intymnego pożycia z Aleksandrą. Kiedy doszedł do momentu opowieści, w którym tłumaczył Walerego z pomyłki stacji, wspomniał, że biedak ma tylko jedno oko i nie może przeboleć śmierci swojej ukochanej. Na prawie dwie zdrowaśki w gabinecie zapadła ciężka, duszna atmosfera, ale w końcu psychiatra popędził pacjenta.

– Tak… proszę mówić dalej.

– To już chyba wszystko.

– Czyli cały ten napad był jedną wielką klapą, która podała w wątpliwość pańskie zdolności organizacyjne i charyzmę przywódcy? – streścił Wilczyński.

– Wiele czynników losowych sprzysięgło się przeciwko nam – zauważył Ziuk.

– Chce się pan tłumaczyć czy uzyskać konkretną pomoc? – zapytał lekarz, a nie słysząc odpowiedzi, kontynuował: – Dobrze, czyli cała ta sobotnia eskapada była ciosem dla pańskiej samooceny, z tym się chyba zgadzamy. – Nad leżanką poruszyły się sumiaste wąsy, sugerując potwierdzenie. – Przepraszam, że o to pytam, ale prawidła sztuki wymagają… Czy owa porażka przełożyła się na niedostatek sił męskich?

– A co to ma do rzeczy? – żachnął się Józef. – Panie, ja myślę teraz, jak przeżyć, czy powtórzyć akcję, czy ludzi i sprzęt ukrywać. Amory mi teraz nie w głowie. – Wilczyński przestał rysować nagie kobiety i zapisał coś w notesie. – Co pan tam tak notuje?

– Na pewno nie donos do żandarmerii, proszę się nie martwić – odparł spokojnie doktor. – A co do moich zaleceń, są one bardzo proste. Przy naj-

bliższej okazji proszę napaść na ten pociąg. – Józef aż zakrztusił się śliną, słysząc takie dictum. – Ja tam się nie znam na podobnej robocie, to pan oceni, czy to jest możliwe, czy nie. Ale prawda jest taka, że jedni ludzie muszą pokonać demony w duszy, a inni zatrzymać pociąg w Wilnie. Póki pan tego nie zrobi, pański stan psychiczny będzie opłakany. Proszę udowodnić sobie i podwładnym, że wciąż może pan podejmować odważne decyzje i ryzykować razem ze współpracownikami. Recepty wypisywać nie będę, bo to chyba obciążający dowód na mnie będzie, jak pana złapią.

Nawet na torturach Józef nie mógłby powiedzieć, czy psychiatra beznamiętnym głosem mówił prawdę, czy sobie z niego żartował. Nie zamierzał nawet poświęcać temu zagadnieniu więcej czasu. Wstał z kozetki, założył melonik. Potem położył na biurku psychiatry kopertę i ukłonił się sztywno.

– Dziękuję, do widzenia.

– Umawiamy kolejną wizytę?

– A jeździ pan do pacjenta? W tym przypadku może być nawet na Sybir.

– To ciut za daleko – odparł spokojnie Wilczyński. – Ale na Rossę mogę się przejść.

Piłsudski uśmiechnął się na myśl o tym, że miałby spocząć na cmentarzu. No, starczy już tych niewybrednych żartów.

– Miłego dnia! – rzucił i wyszedł z gabinetu.

Marianna czekała ze trzy zdrowaśki, zanim wyszła zza szafy. Spojrzała zszokowana na swojego mentora, a zobaczywszy, że Wilczyński porządkuje wciąż papiery (w dużej części zapełnione nieprzyzwoitymi szkicami), podeszła do kozetki i teatralnie wzdychając, sama położyła się na meblu. Wypięła przy tym swoje skromnie ukryte pod suknią kuszące piersi i zapytała:

– W co się pan doktor znowu wpakował? To już trzeci w tym tygodniu, który gada o napadach.

– Przecież to czystej wody urojenia wytwórcze, *delusions*, podręcznikowy przykład. Gdybym wierzył w choć jedno słowo, czy pozwalałbym ci podsłuchiwać tych biedaków?

– Czyli nie pójdzie pan na policję? – zapytała piękna asystentka.

– Skądże znowu! Nawet jeśli choćby część bredni tych biedaków byłaby prawdą, to nadal nas obowiązuje tajemnica lekarska. Czego was tam uczą? Czyż nie: ἃ δ᾽ ἂν ἐνθεραπείῃ ἴδω ἢ ἀκούσω, ἢ καὶ ἄνευ θεραπείης κατὰ βίον ἀνθρώπων, ἃ μὴ χρή ποτε ἐκλαλεῖσθαι ἔξω, σιγήσομαι, ἄρρητα ἡγεύμενος εἶναι τὰ τοιαῦτα? – zapytał retorycznie, ale widząc obojętny (przynajmniej na piękno dialektu jońskiego) wyraz twarzy uczennicy, dodał pospiesznie: – „Cokolwiek bym podczas leczenia, czy poza nim, z życia ludzkiego ujrzał, czy usłyszał, czego nie należy na zewnątrz rozgłaszać, będę milczał, zachowując to w tajemnicy".

– No racja, racja, panie doktorze – potwierdziła Marianna. – Skoro pan tak mówi, to ja się nie wygadam. Poza tym jeśli oni naprawdę napadną na pociąg, to przeczytamy w gazetach.

– Ach, Marianno... – przerwał jej lekarz, a kobieta spłoniła się pod spojrzeniem instruktora. – Nie zaniedbuj języków klasycznych. My nie tylko leczymy, ale musimy także wiedzieć, po co i jakimi środkami pomagać. Przykład starożytnych jest nie do zastąpienia.

– Niestety, panie doktorze, przyznaję się do zaległości w klasycznej grece. Może w wolnej chwili pomoże mi pan doktor powtórzyć najpilniejsze wiadomości.

– Ależ oczywiście, z przyjemnością. – Psychiatra się rozpromienił, słysząc zapał w jej głosie.

– Dziś wieczorem?

Rekreacje towarzysza Ziuka, 24 września 1908 roku, tuż po południu

Aleksandra czekała na niego w pobliskiej kawiarni. Nie rozmawiali nigdy o tym, gdzie Ziuk znika na ponad godzinę w centrum Wilna, gdyż Józef nie chciał na głos przyznać, że korzysta z pomocy psychiatry. Był przekonany, że jego kochanka domyśla się tego już od dawna, ale owego czwartkowego popołudnia towarzyszka Morska spoglądała na partnera wzrokiem tak obcym i niepewnym, że ten zaczął się zastanawiać. W końcu uznał, że już zbyt późno na tłumaczenia, i nie chciał się zwierzać z kłopotów, by Aleksandra nie uznała go za szaleńca.

Zamówili herbatę, mimo ciepłej pogody słodką i zakropioną cytryną, taką jak Ziuk lubił. Milczeli. Właściwie milczeli od kilku dni, bo o czym można było rozmawiać po owej fatalnej sobocie? Niedopowiedzenia wisiały między nimi jak ta złośliwa chmura deszczowa, która leje jak z cebra tylko wtedy, gdy jednak decydujemy się na niedzielny spacer. W końcu Aleksandra nie wytrzymała.

– Tak dalej być nie może.

– Pewnie nie – zgodził się Józef, nie będąc pewnym, co kobieta zaraz powie.

– Nie możesz żyć w takiej niepewności. Musisz się upewnić w swoich zamiarach.

– Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

– Cyganka prawdę ci powie – oznajmiła Aleksandra.

– Co takiego? – zapytał Józef. Wziął głęboki wdech i opanował drżenie rąk. Właściwie wiedział, skąd ten pomysł wziął się w głowie towarzyszki Morskiej. Sam go tam zasadził.

– Przecież wiesz, że to jedyna droga. Inaczej nie zajrzymy za zasłonę przyszłości – perorowała Aleksandra. – Sam mówiłeś, że ta Cyganka na Syberii prawdę powiedziała. Że będziesz wielkim wodzem.

– Nie sprecyzowała, czy przeżyję. Może Polska odrodzi się natchniona przykładem mojej męczeńskiej śmierci – zaśmiał się Józef, ale niewesoło. Potem jednak dodał, nieco poważniej: – Daj spokój, to było prawie dwadzieścia lat temu. Byłem młodym chłopakiem zesłanym w głąb nieludzkiej ziemi. Każde dodające ducha słowa traktowałem jak głos samego Boga. Gdyby mi wtedy Mikołaj, carska jego mać, pasjansa postawił i orzekł, że wrócę do domu, to bym go do dziś z sympatią wspominał.

– Nie oszukasz mnie – stwierdziła Aleksandra i wzięła jego prawicę w swoje dłonie. – Właściwie to nieważne, czy to prawda, ale czy sam w to wierzysz. A wierzysz, wiem o tym.

Interludium
(nie pierwsze, ale pierwsze oficjalnie)

W tym momencie powinniśmy opisać kolejny sen towarzysza Ziuka, gdyż tajemnicza staruszka pojawiała się często w marach bojowca. Ale nie możemy tak bezpośrednio przerwać toku naszej (i tak dość chaotycznej) opowieści. Więc na jawie, podczas tych kilku sekund, kiedy Piłsudski myślał nad odpowiedzią, przeniesiemy się do roku 1891, do niewielkiej miejscowości na buriackiej ziemi, zwanej Tunką.

Nikt nie wiedział, jak nazywa się stara Cyganka. Ona sama podawała rozmaite imiona różnym, a czasem tym samym osobom. Wróżyła wszystkim, żołnierzom, strażnikom i zesłańcom. Tylko niektórzy miejscowi odganiali wiedźmę (czyli kobietę wiedzącą), dziwnie nieciekawi swoich przyszłych losów. Zacznijmy od tego, że nikt tak naprawdę nie wierzył w proroctwa babci Donki, Esmeraldy czy Zory. Konwojenci i urzędnicy traktowali owe wróżby jak urozmaicenie nudnego czasu za Uralem (notabene: niektórzy z nich, zwłaszcza ci pochodzący z Petersburga, Moskwy czy Charkowa czuli się zesłani jeszcze mocniej niż prawdziwi zesłańcy), zaś więźniowie po prostu chcieli słuchać czegoś tchnącego nadzieją.

Tunka była nietypową wsią zesłańczą, służącą za punkt obsługi konwojów w rejonie Bajkału. Żelazny dryl twierdzy, męczarnie kopalni i wielka niepewność konwojów nie były tu już znane. Zesłańcy mieszkali w porządnych chatach (często budowanych przez inżynierów po Uniwersytecie Aleksandryjskim), jedli do syta (o ile byli dość zręczni, by polować i dość sprytni, by nie grać w karty z więźniami kryminalnymi) i pozwalano im nawet na gromadzenie książek. Ale żyli tym niby-życiem, w którym każdą codzienną czynność przerywało wzdychanie do ojczyzny. Większość z nich nie wiedziała jeszcze, ile zostanie w Tunce. Zesłańcze przyjaźnie rodziły się powoli i kiełkowały w cieniu wspomnień zawiedzionego zaufania. Dlatego

skierowani tu Polacy słuchali wróżb Babci Esmeraldy (Donki czy Zory) jak księdza na kazaniu (notabene, latem 1891 roku było tu ośmiu księży i wszyscy wyklinali pogańską magię Cyganki, a tylko dwóch chodziło do niej na stawianie kart).

Każde słowo otuchy, nadziei, połechtanie ego mężczyzn, którzy nie spodziewali się od życia już niczego dobrego, było na wagę złota. Zora (Esmeralda czy Donka) posiadała zestaw wróżebnych kości, magiczne pióra i talię marsylskiego tarota. Dodajmy: wybrakowaną, gdyż trzy karty: głupca, maga i wisielca musiała dorysować sama. Józef podejrzewał, że wyjątkowo nieudany wisielec (przypominający odwróconego brzdąca na huśtawce) został specjalnie odtworzony tak, aby jak najmniej przypominać skazanym spiskowcom, jakiego losu uniknęli lub jak skończyli ich towarzysze w konspiracji.

Zora Esmeralda Donkowna stawiała pasjansy z prędkością kajzera wodującego pancerniki. Opowiadała o przyszłych losach więźniów ze swadą i fantazją, jakiej nie powstydziłby się Hugo albo i Dumas Starszy. Tak wróżone były wielkie kariery finansowe, polityczne (oczywiście w wolnej i od Rosji niezależnej Polsce), a nawet duchowne. Obaj wspomniani księża, którzy chodzili do Cyganki, usłyszeli, że zostaną papieżami, co spowodowało między nimi bójkę ku zgorszeniu wiernych. A profesorów, inżynierów i dyrektorów zapowiadały się pęczki, gdyż młodzi ludzie, którzy mniemali, że życie już stracili, choćby na chwilę, po pijaku, chcieli się poczuć jak owe szachowe piony, które w chlebaku niosą buławę marszałka. A że bić będą Moskali i Prusaków (wojska Franciszka Józefa miały umknąć bez walki, rzecz jasna), wiadome było od początku. W takim to otoczeniu przyszło wysłuchać wróżby Józefowi, wtedy jeszcze Ziukiem zwanego tylko w listach przez siostrę.

Który to był dzień lipca, tego Józef nie pamiętał, wspominał tylko, że bagienne muszki cięły litościwie, a lekki wiaterek odegnał większość komarów. To był piękny dzień, ale miały go zasnuć czarne chmury losu. Zesłaniec wracał do chaty po nocnym wędkowaniu, mało udanym, ale przy tym przesiąkniętym azjatyckim chłodem i obcą rosą. Niósł na plecach wędkę,

siatki i kilka rybek, niewyspany, ale nie zły. Mimo ssania w żołądku, Józef czuł piękno dnia i obiecywał sobie wiele po świecącym słońcu i hojności sąsiadów. Przechodził przez to, co łaskawie nazywano ryneczkiem Tunki i zauważył pewne zamieszanie. Tłumek ludzi (w tym ksiądz, jeden z przyszłych papieży oraz ośmiu profesorów z politechnik i uniwersytetów) otaczał Esmeraldę Donkę Zorankową i debatował o czymś zawzięcie. Piłsudski, z powodu nocnego czuwania tęskniący okrutnie za rodzeństwem (zwłaszcza bratem, którego wywieźli nie wiadomo gdzie), postanowił pocieszyć się zapowiedzą rychłego odzyskania wolności. Położył więc delikatnie dłoń na ramieniu księdza Marka i powiedział:

– Ksiądz dobrodziej już odpuści. My wiemy, że ksiądz pójdzie w kardynały, potem zostanie papieżem i wprowadzi mszę po polsku.

To, co miało być niewinnym żartem w ustach młodego zesłańca, zmieniło się w wyjątkowo podejrzanie brzmiącą deklarację. Na Józefa wzrok skierował nie tylko duchowny, ale i czterech innych zesłańców, albo obeznanych ze sprawami kościelnymi, albo bardzo spragnionych kłótni.

– Jakże to… – zaczął jeden.

– Po polsku? – zapytał drugi, a trzeci i czwarty pokiwali głowami.

– Och, Józefie, przecie to by się nie godziło – zaprzeczył gromko ksiądz Marek, kierując na pechowego rybaka zaaferowane spojrzenie. – Ja tam w żadne kościoły narodowe bawić się nie zamierzam, Boże Broń! Bo Kościół Powszechny naszą Matką i nadzieją jedyną na wolności odzyskanie. – Czterej świadkowie skinęli potwierdzająco.

– Nie, ja tylko tak… – bąknął Piłsudski, myśląc jak z tego pechowego żartu wybrnąć.

– Ależ musimy powtarzać sobie te katechetyczne oczywistości przy każdej okazji, jeśli chcemy zachować wiarę przodków – podkreślił nieformalny proboszcz zauralskiej parafii. – Język, w tym przypadku łacina, to wyraz jedności i stałości kościelnej wspólnoty, więź kościoła pielgrzymującego z tymi, którzy doczekali już chwały Pana, i tymi, którzy dopiero nadejdą. – Wzniósł oczy ku niebu, jakby zaczynał kazanie. Wyglądał na bardzo uduchowionego, zwłaszcza że w tej pozie nie widać było guza nabitego przez

księdza Piotra (drugiego papieża *in spe*). – Nie zapominajmy, że łączy nas wspólnota języka ze wszystkimi katolikami na świecie. Czy to w Warszawie, Krakowie, Buenos Aires, czy w Tunce, wznosimy ku Bogu modły językiem Stolicy Piotrowej i Świętych Męczenników.

– Amen! – odpowiedział jeden ze słuchaczy.

– Jedność, jedność w czasach wielkiego rozproszenia się liczy.

– Amen! – potwierdzili już wszyscy obecni.

– My jednym Kościołem jesteśmy nie tylko z innymi Polakami, ale i Francuzami, Hiszpanami, Japończykami, a nawet z czarnymi Afrykanami i Indianami z Patagonii.

– Amen!

– A jeśliby się i jakiś Moskal nawrócił, to i z nim będziemy się tak samo jednym językiem modlili.

– Amen! – dopowiedzieli czterej świadkowie, acz już z wyraźnym wahaniem.

– Ale jak ksiądz papieżem zostanie, to może mszę się będzie na całym świecie po polsku odprawiało, skoro z Polski *pontifex* będzie pochodzić? – rozpaczliwie zaproponował Józef.

A ksiądz Marek, zamiast pomysł odrzucić od razu, zastanowił się (podejrzanie długo) i dopiero po dwóch zdrowaśkach milczenia odpowiedział poważnie.

– Wizja to piękna, synu, ale zupełnie fantastyczna. Rację masz, że nie istniałyby teologiczne przeciwności, a w każdym razie Ojcowie Kościoła i poprzedni papieże przeciw takiemu pomysłowi się nie wypowiadali, ale trzeba myśleć o praktycznych wyzwaniach. Przecie i z nauką łaciny problemy dziś mamy. I to wśród Polaków, narodu prawie już tysiąc lat temu ochrzczonego. A co dopiero wśród świeższych stażem chrześcijan? Obcych zupełnie Europie i naszej mowie? Może i Niemca przyuczysz, Włoch po polsku chyba coś powie, ale taki Japończyk czy Eskimos? Toż to uczyć go naszych „ą” i „ę”, licznych przypadków…

– Finowie dwadzieścia sześć przypadków mają! – pochwalił się wiedzą Józef. Nie zdobył jej na uniwersytecie, ale jadąc do Irkucka z anarchistą z Helsinek. Był jednak z owej więziennej erudycji bardzo dumny. – Ale przepraszam, nie chciałem księdzu przerywać.

– Żaden Fin nie używa wszystkich przypadków, chyba że słownik pisze – odparł duchowny, który też sroce spod ogona nie wypadł. – Ale nieważne to. Czy cały katolicki świat musiałby się uczyć polskiego na czas mojego pontyfikatu? Nie byłoby to w żaden sposób praktyczne. Ja od tej zsyłki jakieś suchoty hoduję i pewnie powoła mnie Pan do siebie w wieku względnie młodym. Ile mi tego papieżowania wyjdzie? Pięć lat? A potem wybiorą papieża z Brazylii i będziemy po portugalsku *Pater noster* klepać? – Wciąż wznosił oczy ku niebu, ale ze skrzywienia kącików ust widać było, że ta wizja, zupełnie szalona, nie jest mu taka niemiła. – Lepiej po łacinie się o zbawienie modlić. Bóg pobłogosławi, papież wesprze…

Józef już chciał zauważyć, że tak pewnie mówili księża podczas powstania listopadowego, ale uznał, że wywołanie kolejnej kontrowersji nie pomoże w wypełnieniu jego zamysłu, gdyż zamierzał przejąć z rąk duchownego Cygankę, kiedy już zakończy się tak nieoczekiwana eklezjalno-filologiczna debata.

– To może ja poproszę babuszkę Zorę, aby mnie karty postawiła? Jeśli się okaże, że zostanę protestantem, to chyba mi wywróży i ksiądz na czas obejmie mnie pasterską opieką? – rzucił z nerwowym śmiechem, po czym usiadł przed wróżbitką.

Zora (Esmeralda czy Donka) siedziała na niskim pieńku, tuż przed pustą skrzynką po wódce. Przed pakunkiem stała jeszcze jedna kłoda, przeznaczona dla klienta. To z niej wstał wzburzony duchowny, a potem zasiadł na niej Józef. Cygance było wszystko jedno, kto ją pytał o przyszłość. Właściwie dla niemal każdego klienta (więźniowie rzadko płacili pieniędzmi, ale niemal zawsze zostawiali jasnowidzącej jakiś smakołyk) powtarzała bardzo podobną historię. Musiała tylko uważać na duchownych, którym nie należało życzyć powodzenia w miłości ani zdobycia ziemskich bogactw. Józef na własne uszy słyszał kilka razy, jak Esmeralda (Zora czy Donka) po-

wtarza pod nosem: „Sprawdzić, czy nie ksiądz…”. Sam jednak dotychczas tylko patrzył, nigdy nie był obiektem proroctwa.

A ona spokojnie zaczęła rozstawiać wielkie arkana tarota, nawet nie spojrzawszy na gościa (zapewne z dosłyszanej chwilę wcześniej rozmowy wiedziała, że to nie duchowny). Od razu wyciągnęła kartę IIII, czyli cesarza. Mruknęła, zadowolona, jakby wyciągnięcie akurat tej figury było czystym przypadkiem.

– O, carem budiesz! – uznała, sięgając po kolejną kartę. XX Sąd Ostateczny.

– Powiedz lepiej, czy umrze katolikiem – polecił zatrwożony o duszę młodego parafianina ksiądz Marek.

– Co, jakim carem? Rosji?! – zawołał Piłsudski. – To już Polski lepiej, jak się Korona odrodzi… Pokaż to, babciu…

Sięgnął do talii po następną kartę, ale został przywitany przez otwartą dłoń Cyganki, która plasnęła natręta jak muchę. Józef nie rezygnował, wyciągnął rękę raz jeszcze, a wtedy Zora Esmeralda Donkówna złapała go za kciuk. W zamyśle chciała odrzucić dłoń natręta, ale udało jej się tylko odwrócić ją spodem do góry. To był błąd.

Wieszczka zamarła, badając linie na prawicy młodzieńca. Ksiądz już chciał ponowić pytanie o potencjalną apostazję Józefa, gdy staruszka wrzasnęła niczym zarzynany wieprzek. Zerwała się z pnia, wywracając zaimprowizowany stół i swoje marsylskie karty. Wielkie arkana padły na ziemię. Awersami do góry: XII Wisielec, XIII Śmierć i XV Diabeł.

– *Agape, Satanas!* – szepnął jeden pobożny, acz nie dość biegły w łacinie świadek wróżby.

A wieszczka wciąż krzyczała. Odskoczyła od wywróconego stolika i przypadła do ściany chaty, plecami zapierając się o drewno. Wyglądała jak kotka wrzucona do psiej zagrody albo demon kropiony wodą święconą. Ale w tym zgromadzeniu pomiotem szatana wydawał się młody Józef, przynajmniej jeśli wnioskować z przerażonego wyrazu twarzy staruszki.

– Krew, pot i łzy! – krzyczała. – Triumfy i klęska. Djabeł, djabeł zwycięzca!

– Co mówisz? – jęknął zdezorientowany Piłsudski.

Ale było już za późno. Przyszły papież odciągnął babuszkę do chaty, a czterej świadkowie stali twardo przed Józefem, jakby chcąc się upewnić, że ten nie będzie ścigał Cyganki. Piłsudski nie miał takiego zamiaru, aż pojął, że mu na to nie pozwolą. Wtedy zdał sobie sprawę, że na ziemi przed nim leży sekret kosmosu, czasu i materii.

– Co to znaczy? Cesarz, Wisielec, Śmierć i Diabeł… Czy to ja? Czy to moi kamraci? Czym będzie Sąd Ostateczny?

Nie uzyskał już jednak odpowiedzi. Pod surowym spojrzeniem czterech zesłańców wytrzymał tylko kilkadziesiąt uderzeń serca. Potem odwrócił się i poszedł do własnej chaty, choć w jego uszach wybrzmiewał jeszcze krzyk: „Djabeł zwycięzca!”.

Rekreacje towarzysza Ziuka, 24 września 1908 roku, wciąż tuż po południu (bo przecież to całe wspomnienie zabrało Józefowi ledwie chwilę) i dużo później

– Opowiadałem tę historię tyle razy, że teraz nie wierzę, że wydarzyła się naprawdę – uznał towarzysz Ziuk, patrząc w oczy towarzyszki Morskiej. – Jakbym nauczył się na pamięć czyjejś roli i odtwarzał ją za każdym razem nieco inaczej.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – odparła Aleksandra. – Ale powinieneś zapytać kart.

– I co? Jak mi pasjans wyjdzie, to zostanę dyktatorem Polski?

– Nie sam będziesz karty stawiał. Poprosimy o pomoc fachowca.

Jak postanowiła, tak zrobili. Znalezienie jednak odpowiedniej osoby do tej ezoterycznej misji w czwartkowe popołudnie było dość trudne. Po pierwsze: karcianych wieszczy i media ścigała policja. Po wtóre: tych, których nie ścigała, pewnie miała na usługach, a co lepsi adepci sztuk tajemnych byli prowokatorami Ochrany. Przewodników po świecie tajemnym trzeba było szukać na własną rękę.

Aleksandra podrzuciła pomysł, ale nie była pewna niektórych szczegółów, a właściwie najważniejszych założeń planu. Nie miała pojęcia, czy do wróżby najlepszy byłby klasyczny, europejski i salonowy okultysta, Żyd, znawca kabały, czy czytająca karty i dłonie Cyganka. Problem rozwiązał się niejako sam. Na eleganckie media i okultystów nie mogli sobie pozwolić. Józef znał kilku masonów, ale oni chwilowo utrzymywali, że nie znają Jó-

zefa. Jeśli chodzi o okultystów w pełnym tego słowa znaczeniu (to znaczy nie salonowych intelektualistów planujących nowy ład świata, ale prawdziwych zdobywców planu astralnego, niekłopoczących się takimi bzdurami) dzielili się oni na dwie grupy, znane Piłsudskiemu. Pierwszej należało zapłacić więcej, niż mieli. Druga łączyła seanse spirytystyczne z aktywnościami, które nie tylko naruszyłyby damską cześć Aleksandry, ale i męską Józefa.

A skoro już o Żydach myślimy, to Józef wiedział, że z nimi przeprawa byłaby jeszcze trudniejsza. Wszystkie wspólnoty były pod nadzorem Ochrany, a aby mieć spokój ze strony policji i sotni ze Związku Michała Archanioła, cyklicznie donosili na losowo wybranych współwyznawców, których przesłuchiwano i wypuszczano po stwierdzeniu zupełniej niekompetencji w spiskowaniu przeciw istocie rosyjskiego samodzierżawia.

Cyganie mieli w Wilnie opinię chciwych i kłamliwych, ale niewykluczone, że ten mroczny obraz tworzyli cwaniacy podszywający się pod prawdziwych Cyganów. Aby jeszcze znaleźć mądrą babuszkę, czytającą karty i dłonie, musieli się porządnie wysilić. W końcu Ziuk wpadł na iście salomonowy pomysł: zapytał o to doktora Wilczyńskiego.

Psychiatra nie mógł, rzecz jasna, zdradzić szczegółów sesji z innymi pacjentami, ale często spotykał się z melancholikami cierpiącymi od nerwów i obaw związanych z niekorzystną wróżbą od Cyganów. Imiona (czy pseudonimy) wieszczek, a także ich przypuszczalne adresy lekarz przekazał bez wahania, wielokrotnie podkreślając, jak plugawą plamę na racjonalnej jutrzence nowoczesnego świata stanowi ich działalność. Józef potakiwał, a Aleksandra notowała.

Aby podkreślić jeszcze raz lekarskie cnoty i kryształową uczciwość Wilczyńskiego, dodajmy, że gdy w piątek rano do jego gabinetu przyszedł Piłsudski w towarzystwie Szczerbińskiej, ani słowem nie zdradził się, że dobrze zna Józefa i od pewnego czasu udziela mu porad fachowych.

Samej wieszczki szukali dość długo. Udali się w końcu na Zarzecze, mijając kwaterę żydowską i slumsy przeznaczone dla artystów i studentów. W końcu w lokalu zwanym na wyrost „karczmą" znaleźli osobnika, którego

można było nazwać ezoterycznym impresariem. Nie był Cyganem, tylko Litwinem, a z wymykającego się czasem z jego ust akcentu Józef wniósł, że człek ten starannie ukrywa swoje wykształcenie. Pan Umbrus, bo tak przedstawił się opiekun najlepszych wróżbiarek w mieście.

– A dlaczego państwo szukają Cyganki? – zapytał ów wysoki mężczyzna z czarnymi, ulizanymi wąsami.

– Sentyment – odparł odruchowo Józef, ale nie zamierzał tłumaczyć dalej.

– A jeśli zaproponuję państwu, jak to mówią w Anglii: promocję?

– Na jakiś wyższy stopień? Masoński? – zapytała Aleksandra.

– Nie, taki dodatek. To będzie potrójny seans spirytystyczny. Będzie lady Raja, reprezentująca mądrość ludu romskiego, będzie też rebe Salomon z Góry Kalwarii, który zna mądrość Kabały, Talmudu i Szmoncesu. Zaś z duchami skontaktuje się nasza para najwspanialszych mediów na Litwie: doktor Salem i panna Anastazja Perska.

– Niedokładnie o to nam chodzi… – zaczął Józef, ale przerwała mu Aleksandra.

– Ile?

– Pięćdziesiąt rubli – odparł od razu Umbrus.

– Mamy dwadzieścia trzy i piętnaście kopiejek. Trochę mniej, jeśli każe nam pan zapłacić za herbatę.

Dokładność podanej sumy wskazywała, że negocjacje, choć niekoniecznie długie, będą trudne. Ziuk wyłączył się z dyskusji pomiędzy kochanką a impresariem, aby skupić się na paskudnym wystroju lokalu. Do jego uszu tylko czasem dochodziły strzępy rozmowy.

– Ale gdzie? Tu?

– A co pani to szkodzi? Ja bym się martwił, aby panna Anastazja zgodziła się wkroczyć w nasze progi. Nie lubi tłoku.

– Jakiego tłoku? Przecież tylko my będziemy!

– Oczywiście, że nie. Publika będzie patrzyła na seans. Co pani myślała, że za dwadzieścia rubli to ja sprowadzę prawdziwych adeptów tarota?

– Ale jakże to, przy ludziach…

– Proszę się nie obawiać zdradzenia sekretów. Policja tu nie chadza, a klienci zwykle piją na umór.

– Podczas seansu?

– Zwykle też przed i po. Czasem zamiast.

– To pan na nas jeszcze zarobi!

– Na tym polega moja praca: aby zarabiać. No i oczywiście: dawać spragnionym tajemnic dostęp do świata po drugiej stronie mroku.

– Lustra – odruchowo poprawił Józef.

– Pan się nie zna – odparł uprzejmie Umbrus. – To jak: bierzecie dziś wieczorem seans z publicznością czy szukacie guślarza w lesie?

– Jak pan na nas tyle zarobi… – zaczęła Aleksandra, ale tym razem przerwał jej Józef:

– Nie ma mowy o takim ryzyku! Nie będziemy się przed nieznanymi ludźmi odkrywać. To nie o nasze bezpieczeństwo tu idzie, ale o sprawę.

– Nie muszę znać szczegółów… – wtrącił nieco zaniepokojony Umbrus.

– No to pan nie będzie znał – odparł towarzysz Ziuk, wstając. – Zbyt dużo czasu zmitrężyliśmy, aby szukać odpowiedzi w kartach czy kawowych fusach. A przecież to ludzie tworzą historię. Przynajmniej ci wielcy. Nie będziemy zabawkami na wietrze losu. Nie będziemy słuchać żadnych szeptów z cienia. – Piłsudski uderzył pięścią w stół. – Dość już tej bierności! Gubi nas ona, nie tylko jako naród, ale jako jednostki. Jej to przede wszystkim zawdzięczamy, że wśród nas tak częstym jest zjawiskiem pesymizm, beznadziejność, brak wiary w siebie i w możność życia na lepszy sposób. Trzeba świat znać i rozumieć, a życie samemu urabiać według własnych wymagań. Świat wtedy nie będzie taki brzydki, a życie na nim nie takie złe, jak to się nam często zdaje. Żadnych duchów, drodzy państwo! Olu, wychodzimy! – Ruszył do wyjścia, choć po drodze zwolnił. Nie odwracając się, rzucił półgębkiem: – Chyba że pan spuści do dziesięciu rubli.

Tajemne przygody towarzysza Ziuka, 25 września 1908 roku, późnym wieczorem

Spuścił. Dzięki temu o wpół do dziewiątej wieczorem do karczmy Pod Kaszanką zaczęły przybywać osobniki o podejrzanej proweniencji oraz oczywiście spiskowcy. Józef nie powiedział o seanse nikomu, ale Aleksandra wygadała się przed Reginą, a ta zabrała ze sobą Janinę. Tak rażące złamanie zasad konspiracji uszło jednak uwadze Piłsudskiego, który już denerwował się przed wróżbami oraz żałował dziesięciu rubli.

Jak się okazało, Pod Kaszanką posiadało drugą salę, oddzieloną od głównej części spelunki solidną ścianą z dębowych belek. Nie tłumiło to w całości hałasu nieodległej popijawy, ale osłabiało go, zmieniało krzyki i śpiewy w niewyraźne dudnienie, które samo w sobie brzmiało tajemniczo. Rumor świata profanów nie docierał do schronienia poszukiwaczy tajemnic. Wydawał się dźwiękowym odpowiednikiem ogniska w platońskiej jaskini albo echem rozbrzmiewającym w labiryncie Minotaura. Tak przynajmniej twierdziła Regina, która z przejęciem tłumaczyła przyjaciółkom ezoteryczną scenę.

– Vitriol – perorowała Brzeszczot-Lepiszcze.

– Co takiego? – dopytywała Janina. – Na akcjach już nie stosujemy kwasu. Palniki karbidowe są bezpieczniejsze. Chyba że chcesz polewać Moskali…

– Nie! *Visita interiora Terrae, rectificando invenies occultum lapidem*. Czyli: „Odwiedź głębię Ziemi, przez oczyszczenie znajdziesz tam Ukryty Kamień” – wyjaśniła Regina. – To motto alchemików i badaczy tajemnych materii.

– Nie wiedziałam, że tak dobrze znasz łacinę…

– Nie znam – zasmuciła się Brzeszczot-Lepiszcze. – Mój Janusz, póki go nie wyrzucili z filozofii…

– Toż to on studiował chemię – zauważyła Janina.

– No z chemii to go nie wyrzucili. W każdym razie łaciny uczył się na filozofii. – Na chwilę popadła w zadumę, wspominając męża z czasów kawalerskich, a potem wzdychając z troską o jego bieżący los. Janusz siedział gdzieś w warszawskiej cytadeli, ale Regina wierzyła, że robi wszystko, aby wydobyć go na wolność, wydostać z głębin ziemi, niczym dawni mędrcy cudowną kwintesencję. Kontynuowała: – Ale nieważne. Opowiadał mi o alchemikach, którzy choć królom i książętom tłumaczyli, że chcą zamienić ołów w złoto, tak naprawdę szukali ukrytej materii Wszechświata, którą czasem zwali piątą esencją, a czasem kamieniem filozoficznym.

– Jak się ma to do krzyków tych opojów? – zapytała Aleksandra.

– Jesteśmy niby w świecie, w zakazanej dzielnicy Wilna, tuż obok codziennego zgiełku. A jednocześnie oddzielamy się od niego barierą tajemnicy – Regina taktowanie zignorowała kilkunastu pijanych gości, siadających na ławach w sekretnej sali – i sami wkraczamy w ukryty świat. Tam Józef otrzyma potrzebne wskazówki.

– Czy my nie jesteśmy… za bardzo wyzwolone na takie ezoteryczne wymysły? – zapytała z obawą Janina.

– Ależ skąd! – zaoponowała Brzeszczot-Lepiszcze. – To taka duchowa emancypacja. Alchemia wspiera wyzwolenie kobiet, to oczywiste. Przecież najsłynniejszą współczesną okultystką i teozofką była madame Bławatska, która połączyła tradycję alchemików z naukami masonów i badaniami nad religią Indii. Przy tym sama była medium, które przepowiedziało koniec chrześcijańskiej ery patriarchatu.

– Mało to naukowe – wtrąciła delikatnie Aleksandra.

– To nawet wolnomularze w te brednie wierzą?… To znaczy: legendy? Ci, których znam, głosili zwycięstwo rozumu nad przesądem i śmiali się z rytuałów…

– To jacyś kiepscy masoni byli. Niepolscy chyba – oznajmiła Regina. – Ci prawdziwi, którzy trzymają sekrety alchemików, tak naprawdę też walczą o prawa kobiet zakodowane w dawnych opowieściach ich mistrzów. Choćby sama symbolika kamienia filozoficznego, zstępowania do głębin Ziemi i wyjścia do nowego życia to alegoria kobiecości, ciąży i porodu, dawania nowego życia. Spójrzcie na ich symbole! – Regina wskazała odzianego w stary frak mężczyznę rozkładającego na końcu stołu dziwaczne obrusy i proporczyki. – Krzyż, kąt, cyrkiel, gwiazda płomieniejąca z literą G, lub z syryjską jotą pośrodku, dwie kolumny z literami I oraz B. Słońce, Księżyc, Ziemia… znaki na kobiercu to symbole generacji. Nawet święta u nich wigilia Jana, dwudziestego czwartego czerwca, dlatego jest obchodzona tak uroczyście, bo Słońce wtenczas najbardziej zapładnia Ziemię, świecąc najdłużej na horyzoncie. Nawet pierwsze przyjęcie ucznia do loży jest przedstawieniem dramatycznym początku narodzenia boga-natury, wielkiego-wszystko, i poucza, że pojęcie Boga duchowego, nadnaturalnego, jest wymysłem kapłanów dla ucywilizowania barbarzyńców, i że nie istnieje wcale żadna istota czysto duchowa. Dwa bowiem pierwiastki, materia i forma, ogień i woda, płeć męska i żeńska, są zawsze oboje w jednym i jedno w obydwóch rodzących. Nawet bóstwo jest hermafrodytą, a stworzenie jest tylko indukcją rodzenia. No i powiedzcie same. Że ta odważna teoria otwiera wrota na oścież wszelkiej demokratyzacji, nie potrzeba dowodzić, tak jak dowodzić nie potrzeba, że ów masoński kult natury jest panteizmem w teorii, a grubym materializmem w praktyce – zakończyła wywód Brzeszczot-Lepiszcze.

Jej towarzyszki patrzyły na nią w milczeniu przez długie (zbyt długie jak na zapowiedź aplauzu) sekundy. W końcu Janina wzięła głębszy oddech, spojrzała na Aleksandrę, ale kiedy nie znalazła na jej twarzy oznak wsparcia, sama zauważyła:

– Reginko kochana, ale czy ty sama na mszę za ratunek Janusza nie dawałaś?

– Dawałam, a co? – odparła niezrażona wyzwolona kobieta.

– To wspierasz Kościół katolicki czy go nie wspierasz?

– No jak Bóg pomaga Januszka wydostać, to wspierać trzeba – przyznała Regina. – I kiedy Moskale naszych księży i zakonników gromią, to kiep tylko by ich nie bronił. Ale przecież teraz nie o tym mówimy… – Zamilkła nagle, jakby poruszona nowym intelektualnym odkryciem. – Myślicie, że Pan Bóg się pogniewa za te pogańskie dziady? Że mi Januszka nie odda?

Jej towarzyszki na dobre przeraziły się, że Brzeszczot-Lepiszcze zaraz wszystko odwoła i zamiast na seans uda się na przebłagalne modły do kaplicy Sióstr Bernardynek (którą to niedawno z pieniędzy Sapiehów odnowiono). Na szczęście do akcji wkroczył wtedy Józef, wyrwany z zamyślenia przez podniesione kobiece głosy.

– Co ty, Regino, o tych masońskich waginach mówiłaś? Sami wolnomularze o tym pisali?

– No, nie do końca – przyznała wciąż zmieszana kobieta. – W Krakowie taką broszurę od ojców jezuitów dostałam. Napisał ją ojciec Załęski, mądry ksiądz i wielki uczony.

– Toż to on wolnomularstwo tępi jak ślimaki w ogrodzie! – żachnął się Ziuk. – To reakcjonista zatwardziały, nawet jak na jezuitę.

– Czyli kiedy coś dobrego o masonach powie, to prawda najczystsza będzie – zauważyła Regina. – Ale to jak myślicie: grzech to, co robimy?

Po kilku minutach debaty religijno-politycznej utwierdzili towarzyszkę w planie organizacji spirytystycznego seansu. Józef zaś poświęcił się temu, co już niedługo później zostanie nazwane robotą kontrwywiadowczą. Postanowił sprawdzić, czy w grupie gapiów nie ma prowokatorów Ochrany, a w tym celu wąchał oddechy wchodzących. Trudne było to wezwanie, nawet dla nawykłego do karczemnego smrodu Ziuka. Piłsudski nie przepadał za alkoholem. Czasem lubił napić się lekkiego słodkiego wina, ale to bardziej dla smaku niż upojenia. Zupełnie nie rozumiał czaru ciężkich trunków i zwykle na pijatykach partyjnych (choć innym zewu Bachusa nie wypominał) demonstracyjnie delektował się herbatą. Prawdę napisawszy, na spotkaniach z zagranicznymi socjalistami często pił tę herbatę, udając, że to whisky, ale taki już urok owych napojów, że są podobne.

Dlatego cierpiał okrutnie, wąchając klientów przybytku Pod Kaszanką. Szukał typów niebezpiecznych, czyli trzeźwych. Zakładał, że jeśli policja lub Ochrana wysyła na takie imprezy swoich szpicli, zabrania im pić, nawet dla kamuflażu. Na szczęście krótka obdukcja poszukiwaczy tajemnic wskazała, że są oni entuzjastami misterium Dionizosa. W końcu zamknął drzwi do tajnej sali i podszedł do pana Umbrusa.

– Możemy zaczynać.

– Nie zamykaj pan drzwi, może więcej klientów przyjdzie.

– Do diabła z klientami, ja chcę moją wróżbę! – syknął Ziuk, a okultystyczny impresario zrozumiał, że żarty się skończyły.

Ostatecznie musieli wpuścić trzy tuziny pijanych obserwatorów (z których sześciu niemal od razu zasnęło), a Umbrus pomstował, że nie wyjdzie na swoje. Zamiast eleganckiego okrągłego stolika musieli się zadowolić kanciastym stołem karczemnym, otoczonym przez grubo ciosane ławy. Obrusy zakrywały tylko szczyt stołu i była to mieszanka w miarę czystych narzut właściciela i eleganckich tkanin chudego masono-okultysty. Józef szybko zrozumiał, że za dziesięć rubli nie kupił pierwszorzędnego towaru. Wspomniany ezoteryk może i coś studiował, ale jego wysoki kołnierz skrywał więzienny tatuaż, medium promieniało urodą wygasłego wulkanu namiętności, a Ziuk mógłby przysiąc, że kiedyś widział ją u Wislerowej. Cyganka może miała w żyłach krew romską, ale towarzyszyło jej tyle alkoholu, że to dziedzictwo nie miało znaczenia. Żyd był podobny. To znaczy nie pijany (pejsaty młodzieniec drżał ze strachu otoczony przez tłum zalanych zakapiorów), ale niemal na pewno z sekretami kabały związany był tylko przez urodzenie. Siadł po lewej stronie stołu, obok pary okultystów, naprzeciw pijanej Cyganki.

– Zaczynamy? – zapytał sąsiada, zwanego doktorem Salemem.

– Nosz kurwa! – mruknął ambasador tajemnego świata i dolał bimbru Cygance.

– Panie, panowie, duchy nieczyste i pokutujące… – zaczął pan Umbrus. – Zebraliśmy się tutaj, aby zapytać siły wyższe. Aby poprosić zmarłych i byty astralne o radę. Kto prosi?

– Bez nazwisk! – syknął Ziuk.

– Pan Józef Beznazwisk – oznajmił Umbrus. – Zaraz odbędzie się niezwykły pokaz mocy i starożytnych mądrości. O pomoc z drugiej strony śmierci poproszą: lady Raja, rebe Salomon z Góry Kalwarii oraz doktor Salem i panna Anastazja Perska.

W ciszy, która zapadła, zamiast braw znów słuchać było pijackie dudnienie z drugiej sali. Jedynymi lokalnymi odgłosami było chrapanie kilku śniętych widzów.

– To był wielki błąd – mruknął Józef do siedzącej obok Aleksandry. – Za dwa ruble by nam ta Raja postawiła tarota.

– Teraz już za późno. Patrz i słuchaj.

Nie przygotowano dokładnego planu seansu, a w każdym razie nie przedstawiono go Ziukowi. Ten jednak szybko domyślił się, że cały ten spektakl ułożono na potrzeby pijących widzów, a spotkanie z zaświatami nie miało na celu zdobycia informacji, ale takiego stopniowania napięcia, aby ograniczyć przypadki snu uczestników. Dlatego od razu lady Raja rozpoczęła rozkładanie marsylskich kart, a stojący nad nią Umbrus głośno komentował wyniki.

– Nasza wieszczka wykłada teraz wielkie arkana tarota, aby poznać przyszłość pana Beznazwiska.

W tym czasie Cyganka położyła na stole karty XII Wisielca, X Koła Fortuny i XI Siły. Piłsudski uśmiechnął się, widząc tak niezwykłe, ale optymistyczne ustawienie, potem jednak pomyślał, że gdyby kolejność wykładania kart była nieco inna, wymowa układu diametralnie by się zmieniła.

– Wisielec to karta wielu znaczeń – mamrotała lady Raja, a Umbrus powtarzał wszystko mocnym i wyraźniejszym głosem. – Może symbolizować zawieszenie, oczekiwanie na zmianę, doświadczenie, przeżycie, które zmieni bieg dziejów. Zbliżającą się decyzję i wielką szansę. Ale może znaczyć też człowieka po wielkim cierpieniu. Czy byłeś więźniem, panie Beznazwisku?

– Co to ma być? – syknął Józef. – Przerwijmy tę farsę, bo mnie tu ktoś pozna!

– Ale oto nadchodzi zmiana losu. Koło fortuny upokorzy możnych i wyniesie skrzywdzonych. Da siłę, a siła to następna karta.

Raja sięgnęła po kolejne kartoniki. Wyłożyła karty XXI Świata, VIII Sprawiedliwości i IIII Cesarza. Mamrotała coś długo (Umbrus przestał tłumaczyć), po czym zajrzała pod obrus. Józef mógłby przysiąc, że widzi tam kartkę z notatkami.

– Jakże wielka to odmiana. Nasz bohater wróci do świata, będzie świadkiem wymierzenia sprawiedliwości, a potem zdobędzie wielką władzę, jak cesarz.

– Blaga! – krzyknął ktoś z ciemności. – To nie wróżba, ale przedstawienie. Co za tandetne oszustwo! Ta baba czyta notatki pod stołem.

– Proszę wyjść! – rozkazał wściekły Umbrus.

– Jak mi oddacie moje pięćdziesiąt kopiejek! – zawołał krewki sceptyk. Józef szybko policzył widzów, oszacował zysk impresaria na co najmniej dwadzieścia rubli i zrozumiał, dlaczego Umbrus zgodził się na zniżkę. – Zaraz wam udowodnię, że to wszystko jest ustawione.

To metafizyczne liberum veto zostało wygłoszone przez wielkiego brodacza o aparycji melancholicznego drwala. Jednak w owej chwili czarna żółć gotowała się w protestującym. Podszedł on bliżej krańca stołu, wkraczając w kręgi światła rzucane przez dwie naftowe lampy, jedynie oświetlenie w sali (nie licząc ogników dwóch palonych papierosów i jednej fajki). Podniósł ręce jak ksiądz Skarga na słynnym obrazie mistrza Jana i rozpoczął swoje kazanie.

– Jakie to szanse, że na sześć wyciągniętych z puli dwudziestu dwu kart wszystkie mówią o wielkiej zmianie i poprawie losu tego naiwniaka? – zapytał drwal i wskazał na Józefa. – Ten człowiek to biedny, wykorzystywany głupek. Widać, że dawny więzień albo i zesłaniec…

– A co, sam zamówił taką pomyślną wróżbę? – padło z ciemności pytanie wątpiącego w słowa wątpiącego.

– Nie, chyba ta dama, żona, kochanica czy nie wiem co, ja tam nie dociekam, chciała mu prezent przyjemny zrobić. Albo i ten szczurzy oszust – wskazał spojrzeniem Umbrusa – sam się domyślił, jako i ja na to wpadłem.

– A po czym się pan domyślił? – zapytał drugi sceptyk, tylko o sekundę uprzedzając podobne pytanie Reginy.

– Widać po nim, że ten zaproszony wąsy nosi, aby jakieś blizny czy wybite zęby ukryć. Poza tym policji się boi, bo przy wejściu wszystkich wąchał pod nosem.

W tym momencie Józef, nie wiedząc, czy oskarżyciel ma rację, czy też nie, postanowił ratować sytuację tak, jak umiał. Wielka towarzyska improwizacja należała do jego zalet. Tak uszedł z cytadeli, tak razem z resztą grupy tydzień wcześniej uniknął wykrycia. Wstał więc i gromkim głosem obwieścił:

– Tak, byłem ja na Syberii, a tam Cyganka mi wywróżyła, że zostanę dyktatorem wolnej Polski. – Odpowiedziały mu dobiegające z ciemności śmiechy. – Wy się śmiejecie, ale są na świecie moce, z którymi nauka współczesna poradzić sobie nie może, które wciąż się jej wymykają. A może powinienem powiedzieć: jeszcze? Bo kto wie, czy to, co dziś uznajemy za dziwy, nie będzie oczywistością za lat sto? Taka elektryczność, dla naszych przodków tajemna, szczepionka na wściekliznę czy głosowe aparaty, które Amerykanie zwą fonografami. Czy wiek wcześniej jakiś Edison z fonografem nie byłby uznany za szaleńca czy magika? Wyobraźcie sobie, że stoję przed jakąś dziwaczną trąbą i myślę, że głos mój ma się oddzielić ode mnie i pójść gdzieś w świat beze mnie, jego właściciela. Wyobrażam sobie tą zabawną chwilę, gdy jakiś ananas korbą nakręci, śrubkę naciśnie i jakaś trąba, zamiast mnie, gadać zacznie. Pusty śmiech mnie bierze, że ten biedny mój głos, ode mnie oddzielony, przestał nagle być moją własnością i należy już nie wiem do kogo i nie wiem do czego: do trąby czy do jakiegoś akcyjnego towarzystwa. Najzabawniejsza jest jednak myśl, że kiedy mnie już nie będzie, mój głos sprzedawanym będzie za trzy grosze gdzieś na jarmarkach, prawie na funty, jak pierniki, prawie na łuty, jak jakie cukierki…

– A co to ma do tarota? – zapytała przytomnie Regina. Ta zdrada ze strony przyjaciółki uszła jej jednak na sucho, gdyż niemal wszyscy, z brodatym sceptykiem na czele, zastanawiali się, gdzie zmierza ten wywód.

– Głos mój na wałku woskowym nie dziwniejszy przecie jest od kart, którymi kierują duchy. Telefon jest cudem, nieważne, czy rozmawiamy z żywym, czy martwym rozmówcą. A czas, do niedawna zdawałoby się domena Boga Najwyższego, też może odsłonić przed nami swoje sekrety. Te sekrety, które mędrcy wśród wielu ludów posiedli przed epoką nowoczesnych nauk. Co, jeśli lady Zora, która mi na zesłaniu przyszłość przepowiadała, przechowuje wiedzę zapomnianą z przeszłości, a lady Raja mi ją znów przekazuje? Możemy wierzyć, że nasz świat, nasza rzeczywistość wyraża się tylko w jeden sposób. Ale może istnieją krainy poza zasięgiem naszych zmysłów i dróg postrzegania, a przez to nie są ani trochę mniej prawdziwe niż to, co możemy dotknąć, co możemy poczuć…

– Co on pierdoli? – syknął drwal. – Ludzie, obudźcie się, to jakieś oszołomy! Jeśli chcecie wiedzy pradawnej, chodźcie do mnie. Zapraszam na prawdziwe dziady litewskie, w gospodzie Liberszanca, w przyszłą sobotę o dwudziestej…

W tym momencie pan Umbrus i krewki miejscowy kelner podeszli do stosującego nieuczciwą reklamę sceptyka-guślarza. Zanim jednak zdołali go ująć pod ramiona, ten wyskoczył przed siebie, rozepchał tłumek i wybiegł z sali.

– Już po wszystkim. Czy możemy kontynuować? – zapytał głośno Umbrus. Potem szepnął do pary okultystów: – Teraz wy, bo nam się ludzie znudzą.

To niemal zawsze działało. Być może panna Anastazja Perska nie była już medium pierwszej piękności, ale tajemnicza atmosfera komnaty, półmrok i wyginające się do rytmu zaświatów ciało zwykle skupiało uwagę publiczności, zwłaszcza dominująco męskiej.

Doktor Salem zaklął coś pod nosem, wyciągnął zegarek na łańcuszku, po czym zaczął machać go przed twarzą towarzyszki. Ta bardzo szybko rozluźniła się i opadła na oparcie krzesła, mrucząc coś niezrozumiale.

– Teraz nasi przewodnicy szukają łączności z duchami – oznajmił Umbrus. – Czy ktoś z was zaproponuje, kogo mają zawołać?

Józef tego nie chciał, ale jego język okazał się szybszy niż zdrowy rozsądek. Podniósł rękę i poprosił:

– Mego zmarłego przyjaciela, towarzysza Witolda.

Odpowiedział mu syk zdziwienia i potępienia ze strony Aleksandry i Janiny oraz westchnienie emocji z ust Reginy. Ale było już za późno.

– Witoldzie, słyszysz nas? – zapytał doktor Salem.

– Stefanie! – poprawił go Józef, nie mogąc jednak wchodzić w szczegóły tożsamości i pseudonimów Stefana Okrzei.

– Stefanie, słyszysz nas?

W tej samej chwili ciało Perskiej wygięło się dramatycznie. Medium westchnęło, a z jej ust wydobył się głos zupełnie niepasujący do drobnej kobiety.

– Jestem, towarzyszu. W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, Pragi ustrzegłem.

Aleksandra złapała dłoń Piłsudskiego, Janina spojrzała w panice na Reginę. Ta jednak pokręciła głową, przecząc, że cokolwiek zdradziła organizatorom seansu. Zaś sam Ziuk wstał i nachylił się nad medium.

– Powiedz, powiedz, bracie, damy radę?

– Dwa worki weź, nie więcej! – odparł świętej pamięci towarzysz Witold ustami panny Perskiej. – A potem uchodź, nie dowie się nikt.

– Stefanie, co mówisz?

Janina najszybciej odzyskała zimną krew. Oceniła sytuację, po czym podjęła jedyne działanie przystające kobiecie. Wpadła w bardzo dobrze zaplanowaną panikę. Wydała z siebie przeraźliwy pisk, a potem krzyknęła na cały głos, wypełniając tajemną salę piekielnym chaosem.

– Ratunku, policja!

Tego starczyło wszystkim, nawet czterem wciąż śpiącym widzom. Ponad trzy tuziny obecnych (licząc słuchaczy, bojowców i personel okulty-

styczny) rzuciło się do ucieczki. Wszyscy mieli na twarzach wyraz przerażenia. To znaczy: prawie wszyscy wierzyli w nalot policji, a Janina i Aleksandra nie mogły pojąć zachowania fałszywej spirytystki. Jeszcze jedną anomalią był uśmiechnięty od ucha do ucha Żyd, który lękał się o własne życie, ale był niezwykle rad, że tego wieczoru jednak nie sprofanuje tradycji przodków dla kilku nędznych rubli.

Pozostał też Józef, stojący przy stole nad wstającą Anastazją Perską.

– Stefanie, Stefanie, powiedz coś! – szeptał, usiłując w oczach kobiety dostrzec ten ogień, który palił straconego trzy lata wcześniej młodego bojowca.

– Panie, policja idzie! – odparło medium i ruszyło za swym zbiegłym towarzyszem.

– Jakie worki? Co ty mówisz? Wracaj tu!

Ale Perska nie zamierzała kontynuować zadania astralnej pośredniczki. Zostawiła wąsatego klienta zupełnie zaskoczonego i zmartwiałego. W końcu Ziuka odciągnęły towarzyszki Morska i Taterska, kończąc piątkowy seans. Wybrali wyjście czeskie, czyli przez okno, choć na szczęście znajdowali się jedynie na wysokim parterze. Było to rozwiązanie bardzo sprytne, gdyż drzwi blokowała im ludzka ciżba i pożar.

Ktoś upuścił fajkę na kotary, ktoś inny nadepnął na tkaninę, nim tłum stóp zdołał zadeptać płomienie. Gdyby to trwało trochę dłużej, policja faktycznie musiałaby się pojawić na miejscu zdarzenia, choćby dlatego, aby policzyć ofiary. Jednak nim ogień się rozprzestrzenił, nieświadomi grozy sytuacji goście karczmy Pod Kaszanką ugasili płomienie. Potem zaś zaczęli w amoku szukać prowokatora, który spowodował panikę. Prystorowa była już w owej chwili daleko, z przyjaciółkami i Józefem. Przechodząc przez most na Wilii, spoglądała w tył na Piłsudskiego, który powtarzał coś pod nosem, jakby zmarły towarzysz wciąż do niego mówił.

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część czwarta, „Kurier Tokijski”, 15 grudnia 1908 roku

Podczas zwiedzania ziem polskich, a właściwie całego zachodu Imperium Rosyjskiego, uderzyło mnie zamiłowanie tak ludu, jak elit do guseł i wróżb. Nie są to jednak proste i pełne gracji wróżby w stylu naszych o-mikuji, ale wymyślne systemy kontaktu z zaświatami oraz interpretowania sygnałów od losu. Są one liczne i bardzo różne, ale wszystkie raziły mnie swoją absurdalnością. Nie chodzi mi o to, że zbiorowa mądrość narodów Europy nie byłaby w stanie odkryć przydatnych sposobów zdobywania tajemnej wiedzy. Nie, wobec dawnych zwyczajów białego człowieka trzeba zachować ciekawość i otwarty umysł, gdyż mimo ich pozornego prymitywizmu zawierają one cząstki prawdy odwiecznej, lepiej rozumianej przez naszych przodków niż przez nas. Także to, co Europejczycy nazywają „tradycją ezoteryczną”, zasługuje na dogłębne studia, gdyż szkoła mistycznego odczytania chrześcijaństwa, mimo równie zadziwiających sprzeczności, jest tematem pasjonującym. Jednak wszystko należy umieścić we właściwym kontekście. Bardzo mnie zadziwiało, kto sięga po owe zabobony.

Lud polski i litewski, tak jak większość nacji Imperium Rosyjskiego, to narody pobożne. Wiara ludowa, jak to zwykle bywa, nie jest poparta tu powszechną znajomością teologii, choć wydaje się, że i tak jest lepiej rozumiana niż w Europie Zachodniej. Do tego zagadnienia jeszcze wrócimy.

Za to ludzie wykształceni i bogaci dzielą się na tych pobożnych i bezbożnych, uczęszczających do rzymskiego Kościoła lub go krytykujących z żarliwym sentymentem i patosem. Takie osoby, niezależnie od nastawienia re-

ligijnego, powinny mieć znaczną wiedzę o sprawach duchowych, a nadto myśleć logicznie o sprawach pozaświatowych. Nic takiego jednak nie ma miejsca, przynajmniej nie w ich praktyce.

Spójrzmy na takie wróżby, czy to karciane (stawiane dzięki taliom zwanym „tarotami"), czy oparte na czytaniu linii na dłoniach (sztuka ta, mimo powszechnego przekonania o jej pochodzeniu od narodu Cyganów, nazywana jest z grecka „chiromancją"). Dotyczą one odkrycia przyszłości, co powinno stawiać je w jawnym konflikcie z przekonaniami właściwie wszelkich nurtów religijnych.

Choć chrześcijaństwo (na tyle, na ile rozumiem ową wiarę) wydaje się przepełnione proroctwami, są one domeną wszechwiedzącego Boga, dla którego zaglądanie poza czas jest wedle owej teologii igraszką. Natomiast każda wiarygodna informacja o przyszłości z ust innych niż boskie powinna być traktowana jako najgorsze bluźnierstwo przez chrześcijan. Nie chodzi tutaj nawet o potencjalne podszepty szatana, ale samą zasadę umożliwiającą spojrzenie w przyszłość. Jeśli istnieje możliwość przewidzenia czegokolwiek, poza boską wszechwiedzą, nie istnieje wolna wola, do której chrześcijanie, a zwłaszcza katolicy, są przywiązani jak rozbitek do ostatniej deski ze statku.

Aby jakiekolwiek proroctwo mogło być pewne, musi istnieć sposób na przewidzenie decyzji niezliczonej rzeszy ludzi przez niezwykle długi okres czasu. Choć jak mówią katoliccy filozofowie: prawo naturalne (nie tak odmienne w swej koncepcji od wielkiego Koła Dharmy) może owo niezliczone mrowie ludzkie skłaniać do pewnych wyborów, nie jest w stanie przymusić każdego z nich, gdyż to złamałoby podstawowe zasady rządzące metafizyką i etyką wyznawców Chrystusa. Bez wolnej woli nie ma racji bytu: odpowiedzialność za uczynki, powszechna moralność, osobiste zbawienie i potępienie, a pośrednio: piękno i brzydota, prawda i kłamstwo, radość i smutek. Gdyby nawet niezbyt uczony chrześcijanin pomyślał nad konsekwencjami swoich wierzeń, musiałby odrzucić wszelkie zaufanie do wróżb i znaków.

Czy i inaczej jest z ateistami i agnostykami, którzy zamienili wszechwiedzącego Boga na bóstwo Natury i Rozumu? Moim zdaniem ich postawa, kiedy szukają w nowinkach technologicznych wyjaśnień odwiecznych pytań o przyszłość, jest bezrozumna. Nawet tego jednego, że po śmierci niczego nie ma, nie traktują poważnie, skoro liczni wolnomyśliciele uczęszczają na spirytystyczne seanse i próbują rozmawiać z duchami. Ale to oddzielny temat, o którym powinien wypowiedzieć się ktoś mądrzejszy ode mnie. Ze swojej strony tylko zauważę, że wiara europejskich scjentystów we wróżby, poza paradoksami metafizycznymi, tworzy wiele pytań czysto technicznych.

Jeden z największych wkładów Europejczyków w naukę powszechną, kopernikański heliocentryczny model układu planet, wcale nie zwyciężył, gdyż był prawdziwy w sposób ewidentny, nie wygrywał z tym geocentrycznym, ptolemejskim na pierwszy rzut oka. Wcale nie. Późni zwolennicy sferyczności Wszechświata wymyślili system epicykli, który tłumaczył niemal wszystkie zjawiska niebieskie w sposób równie dobry (niech czytelnicy zauważą, że przed zmierzeniem przez Fryderyka Bessela w 1838 roku paralaksy w gwiazdozbiorze Łabędzia, system Kopernika nie był „udowodniony" w rozumieniu Europejczyków). System ptolemejski zgubiła nie jego fałszywość, ale brak elegancji, rosnące wykładniczo skomplikowanie i, poniekąd, względy religijne, bo przecież Bóg białych ludzi nie tworzyłby wielkiego kosmosu, aby stworzyć ludzkość i zesłać swojego Syna tylko na jego zapadły kraniec. Wraz z odkrywaniem nowych konstelacji i mierzeniem odległości między nimi pomysł, że wszystkie gwiazdy poruszają się wokół Ziemi na ogromnych sferach, stawał się coraz bardziej niedorzeczny. Jeśli wierzyć najnowszym pomiarom astronomów, najdalsze gwiazdy musiałby się poruszać wokół nas z prędkościami nieskończenie większymi niż pęd światła. W ten sposób przypisy do teorii Ptolemeusza stały się niewiarygodnie bardziej skomplikowane niż sama teoria.

Teraz wróćmy do świata proroctw. Jeśli odrzucamy możliwość istnienia bytu wiecznego i ponadczasowego (który to ateiści i scjentyści odrzucają), a mimo wszystko pytamy tarota, czy dawny zesłaniec polityczny spod Ir-

kucka za dwie dekady stanie się premierem wielkiego państwa, w istocie oczekujemy, że jakieś astralne liczydła, ukryte w eterze nad kartami, obliczą skutki milionów decyzji milionów ludzi, natychmiast i bez żadnej pomyłki. Magiczne trybiki takiej maszyny musiałby się poruszać znacznie szybciej niż odległe gwiazdy w tym odmiennym świecie, w którym nasz Wszechświat przypomina wizje Ptolemeusza. Jeśli to nie jest irracjonalizm, nie wiem, co nim jest.

AP, Rady dla przyjezdnych, część trzecia, „Codziennik Wileński”, 25 września 1908 roku

Co jednak, jeśli pociąg, którym jedziemy, stanie się sceną napadu? Przedstawię teraz analizę opracowaną we współpracy z JJ, naszym korespondentem w Ameryce, który dwa razy przeżył zamach na kolei oraz po rozmowie z porucznikiem Dymitrem Rżewskim, weteranem Samodzielnego Korpusu Żandarmów na Północno-Zachodnich Drogach Żelaznych.

Otóż naszą najważniejszą bronią przeciw zamachowcom jest spokój. Prawdopodobieństwo takiego zamachu, jak już kilka razy pisaliśmy, jest astronomicznie małe. Ponadto większość podobnych przedsięwzięć zostaje udaremniona w momencie ujawnienia zbrodniczych intencji napastników. Jakkolwiek dobrze zorganizowana będzie terrorystyczna siatka, niezależnie jak dobrze się ukryje i jak zaskoczy załogę pociągu, nie będzie ona ani liczniejsza, ani silniejsza, ani sprytniejsza niż suma sił policji, żandarmerii i wojska.

Jedyną szansą przestępców, aby dokonać udanego napadu (to jest: przejąć pociąg i bez strat ujść z łupem), to wybór dogodnego miejsca akcji. Działanie podczas jazdy znacznie utrudnia sprawę: komplikuje ukrycie łupu, a przede wszystkim ogranicza liczebność oddziału terrorystów tylko do ukrytych przed pasażerami członków siatki. W takich przypadkach nawet nieliczna eskorta trzech czy czterech żandarmów zwykle starcza do odstraszenia przestępców.

Może więc napastnicy zdecydują się wsiąść do pociągu na trasie? W wielkich miastach zostaliby oni natychmiast przytłoczeni przewagą stróżów prawa. Natomiast na głębokiej prowincji, na stacjach trzeciej i czwartej klasy, pociągi pocztowe i te z wagonami *première classe* (których

pasażerów złodzieje mogliby okraść) niemal nigdy się nie zatrzymują. Wyjątkiem są dobrze strzeżone postoje na uzupełnienie węgla i wody oraz stacyjki tuż przy większych miastach, takich jak Kowno czy Wilno, które są jednak na tyle blisko policyjnych cyrkułów i wojskowych koszar, że terroryści nadal igrają z ogniem stróżów porządku.

Jeśli jednak taka sytuacja się zdarzy: na niepozornej stacji czwartej klasy pod miastem zaczają się bandyci, to należy zastosować się do złotych rad porucznika Rżewskiego. Jako pasażerowie: nie panikować ani nie podejmować nieprzemyślanych działań. Nawet w przypadku posiadania broni (z wyłączeniem sytuacji, gdy uzbrojeni pasażerowie posiadają widoczną przewagę nad napastnikami) obrona przez atak bez współpracy z eskortą żandarmerii jest zachowaniem nieroztropnym. Nie należy bandytom ubliżać czy podburzać ich ideowo. Smutne doświadczenie wskazuje, że nawet posiadający skrupuły terroryści, raz utoczywszy krwi postronnym świadkom, często wpadają w morderczy szał i rozpoczynają prawdziwą rzeź, wiedząc, że w razie schwytania i tak nie unikną stryczka.

Pasażerowie mogą jednak bardzo pomóc eskorcie i obsłudze pociągu. Jeśli w danej chwili nie grozi im bezpośrednio żaden bandyta, winni zamknąć wszystkie okna (aby utrudnić wrzucenie przez nie bomby), zablokować drzwi do przedziałów, a jeśli się da, zatarasować przejścia między wagonami (z wyjątkiem tego, które daje dostęp do wagonu eskorty). Należy w sposób rozsądny (to jest: tylko kiedy napastnicy nie przejawiają nadmiernej agresji) odwrócić uwagę przestępców, choćby przez zbędnie długie oddawanie swojego dobytku. Ukrywania pieniędzy i kosztowności nie polecamy, gdyż to może rozsierdzić terrorystów.

Czasem nawet bandyta nie jest w stanie zabić w sobie sumienia ani odgonić dobrych nawyków. Jeśli trafimy na takich terrorystów-dżentelmenów, damy powinny wykorzystać moc swej charyzmy, podkreślać urażoną dumę i niestosowność zachowania intruzów. Wyjątkiem od tej zasady są sytuacje, gdy podejrzewamy, że napastnicy mogą dać się ponieść gniewowi lub chuci.

Jeśli już dojdzie do najgorszego, jesteśmy pewni, że terroryści zamierzają strzelać lub wysadzać bomby, należy się bronić każdym dostępnym środkiem. Tak samo należy czynić, widząc nadchodzącą pomoc. Czas to skarb, którego napastnicy zwykle nie posiadają w nadmiarze. Dla nich każda sekunda jest na wagę złota i jeśli nie czują się w pełni bezpiecznie, zwykle porzucą napaść, zwłaszcza spotykając się z choćby lekkim oporem.

Naszą bronią w takiej sytuacji mogą być nie tylko pistolety, rewolwery, noże i pałki, ale też: parasole, ciężka zastawa stołowa, meble, naczynia z wrzątkiem, a nawet perfumy, jeśli je rozpylić w pobliżu twarzy przestępcy. Osłonę może zapewnić każde ciężkie ubranie, płaszcz, koc, firana, mufka, nawet szal czy ściągnięty ze stołu obrus.

Osłabić wolę wroga może krzyk, gwizd czy głośna modlitwa (ta może skruszyć serce wciąż wierzących w Boga napastników). Warto zawsze udawać obcokrajowca, wołać w różnych językach. Nie należy jednak podawać się za arystokratów ani członków rodziny carskiej. Tych pierwszych napastnicy mogą wybrać na zakładników, na tych drugich wywrzeć rewolucyjny gniew.

Prace towarzysza Ziuka, 26 września 1908 roku

Od rana nie zamienili ani jednego słowa. Wstali, oporządzili się, ubrali, zjedli śniadanie w niemal absolutnej ciszy, którą przerywało tylko brzęczenie sztućców i okazyjne głosy Tomasza oraz Reginy. Brzeszczot-Lepiszcze także była świadkiem większości tajemniczych zdarzeń z poprzedniego popołudnia i wieczora, ale mimo przerażenia postanowiła zachować dobre maniery i udawać, że poranny posiłek przed akcją nie jest stypą.

Towarzysz Siłacz nie wiedział właściwie o niczym. Może brał milczenie wodza za skupienie przed akcją? Sam wydawał się pogodny i albo pewny swego, albo pogodzony z wyrokami losu. Wstając od stołu, położył dłoń na ramieniu Józefa.

– Uda się, zasłużyliśmy – stwierdził, potem zaś wyszedł, aby wydać ostatnie rozkazy grupie dywersyjnej, osłonowej i rezerwowej.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, trzy bojowczynie spojrzały na towarzysza Ziuka. Pytania palące w ich spojrzeniach były aż nadto wyraźne, a Piłsudski nie potrzebował szóstego zmysłu, aby je odczytać.

– Akcja się odbędzie – powiedział z mocą. – Stefan twierdził, że się uda.

– Nie Stefan, ale ta stara raszpla. Poza tym mówiła tylko coś o workach.

– Workach z pieniędzmi! To znak, to palec Boży! – zakrzyknął wódz socjalistów. Zaraz dodał ciszej: – Poza tym to i tak przesądzone. Nie mamy kontaktu z grupą Walerego. Czekają na pociąg w Grodnie, a przecież do nich nie zatelegrafujemy. Kości zostały rzucone.

Aleksandra spojrzała z napięciem na Reginę. Szepnęła błagalnym głosem:

– Kochanie, przemów mu do rozumu.

– O co ty mnie prosisz? – prychnęła Brzeszczot-Lepiszcze. – Przecież wiesz, że to ostatnia szansa na wydobycie Janusza z mamra. Jestem jego żoną, przysięgałam w doli i niedoli…

– Ale to się nie uda! – jęknęła Janina.

– Oczywiście, że się nie uda. Ale wtedy umrzemy razem, może nas powieszą na jednej belce – oznajmiła Regina, chyba zupełnie poważnie wierząc, że bandytów spod Wilna komuś chciałoby się wozić do Warszawy na proces i egzekucję.

– Czyli się pchamy pod moskiewski nóż…

– Damy radę! – przerwał jej Ziuk.

– Józefie, przecież wiesz, że ja zapłaciłam jeszcze pięć rubli temu Umbrusowi, aby tak tarota kazał podłożyć? – Szczerbińska wypowiedział na głos to, czego wszyscy już się domyślali, a co nawet przewidział guślarz-sceptyk z piątkowego spektaklu.

– Pięć rubli? – żachnęła się Janina.

– To chyba nie robi nam różnicy, jeśli wszyscy zginiemy – zauważyła Regina.

– Nie zginiemy! – Józef uderzył pięścią w stół. – Koniec tego defetyzmu, bo was zostawię na tyłach. Ja jestem naczelnikiem organizacji, ja wydaję rozkazy i na mnie spada za nie ciężar. A teraz mówię: uciszcie się!

Uciszyły się chyba patrząc z jeszcze większym podziwem na bojowca. A potem bez dalszego narzekania wyszykowały prowiant i rozlały kwas do szklanych fiolek. Tak minął im poranek i południe dnia ostatniego.

Za to Józef jeszcze przez kilka godzin nie miał się gdzie podziać. Palił fajkę, rysował plany stacji na piasku za domem (wszystkie szkice na papierze spalili już dawno), ale nic nie przynosiło mu ulgi. Wtedy postanowił zrobić to, co każdy porządny socjalista robi po seansie spirytystycznym – pójść do kościoła.

Nadłożył trochę drogi i wybrał się do Świętej Anny. Świątynię niedawno oddano do użytku. To znaczy: wyświęcono ją jeszcze za Jagiellonów, ale po pożarze sprzed dekady kościół zamknięto i odnawiano przez kilka lat.

Wchodząc w cień gotycko-barokowej bryły, Józef wzniósł oczy ku strzelistym wieżyczkom.

– „Poczekajcie no kopułki" – szepnął, wyjątkowo nie na miejscu.

Potem zaś pomyślał, że tak jak kościół z popiołów, tak i Rzeczpospolita z gruzów powstanie. Nie musiało się to zdarzyć za jego życia, ale mogło.

Będąc tego ranka wyjątkowo daleko od stanu łaski uświęcającej, nie zdecydował się wejść do środka. Patrzył w jasne niebo i obrys świątyni tak długo, aż ruch białych chmur na dość pogodnym niebie uspokoił go i zaczarował.

Przez chwilę wyobrażał sobie, że jest w kościele. Musiał z tego snu na jawie wyrzucić pewne szczegóły, jak na przykład pas z dynamitem, który przywędrował chyba ze snu o warszawskiej cerkwi na Długiej. Ale w końcu stanął przed ołtarzem, za którym hostię wnosił sam Chrystus, a Stefan Okrzeja służył mu do mszy.

– Oto godzina próby – oznajmił senny Zbawiciel. – Dziś zwyciężysz, a dam ci panowanie nad tym narodem.

– *Domine, non sum dignus*... – powtórzył odruchowo Józef, choć niezupełnie szczerze. Chrystus pobłogosławił mu, a Okrzeja dał znak, aby już sobie poszedł.

I tak towarzysz Ziuk się ocknął, w samą porę, aby zobaczyć starego zakonnika podchodzącego do niego z ciężkim koszem. A Piłsudski powtarzał wciąż *Domine, non sum dignus*, co widać bardzo ujęło krzepkiego staruszka.

– Tak, tak, chłopcze – oznajmił. – Tyś nie godzien, ale któż jest? Nasze grzechy są wielkie, ale czymże są one w obliczu ostatecznej ofiary naszego Pana?

– Jestem socjalistą... – rozpoczął wyznanie Piłsudski, ale bernardyn uznał te dwa słowa za pełne wyznanie winy.

– Nikt nie jest doskonały, synu. Ważne, że żałujesz.

– Wiodę ludzi na zatracenie – dodał zirytowany Józef, chcąc oblec swoje wyznanie w bardziej bezosobowy opis.

– To przestań. Przywieź ich jutro na mszę.

– Pomodli się ojciec, aby moi towarzysze dotarli do kościoła?

– Oczywiście, gdyż łaska Boża jest nieskończona. Ja tylko czerpię małymi naparstkami z nieskończonego źródła. – Podszedł do Józefa, uczynił znak krzyża na jego czole, a potem sięgnął do kosza. – Módl się i unikaj wilków w owczej skórze. Nich ci Bóg dzień dzisiejszy oświeca.

Wcisnął zaskoczonemu Piłsudskiemu w dłoń pokaźną broszurę (których kilkadziesiąt więcej trzymał w koszu), odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku Wilejki, gwiżdżąc cicho trudną do zidentyfikowania nabożną melodię. Józef spojrzał zaś na druk i przeczytał nagłówek. *O masonii w Polsce*, Stanisław Załęski SI.

Zgiął broszurę i schował do kieszeni, po czym ruszył w dalszą drogę. Do rozpoczęcia akcji zostało jeszcze kilka godzin, ale to on dowodził. Nikt nie mógł mu zakazać wyruszyć wcześniej. Zresztą droga do Bezdan, tak aby nie obciążać zbytnio koni, mogła trwać i cztery godziny. W ów dość słoneczny dzień mogła być przyjemna, ale podróż wieczorem mu się nie uśmiechała. Już na zesłaniu Józef nauczył się odczytywać niezawodne znaki swojego łokcia. Lewy łokieć bolał go, kiedy nadchodził deszcz. Bolał także, kiedy miał zerwać się wiatr albo zbierało się na śnieg, ostrzegał też przed falą upałów. Słowem: niezawodny staw ostrzegał go przed każdą zmianą pogody. Owego południa to także sugerował.

Dlatego Piłsudski szybkim krokiem wrócił do kwatery, gdzie zastał kobiety gotowe, z kanapkami i kwasowymi granatami. Pocałował Aleksandrę, jakby nie widział jej z tydzień, po czym wydał rozkaz do wymarszu.

Humor towarzyszek się nie poprawił. Regina wciąż utrzymała na twarzy wyraz zaciętej rezygnacji, a towarzyszki Morska i Taterska unikały wzroku wodza. Józef powtarzał sobie pod nosem słowa, którymi uraczył poprzedniego dnia pana Umbrusa: „Dość już tej bierności! Gubi nas ona, nie tylko jako naród, ale jako jednostki. Jej to przede wszystkim zawdzięczamy, że wśród nas tak częstym jest zjawiskiem pesymizm, beznadziejność, brak wiary w siebie i w możność życia na lepszy sposób". Potem jednak, gdy chciał je zapisać, przypomniał sobie, że podobny passus już kiedyś gdzieś czytał. Zaczął więc szukać alternatywnej formy do swojej przemowy.

„Tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, który ma pewne przekonania i potrafi je bez względu na skutki wyznawać czynem" – zaproponował w myśli, przenosząc do wozu skrzynki z kwasem. Potem spojrzał na trzy swoje towarzyszki. Uśmiechał się, nie tylko na widok wdzięków Aleksandry. „Bez tych trzech wiele bym nie zdziałał. Teraz myślą, że idą ze mną na śmierć, ale żadna z nich się nie wycofała. Nikt poza Walerym nie wykazałby takiej determinacji. A nawet nie wiem, czy on wciąż maszeruje za mną, czy za duchem Wandzi..."

Wspomnienie zmarłej pasierbicy zachmurzyło radość Ziuka. Zdał sobie sprawę, że jeśli ma zejść z tego padołu łez, to jest gotów. Absolutnie nic mu nie szło, a suma nieszczęść zebrała się nad nim tak wielka, że czuł się jak hazardzista stawiający ostatniego rubelka na jednym oczku ruletki. „Zwyciężymy: dobrze. Przegramy, mała strata. Umrzeć można raz, być w czarnej dupie – całe życie. A nawet jeśli przegramy, to co? I z tego coś dobrego wyjść może. Wartość ma nie to, co mówimy, ale to, jak nasze dzieło zainspiruje innych do czynu. Cokolwiek się stanie, dzisiejszy wieczór będą wspominać. Nasi z podziwem, a Moskale ze zgrozą".

W końcu wskazał paniom wóz i pomógł im wejść na ławy. Sam siadł na kozła, machnął na zamykającego lokal Tomasza. Ten skinął głową i zaraz dołączył do wodza. Ruszyli, jak przed tygodniem prowadzeni przez Józefa. „Oto wódz nowej ery, co sam wozi żołnierzy na pole bitwy" – pomyślał, kierując się na szosę dyneburską.

Słońce wciąż świeciło mocno jak na wrześniowe popołudnie, ale ze wschodu nadciągały już ciemniejsze chmury.

Prace towarzysza Katajamy, 26 września 1908 roku

Ponoć Marks powtarzał, że historia lubi się powtarzać, raz jako tragedia, innym razem – jako farsa. Aleksander miał wielką nadzieję, że Marks się mylił. Po raz wtóry siedział na wozie pełnym broni i zakazanych materiałów, tuż obok Wojciecha. Mimo psującej się pogody młody bojowiec był wesoły i pełen naiwnej wiary w nieśmiertelność nie tylko duszy, ale i ciała. Prystor przypuszczał, że tak demoralizujący wpływ na kompana miały wydarzenia sprzed tygodnia. Wojciech uciekł kostusze sprzed nosa, wynosząc z lekcji nieudanego napadu niewłaściwym morał o absolutnej nieudolności carskich służb i idealnej sprawności pepeesowców. A Katajama, człowiek w sumie młody, ale będący świadkiem kilkunastu podobnych akcji bojowych, bez trudu wskazywał momenty, gdy od klęski dzieliły ich milimetry.

„To niczym jakaś przeklęta gra w kości, jakby na górze zebrali się aniołowie stróże, zarówno nasi, jak i naszych wrogów, po czym rozpoczęli hazard. O zgrozo, nasi opiekunowie wciąż wyrzucali na kościach jedynki, a jedyne, co nas ratowało, to to, że aniołowie naszych wrogów mieli równie krytycznego pecha!" – myślał bojowiec, ale zaraz skupił się na drodze i obserwacji towarzysza siedzącego tuż obok.

Wojciech uśmiechał się szeroko. Założył lekki, ale długi płaszcz. Katajama przekonał go, że nawet gdy nie nosi obrzyna czy innych długich przedmiotów, dodatkowe centymetry ubioru lepiej maskują jakąkolwiek broń. Wojciech trzymał w kieszeniach płaszcza dwa mauzery i jeszcze na wszelki wypadek cztery laski dynamitu. Uznał, że jeśli już go złapią, może umierać na bogato.

Wojciech uchylał kapelusza wszystkim mijanym damom, które myślały, że chłopak jest jeszcze pijany po hulance minionego wieczora. Prystor za-

zdrościł towarzyszowi tego nastroju. „Młody, więc głupi, moresu nie zna. Gdyby trochę dłużej w sztuce naszej posiedział, jak by mu obwiesili kilku przyjaciół albo nawet na przesłuchaniu żandarmi nerki obili, to by inaczej na to wszystko patrzył. W dodatku nieżonaty, tacy są najodważniejsi".

Aleksander wiedział, że mężczyźni dzielą się z grubsza na dwie grupy: tych z rodziną i bez. Ludzie rodzinni za bardzo go nie obchodzili, gdyż takich w organizacji było niewielu. Owszem, on, Ziuk i jeszcze kilku towarzyszy związanych było z ukochanymi kobietami, czy to żonami, czy kochankami (Ziuk właściwie wybrał oba warianty), ale poza wyjątkowymi sytuacjami taki związek nie był pomocą, tylko zawadą dla bojowca. I podobnie zdarzało się z zaangażowanymi politycznie kobietami. Regina Brzeszczot-Lepiszcze oraz Janusz Lepiszcze byli idealną parą dla konspiracji: zakochani w sobie, oboje zaangażowani, dzielili sekrety i oczywiście łoże. Ale gdy Janusza aresztowano na weselu, wszystkie zalety posiadania żony w podziemiu zamieniły się w wady. Regina wciąż była zaangażowana, płonęła żądzą zemsty i chęcią działania. Ale czy jej głównym motywem była służba zwycięstwu Polski, czy uratowanie małżonka, nie wiedział nikt, zapewne także Regina. Towarzyszka Anastazja nie była już błyskotliwym zasobem kadrowym warszawskiego Pepeesu, ale wielką niewiadomą, bombą z tlącym się lontem. Mogła wybuchnąć jak pod Sochaczewem ładunek w rękach Walerego.

O działaczach (nie mówiąc już o działaczkach!) posiadających dzieci szkoda w ogóle było mówić. Perspektywa wykorzystania członka rodziny jako zakładnika, karty przetargowej w śledztwie, spędzała sen z powiek niemal każdemu konspiratorowi i każdej konspiratorce. Tak, z dziećmi było najgorzej.

Kiedyś, dawno temu, pewnego wieczora Ziuk powiedział mu rzecz straszną, choć logiczną. Gdy był przekonany, że Prystor upił się jak świnia, Piłsudski wyznał, że śnią mu się koszmary o aresztowaniu Wandzi. Przyznał wprost, że gdyby Ochrana zaczęła maglować jego pasierbicę, nie dość, że porzuciłby walkę, to jeszcze gotów byłby wydać towarzyszy. Ziuk płakał wtedy, zrzucając z serca wielki ciężar, jednocześnie myśląc, że jego przyja-

ciel i tak owej deklaracji nie zapamięta. Zapamiętał. Od tej pory Józef stracił wiele w oczach Aleksandra jako bojowiec, za to sporo zyskał jako człowiek.

Wojciech zmienił towarzysza za lejcami po wyjeździe z miasta. Humor go nie opuszczał, co musiało zwiastować jakieś nieszczęście. Aleksander sam był zdumiony, że dojechali bez przeszkód aż nad jezioro Bałżisz.

Droga przy jeziorze była podmokła, a dobrzy ludzie sypali kamieniami w błotniste zagłębienia traktu, aby lekkie wozy łatwiej przejeżdżały przez trudny odcinek. Nie pomogło to jednak ciężkiemu wozowi bojowców PPS-u. Koło obciążone ziemniakami, przykrywającymi amunicję, dwa palniki karbidowe, dynamit i butle z witriolem (nie tym alchemicznym, opiewanym przez Reginę, ale zwykłym, żrącym), zagłębiło się w mnóstwo kamiennych ułomków, a masa pojazdu zadziałała potężną siłą, wyciągając koło z osi.

Kiedy pojazd nagle się zatrzymał, Prystor wiedział już, że w tym nieszczęściu spotkało ich wielkie szczęście. Było to koło przednie lewe, więc wóz, zamiast przechylić się i wyrzucić z siebie butle kwasu, zawisł na uprzęży konia. Zwierzę nie spłoszyło się, stanęło roztropnie, czekając na reakcję ludzi. Ta była natychmiastowa. Obaj bojowcy zeskoczyli z kozła.

– Bierz koło… całe? – zapytał Prystor.

– Chyba tak. Wstawiamy. Szybko, nim Kozacy nadjadą.

– Jacy Kozacy?

– No ci co tydzień temu przejeżdżali – odparł Wojciech, samemu nie wiedząc, czy żartuje, czy mówi poważnie.

Aleksander był przygotowany na taką ewentualność. Z wozu zdjął dwa pręty, którymi podparł oś wozu i z nadzwyczajną sprawnością nałożył koło. Fachowo ocenił, że oś jest już mocno zdarta i kolejna awaria stanowi jedynie kwestię czasu. Zaklął pod nosem, ale nie przerywał pracy. Włożył klin, Wojciech wbił go ostrożnie („Stracić palce od młotka na pięć godzin przed akcją, to byłby pech godny Walerego!” – pomyślał mimowolnie towarzysz Katajama). Potem sprawnie zalali łączenie żywicą z przygotowanej zawczasu puszki.

– Coś zbyt łatwo poszło – mruknął Wojciech. Między drugą a trzecią sylabą zdania wiedział, że wyrzekł to w złą godzinę.

– Ręce do góry, cwaniaki! – odezwał się głos od strony jeziora.

– Towarzyszu, to chyba bandyci – zauważył wnikliwie Wojciech.

Czterech zarośniętych mężczyzn stało przed kępą jałowców obok drogi. Wszyscy trzymali rewolwery i uśmiechali się zaborczo. Z ich twarzy biła pewność siebie i rutyna. Na pewno nie po raz pierwszy obrabiali podróżnych na tym odcinku. Prystor spojrzał na drogę i pomyślał, że ów specjalny odcinek traktu mógł też być pomysłem podwileńskich raubritterów.

– Towarzyszu, ja to załatwię – szepnął Wojciech. – Uwierz mi, umiem rozmawiać z takimi ludźmi.

Wystąpił pewnie przed wóz. Owszem, podniósł ręce, ale szedł nie jak potencjalna ofiara, ale myśliwy. „Niczym Juliusz Cezar grożący chwytającym go piratom!" – pomyślał z podziwem Aleksander, który porzucił już myśl o samobójczej walce.

– A ty co? – zapytał bandyta z najdłuższą i najbardziej zmierzwioną brodą.

– Podejdź tu, łachudro! Patrz! – polecił bojowiec i rozchylił płaszcz ruchem godnym degenerata obnażającego się przed cnotliwą panną.

– Kurwa! – syknął brodacz. – Co to ma być?

– A ty, drugi, podejdź do wozu – kontynuował Wojciech. – No dawaj, koledzy cię obronią... Podnieś no derkę. Spójrz pod ziemniaki...

– Stachu... co to ma być, do chuja? – zapytał elokwentnie drugi z napastników.

Oczom bandytów ukazała się butla witriolu, dwie kabury z rewolwerami i pęczek lasek dynamitu. Wraz z ładunkami i pistoletami wiszącymi na Wojciechu widok ten zapowiadał wojnę. Być może bardzo małą, ale dla rabusiów ostatnią.

– Pod koszulą mam jeszcze butlę nitrogliceryny – oznajmił Wojciech, a Aleksander nie był na sto procent pewien, czy to blef. – Zaraz zaczniemy się strzelać. Jeśli ja was zabiję, to nic się nie stanie. Jeśli wy mnie traficie,

wybuchnie nitrogliceryna. Tę eksplozję przeżyjecie, ale zaraz potem zmiecie was dynamit z wozu. Są więc dwie możliwości: ja wygram, a wy przegracie, albo: ja przegram, wy tak samo.

– Jesteś obłąkany – uznał brodacz.

– Jestem wojownikiem o wolną Polskę – uściślił Wojciech. – Czy interesuje was trzecia opcja? Ta, w której nikt nie przegrywa? – Ponieważ odpowiedziało mu milczenie, bojowiec kontynuował: – Odejdziecie. Spieszno nam.

– Gdzie niby? – zapytał herszt.

– Na pewno chcesz wiedzieć? – zapytał młodzik, ale bandyta pokręcił głową, więc kontynuował: – Odejdziecie bez kombinowania. A potem stąd znikniecie. Nie zaalarmujecie nikogo, bo to też wariant, w którym nie ma wygranych. Jeśli złapią mnie przed akcją, klnę się na Boga, że w śledztwie powiem, że z nami współpracujecie. Uwierzą. Jeśli nie mnie, to towarzyszowi Katajamie, który już w przeszłości…

– Cisza! – zawył bandyta. – Nic nie mów, kurwa… Już idziemy…

Napastnicy zaczęli wycofywać się w kierunku jeziora. Wciąż celowali w wóz i rzucali groźne spojrzenia na dwóch podróżnych. Jednak zaraz potem patrzyli na siebie, głównie na wodza z najdłuższą brodą. W tych momentach nie wyglądali już jak potencjalne zagrożenie, ale szczury uciekające z tonącego statku. Czwórka napastników dotarła do brzegu, a potem puściła się biegiem wzdłuż jeziora.

„Młodości! Ty nad poziomy wylatuj” – pomyślał towarzysz Katajama. Spojrzał na Wojciecha, ten stał wciąż dumnie, nie robiąc ani jednego kroku od początku starcia.

– Jesteś wielki, Wojciechu – powiedział starszy bojowiec. – Ale teraz jedziemy. Żwawo!

– Nie mogę – odparł wolno śmiałek. – Czy towarzysz może na chwilę odejść?

– Jesteś ranny? – zapytał zdumiony Prystor.

– Gorzej – odparł Wojciech, a Aleksander dostrzegł wilgotną plamę na spodniach towarzysza.

Do końca życia Katajama nikomu nie powiedział o spodniach Wojciecha. Nie powiedział też nikomu o swoich spodniach, które zamokły podczas jego pierwszych eksów. Wiedząc więc, że heroizm wykuwa się w bólu, a czasem i smrodzie, bez dalszych pytań przeszedł na drugą stronę drogi i zniknął w zagajniku.

Prace towarzysza Siłacza, 26 września 1908 roku

Tomaszowi dostała się tak zwana ochronka, czyli prowadzenie licznej grupy pieszej. Tym razem Ziuk podzielił swoje skromne siły na jeden oddział pociągowy, dwa konne i resztę, czyli drużynę szarej piechoty. Niby młodzi bojowcy powinni narzekać, ale prawda była taka, że dostali mało przyjemne, lecz względnie bezpieczne zadanie. Nikt z nich nie niósł ciężkiej i podejrzanej broni, więc nawet w przypadku zatrzymania grupy mieli szansę się wyłgać albo przekupić patrol.

Tylko towarzysze Stefan i Włodek (pirotechnicy oddziału) nieśli niewielkie butle ze stężonym amoniakiem. Żrąca substancja, choć niebezpieczna, była w pełni legalna, a tłumaczyć się, co zamierzają rozpuszczać w podwileńskim lesie, nikomu nie musieli. Ośmiu bojowców przebywało przez miniony tydzień w kilku lokalach, z dala od Ziuka i mrocznych rozważań jego pretorian. Nie wiedzieli, jak ponure nastroje panują wśród ich starszyzny, więc tryskali podejrzanie dobrymi humorami.

„Niby niemal wszyscy mają już obycie z robotą, a cieszą się jak dzieciaki na święta – pomyślał Tomasz. Sam też musiał udawać pełnego zapału, ale przychodziło mu to trudem. – To niemożliwe, aby wszystko poszło dobrze. Ziuk nie chciał mi powiedzieć, co się wczoraj stało, ale to na pewno nic dobrego".

Maszerowali już trzecią godzinę, idąc z gajówki, która stanowiła ich ostatni punkt zborny. Słońce powoli zachodziło, niebo zasnuwało się chmurami. Arciszewski poganiał towarzyszy, głównie z powodu groźby deszczu. Wiedział, że choć jego ludzie nie są zrobieni z cukru, niejedna akcja nie udała się, gdyż jej przemoczeni uczestnicy byli zmęczeni, zziębnięci albo po prostu źli z powodu tych drobnych niewygód, które czasem obalały

mocarstwa. Ba! Przecież Walery w ów pechowy dzień, gdy wybuch bomby urwał mu palce i prawie oślepił, potknął się o polny kamień. Niczego nie należało lekceważyć.

Oczywiście trafiło na doświadczonego bojowca, który w dodatku sam przestrzegał innych przed nieuważnymi zachowaniami. Aleksander Lutze-Birk, czyli towarzysz Stefan, postanowił poluzować pasek chlebaka. Zdjął go szybkim ruchem z ramienia, aby nie musieć ruszać plecaka, podniósł torbę nad głowę i stało się.

Chemik zareagował błyskawicznie, tak jak go uczono. Niestety, przez przypadek było to najgorsze posunięcie, które mógł wykonać. W chlebaku znajdował się pistolet, którego twarda lufa uderzyła w butlę amoniaku. Aleksander chciał jak najszybciej pozbyć się niebezpiecznego ładunku, dlatego podniósł także plecak, pewnie i szybko – lecz nie dość szybko. Struga gęstego płynu wylała się na czapkę bojowca. Stamtąd spłynęła w dół, po policzku towarzysza Stefana. Ten krzyknął i z bólu puścił splątane paski. Na szczęście chlebak i kipiący amoniakiem bagaż spadły na ziemię, gdyż idący tuż za pechowym chemikiem Jerzy Sawicki odskoczył sprawnie.

– Gaz! Kryj twarz! – krzyknął Tomasz, zasłaniając usta i nos.

Z plecaka dobywał się biały dym, równie groźny jak sama żrąca substancja. Bojowcy natychmiast taktycznie usunęli się z drogi, oczywiście prócz wijącego się w bólu na ziemi Aleksandra. Tylko Włodzimierz Hellmann zachował zimną krew i zręcznie odciągnął kontuzjowanego towarzysza poza zasięg toksycznej chmury.

– Pali jak jasna cholera… – jęczał chemik.

Dwóch towarzyszy dopadło do niego z manierkami i zmyło wodą ślady substancji. Tomasz sięgał do tornistra po polową apteczkę (wymienioną w koszarach wileńskich za dwa litry bimbru) i zastanawiał się, czy to już koniec. Ktoś zmyślnie rozwinął pelerynę na trawie, Włodek i Sawa położyli na nim rannego. Tomasz stał nad chemikiem z opatrunkiem w ręce, klnąc, na czym świat stoi. Oto dzień wcześniej chciał się zmienić z Prystorem rolami. Gdyby na miejscu był Aleksander, wyszkolony medyk, ten wiedziałby, jak pomóc poparzonemu.

– Co robimy? – zapytał Sawa. – Przecież od razu nas zgarną, jeśli żandarmy się napatoczą.

– Nie mamy go z kim zostawić…

– Ale jak to: zostawić? – szepnął Aleksander. – Ja pójdę… dam radę, przysięgam, dam radę… – To ostanie słowo przeszło w krzyk, gdyż uraz policzka (zwłaszcza gdy się go rozciąga podczas mowy) bolał okrutnie.

– Pokaż to… nic ci przecież nie zrobię! – powiedział Tomasz. – Niech to szlag! Mamy w ekipie farmaceutę, dwóch doktorów, przewodzi nami prawie doktor, a żadnego tu…

Kapelusz uratował oczy bojowca. Towarzysz Stefan chyba nie nawdychał się też toksycznej substancji. „Chyba. Jeśli jednak, to zaraz nam się udusi!" – myślał Arciszewski. Oglądał uważnie twarz kompana. Nie wyglądała dobrze. Poparzenie zaszło pianą, na szczęście sam amoniak zmyli już wodą koledzy. Aleksander dobiegał trzydziestki, nie był typem atletycznym, wcześniej chyba nigdy nie został ranny. W dodatku nie byli w stanie stwierdzić, czy zatruł się amoniakiem.

„Przecież nie odwołam akcji. A jego nie zostawię, chyba że by umarł. Co robić? Boże, co robić?" – gorączkowo myślał, a na głos zapytał:

– Możesz iść?

– Chyba dam radę iść sam… – Aleksander wstał, ale zaraz stracił równowagę, uratował go jednak Włodek.

– Ktoś z nim zostanie – zaproponował Jan Balaga. – Oczywiście nie ja, ale… – dodał krewko.

– Nie rozdzielamy się! – huknął Sawa. – Za bardzo nas to osłabi…

– Ja pójdę, pójdę… – szeptał Aleksander. Potem jednak przypomniał sobie chemiczne przygotowanie i dodał: – Nie wiem, ile połknąłem, chyba nic, ale może dość. Albo wydobrzeję, albo i tak już po mnie.

– I co: zakopiemy cię przy drodze? – zapytał wprost Jerzy Sawicki. – Bez urazy, towarzyszu.

– Nie ma czasu, idźcie dalej. Kto umarł dla sprawy, to i grobu nie potrzebuje.

Nikt nie roztrząsał kwestii teologicznej, czy można być męczennikiem za sprawę socjalizmu, bo jednak towarzysze głęboko wierzyli, że Bóg ich ojców robi wyjątek dla walczących o Polskę.

Tomasz znów postawił rannego na nogi, a ten wytrzymał. Przyciągnął chemika do siebie, spojrzał mu prosto w oczy i przykryte bandażem oparzenie.

– Nie waż mi się umierać! To rozkaz.

– Tak jest, towarzyszu. Idziemy.

Ruszyli, prowadząc poparzonego pod ręce. Słońce już schowało się za lasem, z trudem widzieli drogę. Tomasz przez kilkaset kroków zastanawiał się, jak sobie poradzą bez amoniaku, ale potem przypomniał sobie, że Włodek niesie drugą butelkę, a poza tym toksyna była tylko środkiem zapasowym, na wypadek gdyby żandarmi zabarykadowali się w wagonie pocztowym. Potem uśmiechnął się nawet, rozważając, czy żrąca zasada nie wypaczyła lufy browninga. Tego pistoletu postanowił już nie używać.

– Potem pokażecie mi pistolet – powiedział do Sawy.

– Jak to, przecież to towarzysz go ma – odparł tamten.

Tomasz stanął jak wryty. Potem sięgnął na ramię, na którym nie było chlebaka. Nic zresztą dziwnego: w chaosie ktoś odrzucił torbę jak najdalej, by nie ryzykować zatrucia. A on, prowadzący grupę, po prostu o tym zapomniał. Zostawili obok drogi śmierdzący amoniakiem tornister wojskowy i na wpół rozpuszczony chlebak z bronią w środku.

Szansa, że ktoś mógłby po nocy znaleźć ten prohibit, graniczyła z cudem. Ale to nie powinno było się wydarzyć. Towarzysz Siłacz powinien był myśleć, uważać i planować każdy ruch. Poza tym stracili pięknego browninga model 1900 z pełnym… „Cholera, z czterema pełnymi magazynkami! Nie potrafię zarządzać siódemką ludzi, a Ziuk mówił, że kiedyś mnie zrobi premierem Polski. Mroczne to będą dla ojczyzny czasy!” – pomyślał ponuro.

Reszta oddziału też się zatrzymała. Towarzysze odwrócili się ku Arciszewskiemu, oczywiście prócz wciąż trzymanego przez Sawę i Włodka

Aleksandra. Bardzo możliwe, że wiedzieli, o czym myśli Siłacz. Pozostawało tylko pytanie, co z tym zrobić, albo: czy cokolwiek można z tym zrobić. „A może jakiś chłop jutro giwerę znajdzie i problem się rozwiąże?" – pomyślał Tomasz i nawet chciał się pomodlić do patrona rzeczy zagubionych, świętego Antoniego, ale w sumie nie wiedział, czy wypada.

– Co się stało? – zapytał ranny chemik. – Słyszy towarzysz jakieś głosy?

– Nie, nie... – odparł Tomasz, patrząc na niknącą w ciemności nitkę drogi. – Może mi się zdało. Idźmy, nikt nie woła.

Prace towarzysza Gustawa, 26 września 1908 roku

Sztuczne palce drżały równie wyraźnie jak te żywe. Walery jednak już na to nie zważał. Przez tydzień ukrywania się po podejrzanych lokalach w Grodnie miał już dość. Dość wyrzucania sobie błędu, dość wymówek Tomasza, dość niepewnych spojrzeń ludzi. „Zginę na tej akcji – myślał z przekonaniem. – Ale wpierw upewnię się, że wszystko pójdzie tak, jak trzeba. Będę miał bombę. Użyję jej znacznie lepiej niż pod Milanówkiem. Długi pospłacałem, towarzyszy nie zawiodę. Spotkam się znów z Wandzią".

Nie był pewien, czy spojrzenia kompanów wyrażają podziw dla jego spokoju, czy troskę. W końcu poprzednim razem wyskoczyli na złą stronę i pomylili stację. Pierwszą sprawę towarzysz Gustaw rozstrzygnął w czwartek na pierwszym spotkaniu z grupą.

– Skaczemy na drugi peron – oznajmił. – Dopiero po wybuchu pierwszej bomby zaczynamy. Przyduszamy ogniem wagon eskorty i osłaniamy bocznicę.

– To zaraz, tak miało być tydzień temu? – zapytał Paweł Brzycki.

– Tak miało być – odparł Gustaw. – Nic w planie się nie zmienia.

Kłamał, ale w dobrej sprawie. Uznał, że jego ludzie muszą wierzyć nie tylko mózgowi operacji, Ziukowi (który będzie w momencie akcji na pierwszym peronie), nie tylko najbardziej doświadczonemu w grupie mocarzowi, ale też najbardziej zdeterminowanemu Waleremu. Dlatego udawał, że nie popełnił błędu, a wręcz zasugerował, że wyskok (dosłowny wyskok z pociągu) w Podbrodziu był rodzajem ćwiczenia albo działaniem na wszelki wypadek, gdyby skok przeniesiono o stację. Niczym nie zdradzili się, że mu nie wierzą. Tylko towarzysza Brzytwy nie przekonał w swoich łgarstwach.

Ruszyli z Grodna w nerwach, gdyż znów kogoś brakowało i znów był to Czesław. Nie potrafili się na niego gniewać, gdyż niemal na pewno nie był to objaw tchórzostwa, tylko ostrożności. Jeśli bojowca ktoś śledził, bezwzględną zasadą był brak kontaktu z kimkolwiek. Co najwyżej zdekonspirowany działacz mógł wysłać ostrzeżenie prasie. Już dawno Ziuk, Gustaw, Katajama i Siłacz doszli do wniosku, że złożenie kondolencji rodzinie wujka Staszka w wileńskiej gazecie jest najbezpieczniejszym sposobem przekazania złych nowin. Gdyby naprawdę wnikliwy badacz prasy prowadził wtedy statystyki, odkryłby, że w latach 1904–1908 na terenach Królestwa i ziemiach zabranych zmarło nagle i zostało wspomnianych w nekrologu ponad dwustu wujków Staszków, których siostrzeńcy posiadali niezwykle wymyślne imiona i obcobrzmiące nazwiska.

Czesław Zakrzewski 28 września wyśle nekrolog wujka Staszka do redakcji „Wileńskich Wieści Drobnych", ale ponieważ wtedy policja i Ochrana będą miały co innego na głowie, owo ostrzeżenie nie zwróci uwagi sił porządkowych. Nie zwróci też uwagi prawdziwych adresatów, gdyż grupa bezdańska będzie miała na głowie jeszcze więcej, głównie staranie, aby owej głowy nie ozdobił konopny krawat.

Towarzysz Brzytwa i Zygmunt Jasiński, czyli towarzysz Skała, wciąż kłócili się o coś zawzięcie, dlatego Walery zostawił ich w przedziale i wyszedł na korytarz. Od razu tego pożałował. Jechał w drugiej klasie, dodajmy: w ostatnim przedziale wagonu najbardziej oddalonego od przodu, więc i bufetowego. Dlatego wcześniej nie zauważył, że jedzie w tym samym składzie kolejna znajoma twarz, a dokładniej mówiąc: młody wagonowy, który chciał sprzedać Pawłowi i jemu orzeszki.

„Wtopa! – pomyślał towarzysz Gustaw. – Innych pewnie nie skojarzy, ale tusza Pawła i moje dłonie rzucają się w oczy. Muszę go unikać i nie dopuścić, aby zobaczył Brzytwę!" Natychmiast wrócił do wagonu.

– Paweł, nie otwierasz drzwi do Bezdan.

– Jasne, jasne – potwierdził tęgi farmaceuta. – Tylko w Wilnie wyskoczę do bufetu.

– Nie ma mowy! Wagonowy cię rozpozna.

– Ciebie też.

– To i ja będę siedział, tylko w innym przedziale. Zygi, pilnujesz, aby nie wyszedł, dobrze? Dopiero gdy zapukam cztery razy, idziecie do toalety. Ale to będzie po Wilnie. Już nic nam nie przeszkodzi.

Jasiński skinął głową i wrócił do perorowania przyjacielowi jakiegoś problemu filozoficznego. Praca z ludźmi wykształconymi wyczerpywała Walerego, ale akurat w owym momencie cieszył się, że niesforni bojowcy mają co robić.

Stanęli na Dworcu Wileńskim. Sławek usiadł przy drzwiach, udając, że pozostała siódemka podróżnych go nie obchodzi. Rozkoszował się ostatnimi chwilami spokoju, mrużąc powieki i przyciskając bliżej do ciała siedem pistoletów i rewolwer Colta. Dotyk tego ostatniego napełniał go spokojem.

„Tylko nie mogę się zbyt rozluźnić. Jeszcze zasnę i przegapię stację!"

W momencie gdy pociąg ruszał, Sławek zauważył za oknem pewne poruszenie. Jakiś spóźniony pasażer biegł do wejścia wagonu, choć jego wysiłek był skazany na niepowodzenie. Serce w piersi bojowca stanęło na kilka sekund, gdy poczuł niespodziewany przypływ współczucia wobec spóźnialskiego.

„Los, ślepy los! Jak rzut kości, na których wypada jedno oczko. Jak wtedy, pod Milanówkiem. Głupi kamień na drodze zepsuł całą akcję, a mnie kosztował oko, palce i te miesiące bólu, podczas których bym sam sobie w łeb palnął, gdyby nie Wandzia... Może i on się potknął? Albo nieuprzejmy sprzedawca w bufecie zbyt długo mu wyliczał resztę? Tego się pewnie nigdy nie dowiem, ale czuję jego ból, jakby był mi bratem".

Ponieważ siedział daleko od okna, widział z początku tylko część sylwetki biegnącego, a potem jeszcze mniej, samą głowę, a nim zogniskował wzrok na twarzy, nad krawędź okna wystawał już sam kapelusz niedoszłego podróżnika. Jeszcze chwilę biegł za składem, jakby od tego zależało czyjeś życie, a potem melonik zniknął zupełnie.

„Zabawne. Dzięki temu uniknie wszelkiego ryzyka związanego z naszą akcją. Niby do pasażerów strzelać nikt nie będzie, ale bojowiec bombę od-

pala, Pan Bóg odłamki nosi. Poniekąd miał szczęście. Kiedyś będzie się z tego śmiał i opowiadał tę historię wnukom".

Oddalili się od świateł dworca i wjechali w noc. Wraz z rosnącą prędkością przekraczali Rubikon, choć tak naprawdę jedyną rzeką po drodze była leniwa Wilejka.

„Dziś nasz triumf albo zgon!" – pomyślał Walery. Przeprosił milczących współpodróżnych i ruszył do toalety.

Tym razem wszystko poszło dobrze. Towarzysz Gustaw pukał cztery razy po drodze, uruchamiając ustaloną sekwencję działania. Kabina była pusta, zamknął ją na skobel i wyciągnął pierwszego browninga. Zaraz potem przyszedł pierwszy petent – towarzysz Piorun. Wszedł do schludnej, ale ciasnej toalety jak do konfesjonału. Chyba chciał odruchowo klęknąć przed kapłanem politycznej siły, Gustawem. Jednak zamiast błogosławieństwa albo komunii otrzymał belgijski pistolet. Wyszedł bez słowa. Drugi browning trafił do Waldka Krzenicy, trzeci do Czesława (Świrskiego), czwarty do towarzysza Figla. A potem przyszła katastrofa w osobie Pawła.

– Jezu, za małe tu robią wychodki – sapnął, wciskając się do środka.

– Gdzie Zyga? – zapytał Sławek ostro.

– Nie było go? Dziwne, miał przyjść przede mną, jak tylko wróci.

– Skąd wróci?

– No, z bufetu. Miał mi czekoladę kupić, bo się nie zgodził, abym sam wyszedł. Tak jak mówiłeś!

– Chryste! – jęknął towarzysz Gustawa, wspominając rozpaczliwie sunący po peronie bordowy kapelusz.

– Co jest? Dostanę klamkę czy nie?

Bez dalszych tłumaczeń Sławek wręczył farmaceucie pistolet. W kieszeniach ciążył mu metal. Sam zamierzał użyć rewolweru, gdyż węższy chwyt broni ułatwiał utrzymanie odrzutu po strzale. Ale zostały mu jeszcze dwa browningi po dwóch nieobecnych członkach oddziału.

„Cóż, mam zapas. Nawet przeładowywać nie będzie trzeba" – pomyślał cierpko. Na głos zaś powiedział: – Dwudziesta druga czterdzieści osiem.

Zaraz dojedziemy. Idź do drzwi, będę za pięć minut.

Zamknął za Pawłem, potem odwrócił się i spojrzał w lustro. Jego niegdyś przystojna, obecnie zdeformowana wybuchem i operacjami twarz nie promieniowała już determinacją, ale rezygnacją.

„Może zastrzelą mnie, nim się wszystko spierdoli" – pomyślał towarzysz Gustaw i rozpoczął modlitwę do świętego Antoniego, patrona spraw beznadziejnych, górników, małżeństw i narzeczonych, położnic, ubogich, podróżnych, rzeczy zgubionych i zaginionych ludzi. Nie było na tej liście terrorystów, ale Sławek uznał, że sam podpada pod kategorię podróżnych, a Zygmunt: zaginionych. – „Święty Antoni padewski, obywatelu niebieski, niech się spełni wola Twoja, niech się znajdzie zguba moja!" – wyszeptał bojowiec, odwrócił się i otworzył drzwi.

Na szczęście korytarz był pusty. Podróżni już usadowili się w przedziałach, a jeszcze nikt nie uznał, że znajduje się tak daleko od stacji startowej, by odwiedzać toaletę. Wagon bufetowy był otwarty cały kurs, ale znajdował się pięć wagonów z przodu. Czując ciężar dwóch browningów i trzymając w rękawie colta, Sławek odzyskiwał pewność siebie.

Półmrok panujący w wagonie nie pomagał dokładnym oględzinom. Może za dnia bojowiec zauważyłby pewien element, który powinien każdego terrorystę napawać niepokojem. Otóż na podłodze leżała czapka, niebieska, kolejarska czapka z munduru Towarzystwa Północno-Zachodnich Dróg Żelaznych. Dodajmy, że leżała ona spodem do góry, ewidentnie zgubiona w nieładzie, jakby noszący ją wagonowy popędził w szaleńczym tempie ku wagonowi eskorty.

Walery przeszedł nad tym świadectwem rychłych kłopotów i jakby nigdy nic pukał po cztery razy w drzwi przedziałów, w których siedzieli jego towarzysze. Po chwili na korytarz zaczęli wychodzić kolejni uczestnicy owej ponurej procesji. Dotarli na początek ostatniego wagonu drugiej klasy (czyli ósmego w całym składzie) i zajęli stanowiska. Towarzysz Gustaw położył okaleczoną dłoń na klamce drzwi. W tej samej chwili poczuł, że pociąg zaczął zwalniać.

Triumf albo zgon.

Prace Bożydara Trudnika, 26 września 1908 roku

Należało wykonać szybkie podsumowanie. Kierownik Stanisław Bronik. Starszy wagonowy Andrzej Wyklep. Anton Volkov i Marek Smirnoff, bagażowi. Panna Karolina Schmidt i jej dwie pomocnice. Kucharze: Martin Soba i Fiodor Żarło. Kontrolerzy Michał Bytka i Antoni Czechow. Poza tym urzędnik pocztowy o nazwisku Woroński, porucznik Dymitr Rżewski i jego sześciu ludzi, których imion Bożydar nie mógł się nauczyć, gdyż nigdy z nim nie rozmawiali i zmieniali się z kursu na kurs. Maszynista Piotr Witkowski i jego pomocnicy. Poza tym liczna obsługa lokalna, która zmieniała się nawet częściej, gdyż jeśli ktoś wsiadał w Warszawie, mógł wysiąść w Grodnie, Wilnie albo Pskowie.

To była wielka i dość patologiczna rodzina Bożydara, kiedy ruszał w kurs do Petersburga. Młodszy wagonowy najbardziej zżyty był z ze swoim starszym i bardzo szanownym kolegą Andrzejem Wyklepem. Dzielił z nim przedział, zwykle mijali się w drzwiach podczas zmiany dyżurów. Tylko na większych stacjach pracowali ramię w ramię i Bożydar był bardzo dumny z tych chwil. Jego starszy kolega był weteranem kolei, nie pił, mimo braku szkół, odzywał się nienaganną polszczyzną i suchą, ale uprzejmą ruszczyzną do wszystkich, nie tylko pasażerów, którzy mogli mu dać napiwek. Był sumienny, a kiedy raz spóźnił się na kurs z powodu choroby córki, od razu złożył wymówienie na biurko dyrektora. Ten rezygnacji nie przyjął, bo wolał starego wygę, który spóźnia się do pracy raz na dekadę niż młodych nicponi, co przychodzili do pracy pijani, a jak nie było na miejscu maszynisty, to sikali do paleniska.

Mało rozmawiali, ale przez to Wyklep lubił towarzysza pracy jeszcze bardziej. Na pewno trzymali sztamę w obliczu butnych wojskowych i leniwego naczelnika Bronika. O ile jeszcze porucznik Rżewski był srogi, ale pełen po-

czucia humoru i szacunku wobec polskich współpracowników, jego żandarmi lubili okazywać wyższość wobec obcokrajowców, a nawet i Rosjan, którzy pracowali w obsłudze pociągu. Stanisław Bronik lubił prężyć się na peronie przed podjazdem kursu, a potem przemawiać na zebraniach nadwiślańskiego oddziału Towarzystwa. Tak naprawdę jego pracę wykonywał Wyklep, przy coraz częstszej asyście Trudnika.

Anton, Martin i (chyba) Michał działali gdzieś politycznie, ale Bożydar nie mógł osądzić, czy ich pełne zazdrości uwagi dotyczące bogatych pasażerów wynikają z socjalistycznych przekonań, czy zwykłej zawiści. Panna Schmidt była stara i sucha, a jej dwie pomocnice młode i raczej ładne. Ale Bożydar wiedział, że chwilowo nie ma czasu na amory i zakochiwanie się w jakiejkolwiek kobiecie, nawet porządnej Polce, było nieodpowiedzialne. Dlatego nie zapamiętywał imion dziewcząt (też czasem się zmieniających) i zawsze nazywał je w myślach Anną i Zofią.

Anton Czechow wcale nie lubił dramatów swojego słynnego imiennika, jednak coś z nim go łączyło: posiadał strzelbę. Nikt nie wie, jakim cudem, ale zapalony myśliwy wymógł na dyrekcji zgodę na trzymanie broni w swoim wagonie. Kiedy roboty było mało, a Czechow popił, opowiadał w pustym wagonie restauracyjnym o swoich podbojach w puszczach Kraju Nadwiślańskiego, stepach Ukrainy i tajdze Syberii. Na pytanie, jak może sobie pozwolić na takie urlopy i podróże w dalekie strony Imperium, odpowiadał, że kolejarze kolejarza nie zostawią na lodzie, i podróż po Rosji, nawet po Dalekim Wschodzie, nie jest dla niego taka droga. Z tych opowieści, o ile były prawdziwe, wynikało kilka ważnych rzeczy. Anton miał strzelbę i umiał się nią posługiwać, a zapewne też nie był tchórzem.

Maszynista i jego ludzie sprawiali wrażenie chłopów na schwał, choć była to tylko robocza hipoteza Bożydara. Mało z nimi rozmawiał, jeśli już to krótko, kiedy przynosił im posiłki na lokomotywę. Nie wiedział, czy pod ciemnymi od węglowego pyłu obliczami kryją się mężne serca. Na pewno nie hartował ich naczelnik Bronik, który, kiedy chciał się napić podczas kursu, szedł z butelczyną na lokomotywę i kontrolował stan urządzeń przez kilka godzin. Sam starszy maszynista Witkowski, człek prosty, wedle

własnych słów „miał to w dupie". Poza tym stał niejako poza równaniem, gdyż z powodów bezpieczeństwa musiał znajdować się zawsze na lokomotywie: by w razie potrzeby hamować, ruszyć, spuścić parę z kotła albo obsługiwać gwizdek i sygnalizację.

Porucznik Dymitr Rżewski, weteran Samodzielnego Korpusu Żandarmów. Choć o jego podwładnych wiele powiedzieć nie można było, sam oficer wydawał się solidny jak skała. Złośliwi powiedzieliby, że jest równie lotny, ale Bożydar podejrzewał, że pod pyszałkowatą powierzchownością żandarm kryje cięty dowcip i niezawodny instynkt przetrwania. Jak dotychczas Rżewski głównie grał w karty (bez większego powodzenia), składał obrzydliwe propozycje pasażerkom pierwszej klasy (ze zmiennym szczęściem) i opowiadał wojenne anegdoty (nieprawdziwe) o sobie lub o swoim pradziadku, także Dymitrze, który miał wielokrotnie ratować cara Aleksandra za czasów wojny ojczyźnianej i co najmniej raz prawie ukatrupić Napoleona. Poza tym oficer nie wykazywał się innymi zaletami, więc jego inteligencję doktorzy mogliby nazwać bezobjawową.

Czemu służy ten katalog załogantów pociągu? Nie jest to katalog homerycki, gdyż ludzie nie łodzie, a jeśli brodzą, to na przestworze suchego oceanu. Służy czemu innemu: podliczeniu sił.

Dżentelmena ze Wschodu Trudnik wypatrzył już na początku kursu. Japończyk wsiadł w Warszawie. Zwrócił uwagę obsługi kolei, tym bardziej że nie była to jego pierwsza trasa do stolicy. W dodatku kupił mały przedział w pierwszej klasie, a niemal całą podróż spędzał w drugiej (na którą też kupił bilet) i trzeciej (na którą biletu, notabene: wartego pięć procent ceny *première classe*, nie posiadał), prosząc Trudnika i Wyklepa o pozwolenie. Co chwila pytał (poprawnym, acz z trudem wymawianym rosyjskim) o jakieś szczegóły funkcjonowania kolei. Podczas pierwszego kursu Bożydar zapytał porucznika Rżewskiego, czy może to być szpieg. Żandarm machnął ręką, powiedział, że gorzej, dziennikarz, ale to nie miało znaczenia, gdyż wojnę z Japończykami już przegrali.

Kiedy więc wschodni dziennikarz, przedstawiający się jako Kobayashi Osamu, zaczepił Trudnika tuż po ruszeniu z dworca w Wilnie, Polak nie

był zaskoczony. Jednak gdy orientalny pasażer zażądał rozmowy w cztery oczy, nieco się stropił. Szybko poszedł za nim do przedziału pierwszej klasy i wysłuchał zwięzłej i bardzo dziwacznej opowieści Japończyka. Potem ruszył biegiem do przedziału eskorty.

– Czego tam?! – zawołał żandarm zza drzwi.

– Gdzie porucznik?

– Nie wiem, pewnie w pierwszej klasie. Jedzie tam jakaś samotna pasażerka? – odparł wojak i zaniósł się jednoznacznie sprośnym śmiechem.

– A gdzie kierownik Bronik? – Choć było to niemożliwe, Trudnikowi wydało się, że przez szkło i metal drzwi wagonu widzi wzruszenie ramionami.

– No nie wiem...

– Był tu, szedł na lokomotywę! – krzyknął drugi żandarm.

– To otwórzcie, sprawa pilna.

– Skocz wpierw po jakieś piwko...

– Pilna, mówię!

Coś w głosie młodzieńca kazało kapralowi Iwanowi Morozowowi nie droczyć się dłużej, ale wpuścić bagażowego. A ten wpadł do wagonu jak puszczony z procy. Sprawnie minął rozstawiony przez żandarmów stolik do gry w karty, (już puste) skrzynki z piwem oraz przymocowane do podłogi sejfy. Minął kantorek pocztowca oraz szafy na broń. Odruchowo zlustrował stan przygotowań do ewentualnej obrony. Z ulgą zauważył, że karabiny, rewolwery i amunicja są na miejscu.

Sam otworzył drzwi i wybiegł na kładkę okalającą tender. Uderzył go pęd zimnego powietrza, ale nie zwalniał i w kilku susach przekroczył wagon magazynowy, po czym wskoczył do kabiny parowozu. Tam zobaczył Brodnika i Witkowskiego, każdego z butelką w dłoni. Obaj spojrzeli na intruza, a opiekun lokomotywy sapnął na powitanie:

– O ja pierdolę!

– Czego chcesz, Trudnik? – zapytał po polsku wściekły kierownik.

– Panie kierowniku, melduję, że zaraz zacznie się napad na pociąg!

– Napad? Zgłupiałeś?

– Ten japoński dziennikarz…

– O ja pierdolę! – sapnął maszynista.

– Wiedziałem, że żółtki nie dadzą nam spokoju – dodał Brodnik.

– Nie, on zwrócił moją uwagę na jednego z pasażerów – zaprzeczył Bożydar. – Śledziłem go w wagonie drugiej klasy. To ten tajemniczy człowiek w długim płaszczu, który ma sztuczne oko.

– To chyba jeszcze nie zbrodnia…

– Ale ten Japończyk powiedział mi, że wygląda jak socjalistyczny terrorysta, któremu wybuchła w dłoniach bomba dwa lata temu. Sądzili go za próbę zamachu, ale wyłgał się nakazem wyjazdu z Polski. A on, incognito, jechał tym kursem tydzień temu i hałasował. Myśleliśmy, że był pijany, ale to nie to. Nawet pytałem porucznika, czy go nie przeszuka, ale on zniknął gdzieś jak kamfora, jakby wysiadł z pociągu w Podbrodziu. Po tym, jak Azjata go dziś wskazał, śledziłem osobnika i wiem, że zamknął się w toalecie, a potem weszło do niego pięciu innych jegomościów w płaszczach.

– Pierdolisz, tylu się nie zmieści w toalecie – zauważył maszynista.

– Nie naraz! Po kolei, a przed wejściem pukali cztery razy. Każdy z nich wychodził niemal natychmiast, trzymając coś pod płaszczem. Ostatni z nich był strasznie gruby, płaszcza mu nie starczyło. Zauważyłem lufę pistoletu!

– O ja pierdolę! – powiedział z szacunkiem maszynista.

– Czyli to naprawdę napad! – zawołał kierownik Stanisław Bronik.

Przez jego ciało przeszło drżenie, które jednak szybko opanował. Skierował głowę w bok na zbliżający się zakręt torów i most na Wilejce. Potem przyciągnął do siebie Bożydara i spojrzał mu prosto w oczy. Następnie powiedział powoli, acz dobitnie:

– Chłopcze!… Spójrz na mnie uważnie. Teraz to ty jesteś naczelnikiem pociągu.

A potem z kocią zwinnością odwrócił się i skoczył do rzeki.

To zdarzenie miało jeszcze jednego świadka. Do lokomotywy dotarła właśnie pośrednia przyczyna owego zamieszania, czyli japoński korespondent. Popatrzył na Trudnika, potem przeniósł wzrok na Witkowskiego. Po chwili zapytał po rosyjsku:

– Szanowni panowie, skoro ani nie ma kierownika, ani porucznika, to kto teraz dowodzi pociągiem?

– O ja pierdolę! – odpowiedział uprzejmie maszynista.

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część piąta, „Kurier Tokijski”, 16 grudnia 1908 roku

Najwyższy już czas przejść do opisu wydarzeń z późnego wieczora 26 września, nocy i poranka dnia następnego. Szanowni Czytelnicy znają już przebieg tych zajść w ogólnym zarysie: grupa zuchwałych rabusiów związana z polskim patriotycznym skrzydłem ruchu socjalistycznego napadła na pociąg relacji Warszawa–Petersburg, przewożący wagon pocztowy z kilkoma milionami rubli w monecie, banknotach i złocie. Jednak z tego, co wiem, oficjalne raporty władz rosyjskich i prasa w Imperium pominęły wiele aspektów tego napadu. A ja, Kobayashi Osamu, skromny korespondent „Kuriera Tokijskiego”, miałem okazję obejrzeć te wydarzenia w niezwykły sposób. Dlatego narażę teraz Szanownych Czytelników na dłuższe fragmenty opowieści z mojej perspektywy. Mam nadzieję, że ułatwią one zrozumienie wydarzeń pod Wilnem.

Z powodów, które nie są istotne dla relacji, linią tą jeździłem kilka razy. Najpierw z Petersburga do Warszawy, potem (był to 19 września, jak się okazało potem, dzień nieudanej próby napadu) z Warszawy do Dyneburga i Rygi, a potem z Rygi do Grodna, by ostatecznie 26 września jeszcze raz ruszyć do stolicy Rosji, tym razem wsiadając w Grodnie. Podróż z tego miasta do dawnej stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego minęła mi pracowicie, ale i ciekawie. Po raz kolejny wykupiłem bilet pierwszej i drugiej klasy, a po krótkich kurtuazyjnych rozmowach z sąsiadami ruszyłem do kolejnych wagonów, poznać klasy średnie.

Arystokracja polska nie jest interesująca. Właściwie dzieli się na dwie grupy: tych, którzy niczym nie odróżniają się od elit Austrii czy Hiszpanii oraz tych nawiedzonych przez idee niepodległościowe. Hrabia utrzymujący szkołę oraz laboratorium chemiczne, w którym socjalistyczni terroryści szykują bomby przeciw takim jak on to zjawisko ciekawe, ale powiedziałbym: ciekawe na kredyt, gdyż ten samobójczy ekscentryzm polska wyższa socjeta zapożycza od tak zwanej warstwy inteligenckiej. Pierwsi zazdroszczą drugim etosu, drudzy pierwszym pieniędzy i za to walczą (a ponoć każdy walczy o to, czego mu zbywa).

Natomiast w klasie drugiej można poznać społeczeństwo polskie od podszewki. No może nie takiej taniej podszewki, ale ta mieszanka zbiedniałej szlachty, studentów, przedsiębiorców, artystów i duchownych, która spotkałem 26 września, to doskonały przykład owej piorunującej mikstury narodu.

W drugiej klasie jechałem z sześcioma współpasażerami. Ponoć siódme miejsce też było wykupione, ale spodziewany podróżny nie zjawił się na stacji. Jestem pewien, że kiedyś nasi potomkowie połączą moc telegrafu z siłą obliczeniową maszyny różnicowej i rezerwacja biletu (oraz jej odwołanie) będzie mogło się odbyć na odległość. Cóż to będą za ciekawe czasy!

Wracając do przedziału: opowiem o moich współpasażerach, choć zmienię ich imiona, tak by tylko znający ich Czytelnicy mogli rozpoznać prawdziwe postaci. To ponoć częsty trik wśród europejskich pisarzy, a ja – jak to mówią tutaj – skoro wlazłem między wrony, muszę krakać tak jak one.

Siostra Ambona to zakonnica katolickiego zgromadzenia miłosierdzia, zwanego szarytkami. Niewiele mówiła, była skupiona na swej misji, tak jak żołnierz rzucony za linię wroga. Opiekowała się młodą panną, chudą Bertą. Z tego, co pojąłem, eskortowała towarzyszkę do placówki zakonu w Dyneburgu, a był to klasztor specjalny, służący za azyl młodym kobietom wykolejonym przez życie. Sprawy takie załatwia tu Kościół katolicki, a zwłaszcza żeńskie mniszki, co sprawia, że siła tego wyznania w Polsce będzie znaczna jeszcze przez długie wieki.

Pisząc, że siostra „eskortowała" pannę, byłem zupełnie dosłowny – zakonnica trzymała w podróżnej torbie modlitewnik, suszoną kiełbasę oraz niewielki pistolet, który niechcący pokazała, przygotowując się do modłów zwanych liturgią godzin.

Pan Cezary był starszym jegomościem, noszącym nienagannie przyciętą siwą bródkę, druciane okulary i dumę na twarzy. Nie posiadał za to prawej dłoni, a ja szybko dowiedziałem się dlaczego. O tym jednak później.

Pan Dulciusz był przedsiębiorcą pochodzącym z Wielkopolski, a dokładniej z Gostynia, o czym raczył mnie poinformować w drugiej minucie naszej znajomości. Budował wielką cukrownię i zapewniał, że jest to czyn wysoce patriotyczny, prawie tak bardzo, jak wydarzenie, w którym pan Cezary stracił dłoń.

Pani Eufemia oraz pan Fidelis byli małżeństwem co najmniej piętnaście lat i o tym nie mówili, to się po prostu czuło. Elegancka para w średnim wieku wymieniała uprzejme uwagi o prowiancie, jakości połączenia kolejowego oraz zaobserwowanych dziwactwach wśród innych pasażerów. Byli znudzeni swoim towarzystwem, ale gdy zdali sobie sprawę, że my nudzimy ich jeszcze bardziej, wrócili do rozmowy ze sobą z czułością bliższą jednak nie małżeństwu, które ostatni tuzin lat spędziło w jednym łożu, ale weteranom wojny, którzy ten czas siedzieli w jednym okopie. Mimo że wykazywali się wyjątkowym rasizmem wobec mieszkańców Azji, od razu ich polubiłem.

Zaczęliśmy rozmawiać tuż przed Wilnem. Z początku były to nieśmiałe komentarze rzucane wobec wypowiedzi pani Eufemii oraz pana Fidelisa, ale z czasem stały się coraz bardziej nieformalne. Nie rozumiałem niemal niczego, gdyż pasażerowie mówili po polsku. Niemal na pewno nie spodziewali się, że rozumem rosyjski, więc gdy do przedziału wszedł ktoś sprawdzić miejsca, pani Eufemia powiedziała w mowie Puszkina:

– Przepraszamy, ale mamy tu już cudzoziemca.

– Nic nie szkodzi – odparłem odruchowo. – Mnie sąsiad nie przeszkadza. – Wskazałem na wolne miejsce obok siebie (siedziałem przy drzwiach,

a naprzeciw Fidelisa), ale tajemniczy gość cofnął rękę, a potem zamknął drzwi.

Moi współpasażerowie spojrzeli na mnie ze zdumieniem i zmieszaniem, chyba zakładając, że skoro znam rosyjski, coś tam zrozumiałem po polsku. Postanowiłem to wyjaśnić.

– Proszę się nie krępować. Nie znam zupełnie nadwiślańskiej mowy – oznajmiłem.

– Polskiej – sprostował groźnie pan Cezary. – Nadwiślański to mowa Moskali.

– Przepraszam, umykają mi ważne aspekty językowe – odparłem pojednawczo, ale pan Cezary podniósł prawą rękę i zrobił taką minę, jakby zaciskał pięść amputowanej dłoni.

– Niech pan się nie unosi – powiedziała panna Berta. – To gość, a z gośćmi grzecznie trzeba.

– Panna mnie nie poucza, nie po rosyjsku! – odparł staruszek.

– Po francusku mogę – dodała Berta, używając tego narzecza. – Co pan taki nerwowy?

– Ja bardzo przepraszam – powiedziałem, także po francusku. – Nie chciałem wywołać sprzeczki.

– Proszę się nie mieszać, panie Chińczyku! – syknął pan Cezary.

– Chińczyku? – zapytałem autentycznie urażony. – Jestem Japończykiem…

Wtedy w starszym inwalidzie zaszła, jak to mówią w Europie, metanoja. Wstał (z trudem), podszedł do mnie i uścisnął mi prawicę (choć lewą dłonią). Na szczęście zrobił to tak szybko, że nie wzbudził moich odruchów z treningu judo.

– Panie, to ja przepraszam! – powiedział po rosyjsku. – Ja ściskam prawicę syna dzielnego narodu, który tłukł Moskali aż miło!

– Dziękuję, dziękuję, panie…

– Cezary.

– Dziękuję, panie Cezary, ale ja człowiek pióra jestem. Nie dane mi było służyć ani w marynarce, ani piechocie. Byłem korespondentem wojennym.

– Boś młody pewnie… – oznajmił pan Cezary, zajmując wolne miejsce obok. – Bo jest pan młody, prawda? Ja się na wschodnich twarzach nie rozeznaję. Dla mnie wszyscy ludzie orientu wyglądają tak samo.

– No proszę, u nas podobnie – odparłem, czując nić autentycznej sympatii dla Polaka. – Z kobietami najgorzej mamy, ale białych mężczyzn najczęściej rozpoznajemy po zaroście.

– Jak to: korespondent? – zaciekawiła się chuda Berta. – To oni tam gazety mają?

– Chińczycy eksperymentowali z drukiem już w siódmym wieku naszej ery – wtrąciła siostra Ambona. Od razu spojrzała na mnie i dodała: – Niczego nie sugeruję i odróżniam naród japoński od chińskiego. Zwracam tylko uwagę mojej towarzyszce na jej uprzedzenia i niewiedzę.

– Ależ rozumiem… siostro? – zakończyłem niepewnie.

– Tak, siostro Ambono. – Wstała i skłoniła się, a potem trąciła Bertę.

– Berta Anonimiska – powiedziała panna, a reszta przedstawiła się, jakbyśmy wszyscy byli tajnymi agentami, a ja wypowiedziałem jakieś tajne hasło. To akurat bardzo by pasowało do sytuacji, gdyż zauważyłem, że siedząca przy oknie siostra czyta książkę opatrzoną tytułem: *Tajny agent*.

– Bardzo mi przyjemnie. Kobayashi Osamu, korespondent „Kuriera Tokijskiego" – oznajmiłem. – Jestem miło zaskoczony tak ciepłym przyjęciem… – Nie wiedziałem, czy powiedzieć „na Litwie", „w Polsce" czy „w tym kraju", ale ponieważ ta ostatnia opcja wydała mi się sucha i nieprzyjemna, ograniczyłem się do reprezentowanego przez kropki zawieszenie głosu.

– Panie, my naprawdę bardzo cenimy wszystkich, którzy tłuką Rosjan – twierdziła lekko pani Eufemia. – A z tego, co widzę, to szacunek pana Cezarego stanowi uznanie prawdziwego znawcy. Walczył pan w sześćdziesiątym trzecim?

– I jeszcze w czwartym – doprecyzował weteran. – Ale potem… – Podniósł okaleczoną rękę i machnął nią, jakby odganiał muchę. – Stare dzieje.

Najwyższy czas, aby kolejne pokolenia przejęły pałeczkę. – Widząc moje zmieszanie, wyjaśnił: – Nie taką do jedzenia ryżu, ale pałeczkę w sztafecie pokoleń, rozumie pan?

– Rozumiem – odpowiedziałem, nie chcąc już tłumaczyć, że jeśli Japończyk podejmuje trud nauki rosyjskiego, francuskiego, angielskiego i podstaw łaciny, to o greckich sportach też co nieco słyszał. – Ale pan wierzy w kolejne zbrojne powstanie?

Pasażerowie spojrzeli na siebie z niepokojem, ale siostra Ambona rozwiała wątpliwości.

– Dajcie państwo spokój. Ochrana nie wynajęłaby na prowokatora cudzoziemca.

– Powstanie… No nie, jeszcze nie teraz – stwierdził pan Cezary.

– Właśnie! – dodał od razu pan Dulcjusz. – Jestem Dulcjusz Wielkopolski, jak pan być może pamięta, rodem z Gostynia, i uważam się za krzewiciela pracy organicznej w Wielkopolsce, całej dzielnicy pruskiej i mam nadzieję, kiedyś na innych ziemiach Polski!

– To bardzo ciekawe – odparłem.

– Bardzo ciekawe – dodała chuda Berta, ale ton jej głosu mówił coś zupełnie innego.

– Wraz z moimi wspólnikami buduję cukrownię dla wykorzystania zbiorów buraka – tłumaczył niezrażony Wielkopolanin. – Dzięki naszym wkładom i działalności Kasy Oszczędnościowej Kowala udało się nam wybudować rafinerię z dyfuzorem na dwa tysiące litrów i równie wielkim defekatorem.

– Co pan za bezeceństwa mówi! – żachnęła się siostra Ambona.

– Defekacja w cukiernictwie to proces nawapniania surowego soku z buraków poprzez dodanie mleka wapiennego. To konieczne przed saturacją…

Następny kwadrans zajęło nam słuchanie pasjonującej (wszystkich prócz chudej Berty) opowieści o procesie pozyskiwania cukru buraczanego. Oczyma duszy ujrzałem wtedy te wszystkie dyfuzory, defekatory, saturatory i wirówki, a nade wszystko żyzne pola Wielkopolski, pokryte zie-

lonymi liśćmi *Beta vulgaris*. Była to wizja przejmująca i piękna, choć moim zdaniem zupełnie niezwiązana z opowieścią powstańca.

– Ale co to ma wszystko do rzeczy? – zapytał w końcu pan Cezary.

– No, przekazanie pałeczki, jak mówiłem. Nowe pokolenia, praca organiczna… – Na dźwięk tych słów Berta prychnęła. – Tak trzeba budować od podstaw.

– No i co pan zbuduje? – zapytał pan Cezary, a mnie dziwiło, dlaczego rozmowa o pryncypiach walki za ojczyznę odbywała się po rosyjsku. Odniosłem niejasne wrażenie, że ów rodzący się spór byłby bezcelowy, gdyby nie moja obecność, uszy sędziego, który mógłby go rozsądzić.

– Dobrobyt Polaków. Gdy będziemy bogaci, nikt nie zatrzyma naszego marszu przez instytucje.

– Chce pan maszerować na instytucje? – zapytała pan Eufemia. – Jak socjaliści?

– To nie tak, droga pani. Przez instytucje. Będziemy mieć więcej rodaków na urzędach, w przedsiębiorstwach, na uniwersytetach. Na przykład ten pociąg. Niby jeździ do Petersburga, ale połowę załogi stanowią Polacy. Dziś. A co będzie za dwadzieścia lat?

– Ja nie dożyję tego, co będzie za dwadzieścia lat, a chciałbym pewne wymierne korzyści zobaczyć jeszcze za życia – wtrącił pan Cezary.

– Chyba szanowny pan nie pochwala działań terrorystycznych? – zapytała zakonnica czytająca *Tajnego agenta*.

– A czymże było powstanie, siostro? Może dzisiejsza młodzież walczy w gorszym stylu niż moje pokolenie, ale czyż nie o tę samą sprawę?

– Ale pan popiera drogę światowej rewolucji! – westchnęła zakonnica. – Międzynarodówkę socjalistyczną i anarchistów. W ich świecie nie będzie miejsca dla wolnej Polski.

– W tym też nie ma – zauważył weteran. – I dla mnie nie ma. Kiedy wróciłem z Sybiru, to nie miałem niczego. I niby wszyscy chwalili, dziękowali za ofiarę na ołtarzu ojczyzny, ale pracy nikt nie dał. Skończyłem jako nocny

stróż w fabryce zaprzańca, co broń Moskalom na wojnę z Turcją sprzedawał!

– Nasza spółka cukrowa założy fundację wsparcia weteranów – dodał nieśmiało pan Dulcjusz. – Będziemy łączyć, co dawne i co nowe…

– A niech to diabli! – syknął staruszek. – Niech ten świat spłonie, bo na nic innego nie zasługuje. Rewolucja? Proszę, niech przyjdzie. Byle szybko, abym coś jeszcze z niej zobaczył.

– Pan poważnie witasz tych terrorystów? – zapytała siostra. – To co by pan zrobił, gdyby napadli na nasz pociąg? To się przecież zdarza, jak dwa lata temu w Kongresówce, pod Rogowem. Wtedy bandyci zabili jednego żandarma i ranili trzynastu stróżów prawa i pocztowców. I po cóż? Dla nędznych trzydziestu tysięcy rubli. Niech pan to sobie przeliczy: jeden martwy Polak i, powiedzmy, sześciu z tych rannych zostaje kalekami. Załóżmy, że każdy z nich ma trójkę dzieci, z których każde trzeba jeszcze utrzymać przez sześć lat, nim wyjdą na swoje. Dodam, że to bardzo ostrożne szacunki. – Spojrzała znacząco na pana Dulcjusza.

– To będzie… Dwadzieścioro i jedno dziecko utrzymywane przez sześć lat… – mruczał. – Sto dwadzieścia jeden dzieciolat przeliczeniowych. W zaokrągleniu wychodzi, że na rok ich utrzymania możemy z tej puli ukradzionych pieniędzy przeznaczyć dwieście czterdzieści osiem rubli, w przybliżeniu. To w sumie nie tak źle – powiedział z uśmiechem.

– A zniszczenia? – zauważyła siostra. – Trzeba było wycofać wysadzony wagon oraz naprawić tory.

– To chyba najmniejsze zmartwienie. – Do rozmowy włączył się pan Fidelis. – Wszystko wspiera polski przemysł. Wagon zamówili pewnie w Warszawie u Lilpopa, Rau i Loewensteina, a tory naprawiali miejscowi robotnicy. Nawet szyby wzięli pewnie z huty w Trąbach…

– Ależ zbita szyba nie jest dla nikogo korzystna – żachnął się Dulcjusz. – A tym bardziej spalony wagon! Nasze zakłady produkują zniszczone towary zamiast wytwarzać nowe dobra…

– Jakie nasze… – prychnął pan Cezary. – Nic nie jest polskie. Ci przemysłowcy to nawet jak udają Żydów, to potem się okazuje, że to Niemcy.

– Chwileczkę, do tego zagadnienia wrócimy! – Siostra Ambona postanowiła wprowadzić nieco dyscypliny do owej chaotycznej wymiany argumentów. – Odliczmy koszty strat, bardzo ostrożnie: dwanaście tysięcy rubli. Teraz to jest już niecałe sto pięćdziesiąt rubli rocznie. Za tyle to czynszu nie zapłacisz za najmniejsze mieszkanie w Warszawie.

– Warszawie – podkreśliła pani Eufemia. – Ale już w takim Milanówku to za trzypokojowe na trzecim piętrze…

– Milanówek! – podchwyciła siostra Ambona. – A pamiętają państwo, kiedy tam miał być zamach? To straszne…

– Z tego, co wiem, nie udał się – powiedział pan Dulcjusz. – Jeden z zamachowców był niedorozwinięty i zdetonował bombę, idąc na stację.

– No właśnie! – perorowała zakonnica. – Tacy to są anarchiści. Właśnie czytam powieść naszego rodaka, Konrada Korzeniowskiego, w której wspaniale opisał tę bandę. Oni też wykorzystywali biednych idiotów, którzy nie pojmowali swej roli w przeprowadzaniu zamachów.

– Ale to fikcja – rzekł dobitnie pan Cezary. – Poza tym poznałem starego Korzeniowskiego w Permie. Solidny człek. A ten jego syn to przecież o statkach pisze, i to po angielsku. Pożytek dla sprawy narodowej znikomy.

– Nie znacie się państwo! – Do rozmowy wtrąciła się cicha do tej pory chuda Berta. – Nie był idiota ten bojowiec, tylko się z bombą pechowo potknął. Biedak! Taki był przystojny, nim mu twarzy nie zmasakrowało – dodała rozmarzonym tonem. – Ale stracił oko, dwa palce u lewej i aż trzy u prawej ręki.

W tej samej chwili poczułem dreszcz zdumienia i podniecenia. Przypomniałem sobie rękę, która wsunęła się do naszego przedziału. Była w skórzanej rękawiczce, ale widziałem, że trzy środkowe palce były podejrzanie sztywne. Jakież było prawdopodobieństwo, że ów terrorysta spod Milanówka jechał z nami pociągiem? Postanowiłem od razu to sprawdzić.

– Co się stało z tym człowiekiem?

– Wypuścili go w końcu, bo przed sądem udawał szaleńca. Wielu takich sprytnych bojowników musi się ratować w podobny sposób.

– Panna się interesuje sprawami kryminalnymi?

– Kryminalnymi? Toż oni za wolność naszą i waszą walczą. Ten bez palców nazywa się Walery Sławek, musiał się przedstawić na procesie, ale jest znany jako Gustaw, jak ten od Mickiewicza. Ten drugi, co wariata udawał, aby go z więzienia wypuścili, to Piłsudski, imienia nie pomnę. Ale ja chciałabym być jak ta nieszczęsna panna młoda, której żandarmi na weselu odebrali męża. To znaczy nie chcę tak, żeby mi męża zabrali, ale chcę być jak Regina Brzeszczot-Lepiszcze, która się mści na żandarmerii.

– Panienka przestanie się kurwić, to męża znajdziemy – szepnęła siostra Ambona po francusku, mając próżną nadzieję, że nie znam tej mowy.

– Czy może panna mi pomóc? – poprosiłem. – Wyjdziemy na korytarz i powie panna, czy ten jegomość bez palców przypomina owego Sławka Walerego, co upuścił bombę.

– On tu jest?! – jęknęła Berta.

– No to zaraz pan będziesz miał swoją rewolucję – syknął pan Dulcjusz.

– Chodźmy szybciej, bo zaraz pociąg rusza – powiedziałem, ale za późno.

Przez tę dziwaczną rozmowę przegadaliśmy cały postój w Wilnie. Skład właśnie zaczynał kolejny etap trasy. Kiedy wychodziliśmy na korytarz, przyspieszał. Gdy dotarliśmy do końca wagonu, akurat skręcał, więc przez okna zauważyłem ponurego mężczyznę, idącego ku toalecie.

– To on? – zapytałem.

– Nie widzę, muszę podejść.

– To niebezpieczne.

– Dla pana. Za przeproszeniem, Azjatę od razu pozna, a mnie niekoniecznie. Tylko podejdę.

Choć nie było to zachowanie w pełni honorowe, w tym wyjątkowym przypadku pozwoliłem niewieście działać. A panna Berta żwawym krokiem ruszyła do ostatniego wagonu i w tempie zdawałoby się niemożliwym dla nosicielki szykownej sukni, pokonała długość korytarza. Nie zdą-

żyła jednak. Widziałem, że drzwi do toalety zamykają się tuż przed nią, a panna natychmiast odwraca się i rusza do mnie.

– Widziałam go, widziałam! – oznajmiła, przechodząc do mojego wagonu. – W lustrze, przez uchylone drzwi. Ma szklane oko, blizny na policzku. A to drugie oko to goreje jak wulkan islandzki. To Walery Sławek, pechowy bojowiec!

Kiedy to jeszcze mówiła, zobaczyłem, że z jednego z przedziałów w ostatnim wagonie drugiej klasy wychodzi samotny wysoki mężczyzna i rusza do toalety. A chwilę później: że wbrew wszelkiej logice oraz obyczajowi zostaje wpuszczony.

– Co oni robią? – zapytałem.

– Nic zdrożnego. Pewnie towarzysz Gustaw rozdaje broń.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że obowiązkiem moim jest ratować pasażerów tego pociągu. Nie dość, że zapałałem szczerą sympatią do narodów Imperium Rosyjskiego (a szczególnie do Polaków), moją powinnością było przyjąć obyczaj gospodarzy. Należało więc bronić dzieci, niewiast i starców przed przemocą, a choć nie jechałem w przedziale z żadnym dzieckiem, musiałem ratować aż trzy kobiety i jednego seniora, w dodatku weterana.

– Niech panna wróci do przedziału i opowie wszystkim, że zaraz rozpocznie się napad. Tylko nie wszczynajcie paniki. Terroryści nie mogą wiedzieć, że przejrzeliśmy ich plany.

– A pan co zrobi?

– Muszę powiadomić eskortę i załogę pociągu.

– Ale ja nie chcę im przeszkadzać w walce o ojczyznę! Obowiązkiem tych ludzi jest dokonać napadu.

– Może i tak – przyznałem. – Ale naszym obowiązkiem jest ich powstrzymać. To nasza dharma.

– Nie, oni są z Pepeesu – odparła kobieta. – Ale nie ważne. Niech pan uważa.

Ruszyła z powrotem do przedziału, a ja wyciągnąłem notes, w którym zapisywałem ważne fakty, wymowę trudnych nazwisk tubylców oraz plany

na najbliższe dni. Sporządziłem szkic pociągu i zaznaczyłem swoją pozycję. Potem zaplanowałem kolejne działania.

1. Ostrzec eskortę i załogę pociągu.

2. Zdobyć broń.

3. Wrócić do przedziału i bronić towarzyszy podróży.

3a. Jeśli przyjdzie mi przegrać ową walkę, polec z honorem i, jak to mówią Europejczycy, ze stoicyzmem prawdziwego wojownika.

3b. Jeśli przeżyję i nie zostanę okaleczony w stopniu znacznym, spisać dokładną relację tych wydarzeń i podzielić się nią z czytelnikami „Kuriera Tokijskiego".

Aby zachować pełną uczciwość wobec czytelników, muszę dodać, że na marginesie zapisałem też punkt 3c. „Dowiedzieć się o tym kurwieniu panny Berty i, jak pisał geniusz wojny i miłości (choć Chińczyk), wyczekiwać okazji, gdyż to ona daje wszelkie zdobycze". Nie jest to jednak element, który miałby bezpośredni wpływ na naszą historię.

Potem ruszyłem do przedziałów załogi. Niewielkie pomieszczenie dla pracowników kolei znajduje się w każdym wagonie pierwszej i drugiej klasy. Ale zastać kierownika mogłem w każdym z tych boksów. Wbrew pozorom miejsce przy pierwszej klasie nie było zaszczytem czy wygodą, ale (jak się potem dowiedziałem) wyzwaniem, gdyż przebywający tam wagonowi musieli pozostawać do dyspozycji pasażerów pierwszej klasy praktycznie całą dobę.

Przedziały załogi były w większości zamknięte. W jednym z nich zastałem niezorientowanych w niczym bagażowych, a w tym ostatnim przed przedziałem restauracyjnym znalazłem napisaną po rosyjsku i (jak mniemam) po polsku kartkę z informacją, że wagonowy Trudnik obsługuje bufet. Szybko znalazłem się w we wskazanym miejscu i zgłosiłem się do wysokiego, szczupłego młodzieńca w mundurze Towarzystwa.

– Dzień dobry, komu mogę zameldować sprawę najwyższej wagi dla pasażerów i załogi?

– Dzień dobry. Czy chodzi o skargę na jakość obsługi?

– Nie wiem, czy mogę o tym powiedzieć panu. Z całym szacunkiem, ale sądząc po skąpym wąsie, nie zajmuje pan odpowiedzialnego stanowiska.

– To racja – przyznał młodzik. – Ale proszę choćby wskazać kategorię zgłoszenia. Część mogę przyjąć osobiście, część powinna trafić do mojego starszego kolegi, część do kierownika pociągu.

– Szanowny panie…

– Trudnik Bożydar, do usług – odparł wagonowy.

– Szanowny panie Trudnik… – Przerwałem na chwilę i zapisałem owo nazwisko obok innych wymysłów Europy: Reginy Brzeszczot-Lepiszcze oraz Sławka Walerego. Potem nachyliłem się ku pracownikowi kolei. – Wraz z pasażerami z przedziału pierwszego czwartego wagonu drugiej klasy nabrałem przekonania, że pociąg zaraz zostanie zaatakowany przez terrorystów o polskiej proweniencji. Bez urazy.

Trudnik zmarszczył brwi i milczał dość długo. Nie wiedziałem, czy młodzieniec nie wyciągnie zaraz pistoletu i nie wypali do mnie. Wcześniej po prostu działałem, nie rozważając, czy w razie konfrontacji polska część załogi pociągu po prostu nie zacznie sprzyjać napastnikom. Widać jednak, że w młodym sercu Trudnika honor wagonowego wygrał z honorem walczącego o wolność Polaka – albo człowiek ten wyznawał ideały pracy organicznej nie słabiej niż pan Dulcjusz z Gostynia.

– Czy pan nie żartuje? Czy ja dobrze pana rozumiem? – zapytał poważnie.

– Moja współpasażerka rozpoznała groźnego terrorystę, niejakiego Sławka Walerego ze szklanym okiem. Być może towarzyszy mu były katorżnik Piłsudski, nazwiska nie znam, oraz mszcząca się za aresztowanie męża Regina Brzeszczot-Lepiszcze – przeczytałem z notesu.

– Proszę wracać do przedziału, ja się tym zajmę – oznajmił, ale widząc moje niezdecydowanie, dodał: – Mamy jeszcze trochę czasu i przygotowane procedury. Napad raczej nie zacznie się tak blisko Wilna, najwcześniej na stacji w Bezdanach. Został nam najmniej kwadrans. Powiadomię kierownika i porucznika Rżewskiego. Proszę wracać… pańscy współpasażerowie pana potrzebują.

Tak powiedział i szybkim krokiem ruszył na przód pociągu. Ów młodzieniec bardzo sprawnie opanował nerwy i w sposób profesjonalny próbował zarządzać pasażerami. Chyba przewidział moją skłonność do wspierania władz lokalnych i poczucie obowiązku związane z towarzyszami podróży. Niestety dla niego, choć sprecyzował, że mam wracać do wagonu, nie powiedział, jak szybko. Ruszyłem więc za nim.

Nie chcieli mnie wpuścić do wagonu pocztowego, a w każdym razie nie natychmiast. Pokazałem legitymację prasową, powołałem się na zażyłą (nie sprecyzowałem jak krótką) znajomość z wagonowym Trudnikiem, w końcu użyłem argumentu ostatecznego.

– A wy, panowie żandarmi, gdzie służyliście podczas wojny? – Po drugiej stronie drzwi zapadła cisza i zrozumiałem, że (jak to mówią Europejczycy) trafiłem w dziesiątkę.

– Ja mam reumatyzm… – odparł nieśmiało jeden z ochroniarzy. – Ale nasz porucznik Rżewski to był pod Cuszimą, na „Kniaziu Suworowie".

– Żandarm na pancerniku? – zapytałem podejrzliwie. Potem wyraziłem kolejną wątpliwość: – Czy „Kniaź Suworow" nie zatonął z całą załogą?

– No, bez porucznika. To długa historia…

– Przepuść mnie, dobry człowieku. Ja chcę rosyjski pociąg ratować, mimo że strzelałem do takich cztery lata temu.

Nie było to kłamstwo, ale lekka nadinterpretacja. Jako trzeci adiutant pułkownika Kuroto, przekazywałem współrzędne do ostrzału Portu Artura. Ta deklaracja zrobiła wrażenie na żandarmach. Wpuścili mnie do pancernego wagonu, w którym mieściła się ich kwatera i przedziały pocztowe. Poniewczasie zdałem sobie sprawę, że poprosiłem żandarmów o naprawdę nierozsądną przysługę. Gdybym był terrorystą, mógłbym ich zastrzelić albo wrzucić bombę. Na szczęście miałem inne cele. Pobiegłem naprzód, wszedłem na tender, a potem zobaczyłem jedną z najdziwniejszych scen, jakich byłem świadkiem w moim życiu.

Mężczyzna w mundurze ze złotymi oznaczeniami stał przed maszynistą i wagonowym Trudnikiem, słuchał czegoś uważnie. Potem przyciągnął do

siebie młodzika, podniósł dwa place, skierował je ku swoim oczom, po czym oznajmił:

– Chłopcze, chłopcze… Spójrz na mnie uważnie. Teraz to ty jesteś naczelnikiem pociągu.

A potem z kocią zwinnością odwrócił się i skoczył za burtę. Przez kilka uderzeń serca byłem zdumiony, ale i oczarowany postawą urzędnika. Oto dowódca pociągu zdał sobie sprawę, że nie dopełnił obowiązków, naraził pasażerów na niebezpieczeństwo, a towarzystwo na straty, więc postanowił popełnić honorowe samobójstwo. Niestety, zaraz potem zauważyłem, że ów dezerter nie chciał oszczędzić sobie wstydu, ale skoczył do mijanej właśnie rzeki i, co oceniłem, spoglądając w tył, przeżył upadek i zaczął płynąć do brzegu. A ja musiałem zdradzić swoją obecność. Zapytałem równie zdumionych zgromadzonych:

– Szanowni panowie, skoro nie ma kierownika ani porucznika, to kto teraz dowodzi pociągiem?

– Öya Pierre Dolę! – odpowiedział uprzejmie maszynista, a ja skłoniłem się i ruszyłem z powrotem przez tender ku wagonowi poczty.

Pana Doli nie znałem, ale wnosiłem, że może on być owym starszym kolegą Trudnika, więc po szybkim marszu przez kwatery żandarmów dotarłem do wagonu pierwszej klasy i zacząłem pukać w drzwi przedziału załogi.

– Ratunku, awaria! – zacząłem wołać, ale potem się opanowałem. Wzbudzanie paniki na tym etapie było niemądre ze względu na możliwość kolejnych (i to mniej przemyślanych) ucieczek, jak to uczynił kierownik Bronik, poza tym zbyt wielkie poruszenie zaalarmowałoby bandytów. – Niech się pan obudzi! – szeptałem już nawet ciszej, niż wybrzmiewały odgłosy pukania. W końcu otworzył mi starszy (wnosząc z brody) człowiek w rozchełstanym mundurze.

– Co się dzieje?

– Öya Pierre Dolę? – zapytałem dla pewności.

– Öya Pierre Dolę… – potwierdził, wzdychając. – Maszynista pana przysyła?

– Pociąg zaraz zostanie napadnięty.

– Co takiego? A co to pana obchodzi? Boże, co to mnie obchodzi. Powiedz pan to porucznikowi Rżewskiemu albo naczelnikowi pociągu.

– Obaj są niedostępni – poinformowałem, nie wchodząc w szczegóły. Potem powtórzyłem gest Bronika, podnosząc dwa place i wskazując swoje oczy. – Spójrz na mnie uważnie. Teraz to ty jesteś naczelnikiem pociągu, panie Öya Pierre Dolę!

Na twarzy starszego wagonowego zmagały się sprzeczne uczucia, w końcu jednak przeważyły powaga i poczucie obowiązku. Oznajmił surowo:

– Jeżeli to jakieś żarty Witkowskiego, to sam go zastrzelę… Ale od początku: kto napada pociąg?

– Polscy socjaliści – odparłem. – Jedna z pasażerek zidentyfikowała Sławka Walerego, tego bez oka, a towarzyszy mu katorżnik Piłsudski, nazwiska nie znam, oraz mszcząca się za aresztowanie męża Regina Brzeszczot-Lepiszcze.

– Brzeszczot-Lepiszcze? To nie może być prawdziwe nazwisko – stwierdził Öya Pierre Dolę.

– No to pseudonim. Nieważne! Powiedz pan lepiej, co robić. Jak wezwać żandarmów z Wilna. Kto tu ma broń?

– Kurwa! – syknął starszy wagonowy i bez dalszych wyjaśnień wyskoczył z przedziału, minął mnie i ruszył ku lokomotywie. Chciałem już zapisać w notatniku owego Kurwę, ale ponieważ to słowo wydało mi się znane, pomyślałem, że nie musi określać konkretnego człowieka, ale jakąś grupę lub typ charakteru.

Choć było to postępowanie niezbyt honorowe, czas próby wymagał wyrzeczeń. Wszedłem do otwartego przedziału dla załogi i zacząłem szukać środków do obrony. Niestety, nie uświadczyłem tam ani broni palnej, ani białej.

Na półkach leżały ubrania i książki. *Myśli nowoczesnego Polaka, Lord Jim, W pustyni i w puszczy, Zbrodnia i kara,* Biblia. Żadna z tych pozycji (prócz ostatniej) nic mi nie mówiła, sądziłem jednak, że księgozbiór należy do młodego Trudnika, nie do pana Öyi.

Ostatecznie znalazłem niewielki nóż i uznałem, że to najlepsze, co mogę wykorzystać. Zabrałem też drewnianą szuflę zawieszoną na ścianie i pierwotnie przeznaczoną chyba do zsypywania śniegu z dachu składu. Po wyjęciu uchwytu można było używać jej szerokiej części roboczej jako zaimprowizowanej tarczy. Wyszedłem więc na korytarz, uzbrojony jako niezwykle oszczędna wersja średniowiecznego rycerza, z drewnianym szczytem i wykutym do walki z pieczywem mieczem. Na szczęście nikt na korytarzu wagonu pierwszej klasy nie widział mojej hańby, przynajmniej przez chwilę. Nim jednak dotarłem do przejścia ku bufetowi, drzwi do jednego z przedziałów się otworzyły i stanął w nich wąsaty mężczyzna w mundurze jeszcze bardziej rozchełstanym niż uniform pana Öyi Pierre Doli.

– СУКА БЛЯТЬ! – oznajmił po rosyjsku porucznik Rżewski, gdyż z jakiegoś powodu wiedziałem od razu, że to on.

– Poruczniku, napad będzie! – zawołałem, uradowany, że wreszcie powiadomione zostały odpowiednie władze.

Ale bohater z zatopionego pancernika „Kniaź Suworow" był dość zmieszany. Brakowało mu uzbrojenia, części munduru, a jego oblicze zdobiła czerwona plama na lewym policzku, jakby ta część ciała przed chwilą spotkała się gwałtownie z otwarta dłonią. Jednocześnie drzwi za żandarmem zamknęły się z trzaskiem.

– Zwykle działa – mruknął porucznik i zogniskował zaskoczone spojrzenie na mnie. – Co ty mówisz, Nippońcu? Jaki napad?

Ale oto było już za późno. Pociąg zaczął zwalniać, a potem rozległ się gwizdek, padł strzał, a następnie nocne powietrze rozerwała eksplozja.

Był to dla mnie sygnał do biegu. Ruszyłem ku mojemu wagonowi, niepomny już na los całego pociągu. Miałem bardzo określone obowiązki wobec współpasażerów. Wtedy jednak drzwi ostatniego przedziału stanęły otwo-

rem. Przyspieszyłem, aby przebiec przed wysiadającym pasażerem, ale nie doceniłem jego (lub jej) determinacji.

Świat zgasł jak świeca zdmuchnięta przez powiew wiatru.

Akcja pod Bezdanami (teraz już na serio), towarzysz Ziuk, 26 września 1908 roku

Towarzysz Ziuk szedł na czele swoich bojowców. Nie był to szyk wojskowy, nikt nie nosił munduru, choć można w nim było wyczuć ten militarny sznyt, niemal pruski porządek, choć ukryty w pozornym chaosie. Dziesięciu bojowców i trzy bojowczynie wyglądali jak klucz ptaków podążających za przewodnikiem.

Od razu stado podzieliło się na trzy grupy. Pierwsza, niosąca skrzynie, szła dalej ku peronowi. Druga skręciła ku tyłowi stacji, gdzie (jak już wiedzieli) znajdowała się stacja telegrafu. Trzecią stanowili: sam Ziuk, towarzyszki Morska, Taterska i Anastazja oraz towarzysz Siłacz. Jak na zawołanie zarzucili na twarze chusty i szale, wyglądem przemieniając się w amerykańskich kowbojów i afrykańskich Beduinów jednocześnie. W dłoniach przybyszów pojawiła się broń: smukłe browningi, długie mauzery i szerokie rewolwery Colta. Gdyby tylko widział to Kobayashi Osamu, skromny korespondent „Kuriera Tokijskiego”! Jego kreska z pewnością idealnie oddałaby moc i pewność siebie bijącą od bojowców.

W niemal idealnej ciszy Ziuk dał znać zespołowi bombowemu (a dokładniej mówiąc, znak dał Tomasz, ale Józef od razu go powtórzył), aby ten rozpoczął robotę. Błyskawicznie ludzie Katajamy założyli cztery kluski (jak nazywali laski dynamitu) na tor za peronem, po czym ustawili się za ławką, gotowi rzucać mniejszymi bombami w lokomotywę pociągu.

Towarzysz Franek i jego eskorta pewnie wkroczyli do telegrafu. Już po chwili z pomieszczenia wydobył się odgłos szamotaniny i pierwszy przytłumiony huk wystrzału. Ziuk wiedział, że już skończył się czas maskowania, więc nie opanował młodzieńczego odruchu i kopnął w drzwi bufetu. Stanął

w progu i spojrzał na stojącego za ladą mężczyznę. Był to ten sam ajent, który częstował ich herbatą tydzień wcześniej.

– O, to pan! Jednak przyszliście państwo zrealizować zniżkę? – zapytał bufetowy, wkładając w to pytanie nadzieję zdolną góry przenosić.

– W imieniu Polski wolnej, demokratycznej i sprawiedliwej, ogłaszam oto działanie ekspropriacyjne, na rzecz odrodzenia ojczyzny! – zawołał Ziuk.

– Ciszej, dziecko pan obudzisz! – szepnęła siedząca przy jednym ze stołów matka z drzemiąca pociechą w wózku.

Pozostali oczekujący, łącznie sześć osób, patrzyli to na wąsacza z browningiem, to na kobietę z dzieckiem, zastanawiając się, który ze światów zwycięży. Czy wersja rzeczywistości, w której terrorystyczny napad okaże się tylko głupim żartem, czy ta, w której groza nabierze kształtów bardzo realnych. Na szczęście Ziuk nie musiał podejmować żadnej decyzji. Najpierw rozległ się gwizd lokomotywy, a potem sygnał z gwizdka towarzysza Katajamy. Józef podniósł więc pistolet i wypalił w sufit. Jak łatwo się domyślić, trafił wprost w skrzynkę bezpieczników, pogrążając cały budynek w egipskich ciemnościach.

– O ja pierdolę! – syknęła Regina. – Ma ktoś latarkę?

W bufecie wybuchła wrzawa. Nie tylko matka krzyczała, nie tylko jej dziecko, ale pozostali podróżni też dorzucili swoje do pandemonium ciemnego budynku. To nie zaniepokoiło wodza. Jednak uwagę Piłsudskiego zwróciły odgłosy zza ściany.

– Nie ruszać się, to nikomu nic się nie stanie – oznajmił i ruszył do drzwi na zaplecze.

W duszy szeptał mu głos słodki, deklamujący pełne chwały frazy z *Reduty Ordona* Adama Mickiewicza: „On będzie Patron szańców! – Bo dzieło zniszczenia / W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia".

Tymczasem bojowiec wszedł na kogoś, chudego mężczyznę kulącego się koło stolika. Odruchowo przeprosił i ruszył dalej. Dotarł do drzwi i zastał je zamknięte. Cofnął się trzy kroki, aby nabrać rozpędu do siłowej debaty

z zamkiem, ale nastąpił komuś na dłoń. Usłyszał krzyk jakiegoś biedaka, rzucił kolejne „przepraszam" i skoczył przed siebie.

Powietrzem wstrząsnęła eksplozja i całe szczęście, gdyż wybuch bomby zamaskował jęk i klątwy Ziuka. Drzwi nie puściły, a bojowiec odbił się od nich i znów nadepnął na dłoń nieszczęśnika.

– Kurwa, przepraszam! – syknął Józef, po czym spróbował raz jeszcze. Drzwi nie puściły.

Ziuk cofnął się po raz kolejny, tym razem nikogo nie nadeptując, choć nie przez własną ostrożność, ale przezorność leżącego w ciemności pechowca. Wyjął więc lewą ręką z kieszeni zapalniczkę, wykrzesał z niej lichy ogień, a potem wypalił na wysokości klamki.

Co prawda dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte jak dzieło tworzenia, ale Józef miał wrażenie, że przesadza. Przeszkoda wciąż trwała, ale z drugiej strony odezwał się żałosny jęk ludzki. „Boże, postrzeliłem kogoś z moich!" – pomyślał Piłsudski. A potem drzwi się otworzyły.

– Nie było zamknięte, tylko klapa zasunięta – powiedział towarzysz Stefan. – Wchodź, wodzu!

Sytuacja w stacji telegrafu była równie napięta. Mężczyzna w mundurze Towarzystwa wił się na podłodze z przestrzelonym udem, a nad nim stał towarzysz Figiel z miną łobuza przyłapanego na podjadaniu ciasteczek.

– Powiedziałem, że ja nic ci nie zrobię... – szeptał do rannego telegrafisty. Potem spojrzał na Ziuka z mieszaniną podziwu i wyrzutu.

Pomieszczenie było oświetlone przez dwie świece i zapalaną właśnie lampę naftową. Scenę osłaniali bronią Figiel i Stefan, a Franek i reszta rozpaczliwe szukali czegoś wokół skrzynki telegrafu.

– Co jest? – zapytał Piłsudski.

– Jakiś dureń odciął prąd, nim znaleźliśmy kable! Jak tylko je zepną, wszystko będzie działać. Jak ja niby mam uszkodzić telegraf na dobre?

– Na przykład tak – rzucił Ziuk i wypalił w maszynerię. Urzędnik łączności znów krzyknął, ale to ze strachu, a nie nowego urazu.

– Racja... to telegraf unieszkodliwiony.

– Na wszelki wypadek zniszczcie ze dwa słupy – polecił Józef.

Potem wrócił do bufetu. Ziuk spojrzał na Tomasza i bojowczynie. Czwórka sprawnie ustawiła perymetr ogniowy. Aleksandra i Janina celowały w bufet, a Regina Brzeszczot-Lepiszcze i Arciszewski stali w oknach gotowi ostrzelać peron.

W tej samej chwili na stację wjechał pociąg. Skrzył iskrami zaciśniętych hamulców i syczał spuszczaną parą, co świadczyło, że Walery opanował lokomotywę. Piłsudski czekał tylko na huk bomby na torach. Ten nie nadchodził.

Józef zdążył wyjść na peron, stanąć tuż przed krawędzią i rozłożyć ręce w pozie ukrzyżowanego Chrystus, oczywiście o ile Zbawiciel kiedyś miał w ręku browninga i zapalniczkę. Iskry wciąż skrzyły, pociąg stawał, a on szeptał z przejęciem:

– Dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte jak dzieło tworzenia!

Ale drugi wybuch się nie rozległ, a przez to nie zagłuszył natrętnej myśli bojowca. „Kurwa, przez przypadek postrzeliłem człowieka!”

Akcja pod Bezdanami (teraz już na serio), towarzysz Gustaw, 26 września 1908 roku

Zaczęło się, a Walery wiedział o tym wcześniej niż inni. Gdy pociąg zaczął zwalniać, otworzył drzwi i dał znak towarzyszom. On i Maciej gotowali się do skoku, a Paweł z resztą zajęli pozycje strzeleckie przy drzwiach do przedziału pocztowego. Czekali, a wtedy Sławek dostrzegł, że ktoś otwiera drzwi w korytarzu za nimi.

– Strzelamy? – zapytał Paweł.

– Czekać! Kryć się! – polecił towarzysz Gustaw.

Z przedziału pierwszej klasy wypadł jakiś Azjata i ruszył biegiem ku bufetowi. Potem zaś bojowcy zauważyli, że przy drugich drzwiach na korytarzu stoi mężczyzna w niepełnym mundurze żandarma. Sławek podjął decyzję natychmiast.

– Stach, za mnie! – polecił, po czym ruszył ku trwającemu w korytarzu stróżowi porządku.

– Co to ma być? – zapytał Rosjanin.

– Jestem towarzysz Gustaw, czyli Walery Sławek – oznajmił jednooki bojowiec. – Bardzo mi przykro, że nie dostałeś szansy na rycerską walkę.

– Jestem porucznik Dymitr Rżewski… – odparł odruchowo żandarm, ale natychmiast potem pojął grozę sytuacji. – Że co, kurwa?!

Pojedynczy strzał ugodził go w wątrobę, a bohater niesławnego epizodu wojny japońskiej zachwiał się, po czym padł na prawy bok, od razu opierając ciężar na klamce do przedziału. Ten okazał się nie być zamknięty, więc dogorywające ciało Rżewskiego wsunęło się do środka, po czym zostało przywitane przez kobiecy wrzask.

Walery nie czekał na dalszy rozwój wypadków. Wiedział, że oto nadarzyła się wspaniała okazja: eskorta została pozbawiona dowództwa i tę okoliczność należało bezwzględnie wykorzystać.

– Góra, na lokomotywę! – rozkazał.

– Chyba oszalałeś! – odparł towarzysz Brzytwa.

– Ty na peron! – doprecyzował Walery.

Wychylił się przez drzwi i złapał krawędź dachu. Maciej Dobosz od razu podparł kompana i dobrze zrobił, gdyż nie dość, że po stracie palców chwyt Sławka był słaby, to jeszcze sztuczne palce utrudniały mu wszelkie manewry. Jednak został wsparty przez młodego kolegę i położył się na dachu dobre pół wiorsty od stacji. Zaparł się nogami i chwycił krawędzi metalowej płyty prawą ręką, a lewą wyciągnął, aby pomóc Maciejowi we wspinaczce. Chłopak był obok niego bardzo szybką zdrowaśkę później.

– Naprzód, prędko! – polecił towarzysz Gustaw.

Maciek okazał się lepszym biegaczem, zwłaszcza w tych warunkach. Może pociąg jechał już wolno, ale pęd powietrza nadal stanowił zagrożenie dla bojowców-akrobatów. Nie bez trudu przebiegli nad wagonem pancernym, na szczęście nie powitał ich ogień żandarmów z dołu. Zeskoczyli na tender i biegnąc po jego bocznej kładce, wyciągnęli rewolwery. Maszynista i jego pomocnik już na nich czekali.

– Panowie od napadu? – zapytał Witkowski.

– Ręce do góry! – rozkazał Sławek.

– Dobra, dobra... – odparł Witkowski. – Tam jest hamulec. Pociągnij pan do oporu. Jest w sumie niesprawny, ale i tak zwalniamy, a iskry z tego będą jak ta lala. Poczekacie, panowie? Jak zwolni jeszcze trochę, to sam wyskoczę i spierdalam. Co wy na to?

– Dobra, a ty? – zapytał Sławek, patrząc na pomocnika.

– Panie, jak mi kierownik pociągu uciekł, to co pan myśli, że ja będę się z wami bił? – odparł prostodusznie młodzik o osmalonej twarzy.

Maciej Dobosz pociągnął za ręczny hamulec. Faktycznie, mechanizm był mocno zużyty, ale iskry zaczęły lecieć przednio. Skład zwalniał, hamując

całym silnikiem parowym.

– Dla kurażu? – zapytał maszynista, podając towarzyszowi Gustawowi butelkę wódki. Nim ten zdołał odmówić, flaszkę przejął Maciej i pociągnął solidny łyk.

– To mógł być metanol! – syknął Sławek.

– Co panie, ja tylko lokalne trunki piję! – zapewnił maszynista. – To co, panowie? Czegoś ode mnie chcecie, czy mogę spadać? Nie? To, Waciu, idziemy.

– A ja to mam bagaże u siebie – przyznał asystent. Potem zaś spojrzał na terrorystów. – Nie zabijecie mnie?

– Jeśli nie będziesz stawiał oporu ani wznosił alarmu, to jesteś bezpieczny. Słowo bojowca.

– No to zostaję. Tylko nim się zmyjecie, ustalcie, co mam powiedzieć żandarmerii.

Maszynista wyskoczył z zatrzymującego się pociągu i rozpoczął bieg do lasu. Sławek nie wiedział, dlaczego kolejarz wolał przeczekać akcję w zagajniku, w nocy, dodajmy: wcale nie takiej ciepłej. Ale kim on był, aby kwestionować wybory terroryzowanych cywilów, zwłaszcza kiedy mu sprzyjali?

– Nie psujcie lokomotywy – poprosił wtedy pomocnik. – To własność Towarzystwa, ale dzięki niej zarabia na życie kilkunastu dobrych ludzi. Jeśli się da, torów też nie wysadzajcie. Przysięgam, że nie odjadę.

Ale towarzysz Gustaw nie słuchał już młodzika. Wyjrzał przez burtę na peron, aby zobaczyć Edwarda i Pawła wyskakujących z bronią. To był czas, by przejść do fazy drugiej. Walery zagwizdał dwa razy, co było sygnałem do uderzenia na wagon eskorty.

Wiele rzeczy nie poszło idealnie. Ktoś z grupy Ziuka miał wybić łomem okno przedziału pocztowego, a towarzysz Siłacz planował wrzucić do środka bombę. Widać jednak cios nie trafił w zakratowane okno albo nie był dość mocny, aby stłuc grubą szybę. Trzeba było improwizować.

Gdy pozostali szturmowcy od Walerego nie napotkali oporu na peronie, wrócili do pociągu, by szturmować opancerzony wagon. Sławek pociągnął

za ramię Macieja i oznajmił:

– Idziemy. Ten tutaj nie narozrabia.

Potem wskoczył na tender i żwawym krokiem (co było już znacznie prostsze, pociąg toczył się z prędkością leniwego piechura) dotarł do przednich drzwi przedziału pocztowego. Zajął pozycję strzelecką i czekał.

Spodziewana eksplozja zawyła zaraz potem. Towarzysz Gustaw oczyma duszy widział, jak Arciszewski wskazuje na platformę wagonu i wciska bombę karbidową przez okienko w drzwiach. W takich momentach zawsze istniało ryzyko, że co bardziej rozgarnięty i odważny żandarm przytrzyma ładunek, a wtedy pirotechnik napastników skończy jak Walery Sławek po Milanówku (w najlepszym wypadku), ale tak się nie stało. Po wybuchu usłyszeli jęki strażników ze środka. Potem zaś byli świadkami przewidzianego w planach zachowania.

Przednie drzwi wagonu otworzyły się, a dwóch żandarmów wybiegło na przejście do tendra. Towarzysz Gustaw nawet nie zamierzał strzelać. Podstawiona noga, a potem pchnięcie w ramię pozbawiło obu nieszczęśników równowagi i pchnęło ich w dół. Na szczęście: nie na betonowy peron, ale żwir po drugiej stronie. Sławek, zaprawiony w mokrej robocie bojowiec, nie pozbył się zupełnie ludzkich odruchów. Ba! Z wiekiem były one w nim coraz silniejsze. Oczyma duszy zobaczył, jak jeden z żandarmów, padając, zawadza głową o złącze wagonów, a jego kark trzaska złowieszczo. („Zabiłbym już drugiego dziś!"). Na szczęście było to złudzenie. Obaj żandarmi padli na mokry żwir, a ich żałosne jęki wskazywały, że obaj tę krótką, ale pełną emocji podróż przeżyli. Teraz pozostawało jeszcze czterech ochroniarzy.

Drużyny Tomasza i Aleksandra wrzuciły ładunki karbidowe do zamkniętego wagonu z tyłu pociągu. Prócz samej fali uderzeniowej zaimprowizowane bomby wzbudziły w środku obłok dymu, a ich huk musiał zmasakrować uszy obrońców. Tych dwóch pierwszych było w stanie (prawie!) uciec przodem. Dwaj pozostali leżeli martwi lub nieprzytomni. A może kulili się w panice, bezbronni i zagubieni? A może okazali się twardymi żołnierzami

Ochrany? W ciszy zakamuflowali się i przyjęli pozycje strzeleckie, gotowi poszatkować nacierających bojowców…

Sławek nie zamierzał dać im więcej czasu. „Raz się żyje! – pomyślał. – Wandziu, może idę do ciebie!”

Wskoczył w ciemne wnętrze wagonu, tym razem bez słowa, usiłując zrobić jak najmniej hałasu. Nie widział niemal nic. Uznał, że kształt na podłodze to człowiek, więc kopnął domniemanego żandarma w domniemaną głowę. Ten jęknął i do reszty zmartwiał. Niestety, był to dźwięk, na który czekał kolejny z żandarmów.

Także nie wypowiedział słowa. Ale w świetle zapalonej właśnie na peronie lampy karbidowej (jej promienie wpadały do środka przez stłuczone okno) dostrzegł błysk wyciągniętej lufy rewolweru. On był jeden, ich naprzeciw było trzech: żandarm, pan Smith i pan Wesson.

– Rzuć broń, Lachu! – polecił okopcony przez wybuch (a przed to niemal niewidoczny) strażnik. – No już!

Sławek ani myślał słuchać się wroga, ale w tej samej chwili do groźnej trójki dołączył jeszcze jeden kombatant. Dłoń leżącego na boku wagonu żandarma chwyciła łydkę bojowca i pociągnęła ją do siebie. Zaskoczony towarzysz Gustaw upuścił trzymanego w dłoni colta.

– Dobrze, doskonale! – oznajmił hardy żandarm, błyskając białymi zębami w ciemności. – A teraz rozkażesz im wszystkim się wycofać.

– Po moim trupie… – szepnął napastnik.

– Skoro nalegasz… – mruknął żandarm i nacisnął spust.

Nic się nie stało.

Na czarnej twarzy żandarma można było przeczytać całą długą historię. Opowieść o bólu i żalu, poczucie zawodu i nagłą falę zrozumienia. Historię, jak ów sierżant ćwiczył latami, strzelał do znudzenia, trenował boks i zapasy, hartował ducha i ciało zimnymi kąpielami oraz górskimi wspinaczkami, studiował podręczniki policyjnych technik i taktyk walki. A wszystko po to, aby chronić cara i Matkę Rosję. A tym czasem Borys Denaturow, chciwy skurwysyn, mający monopol na dostawę amunicji na po-

trzeby Ochrany, zaoszczędził kilkanaście tysięcy rubli na partii ze starym prochem i kiepskimi spłonkami. Stary, ale w zasadzie niezawodny pocisk .44 Russian, w promocyjnej wersji od nieuczciwego dostawcy dopiero po chwili odezwał się żałosnym: „Psssss!", oznajmiając, że na ten wieczór więcej z siebie nie wykrzesze. Był to sygnał dla towarzysza Gustawa.

Sławek miał w kieszeniach jeszcze dwa pistolety. Niestety, nie miał czasu. Ryknął jak dziki zwierz i rzucił się całą masą na zaskoczonego żandarma. Ten usiłował jeszcze wznieść ręce w bokserskiej gardzie, ale Polak nie dał mu owej kluczowej sekundy na przygotowanie. Zderzyli się i wpadli na wejście do kantorku urzędnika pocztowego. Skryba nie puścił, ale drzwi puściły. Żandarm i Sławek wpadli do boksu, przywitani przez Witalija Worońskiego. Owego wieczoru urzędnik wspiął się na wyżyny odwagi i zaradności, ale cóż z tego, skoro jego anioł stróż wyrzucił na kości losu jedynkę. Woroński zdzielił wpadającego do środka mężczyznę przyciskiem do papieru. Niestety, nie tego mężczyznę, którego zamierzał. Chwacki żandarm natychmiast stracił przytomność, a pocztowiec zastygł, zaskoczony.

– Wolna Polska ci tego nie zapomni – oświadczył równie zaskoczony Walery.

– N... nie? – zapytał urzędnik, niepewny, czy usłyszał obietnicę, czy groźbę.

– Ale jeśli cię obezwładnię i związę, nie będzie miał potem problemów. Wybacz, to zaboli mnie tak samo jak ciebie – zapewnił bojowiec i huknął pocztowca potężnym prawym prostym.

Jak zwykle zapomniał, że ma sztuczne palce, więc spokojnie możemy założyć, że Witalija zabolało jednak bardziej. Urzędnik zemdlał, przytłoczony przemocą i szokiem, a Sławek zamknął kantorek na klucz. Po wyjściu zobaczył, że Maciej kończy wiązać pozostałych żandarmów. Mężczyźni stanęli naprzeciwko siebie i bez zbędnych słów podali sobie prawice. Choć nie do końca dzięki własnym zasługom, to wykonali zadanie.

Akcja pod Bezdanami (teraz już na serio), towarzysze Katajama i Siłacz, 26 września 1908 roku

Nic nie szło tak, jak powinno, ale wciąż żyli, więc na swój sposób zwyciężali. Jedna z bomb nie zmieściła się w szparze w drzwiach, druga (ta duża, na szynach) nie wybuchła, ale Maciej krzyknął do nich z wagonu eskorty, że lokomotywa nie pojedzie.

– Co z maszynistami? – zapytał Tomasz.

– Gustaw się ich pozbył – oznajmił Maciej, nie wchodząc w szczegóły. – Teraz zabezpiecza nasz cel. Co dalej?

Ziuk wciąż stał na peronie, dyrygując niewidzialną orkiestrą, ale prawda była taka, że każdy z bojowców (mniej więcej) znał swoje zadanie, więc koncert rabunku trwałby i bez niego. Towarzyszki wciąż celowały do wziętych w niewolę klientów bufetu, a z pistoletami w dłoniach wyglądały jak nowoczesne erynie. Edward z obstawą zabarykadował się w stacji telegrafu, jednocześnie przyjmując pozycje ogniowe do ostrzelania ulicy Dworcowej. A towarzysz Wojtek, ów nowożytny Atlas, niósł na ramionach dwa palniki karbidowe.

– Jezu, pojedynczo! – syknął Aleksander.

– Dobrze, odpalę pojedynczo – odparł młody bojowiec, stawiając ładunek na płycie peronu. – To co, prujemy skrzynie?

– Czekaj, może to załatwi nasz dynamitard! – powstrzymał go towarzysz Katajama.

Jednocześnie towarzysz Stefan wszedł do wagonu pocztowego, trzymając w rękach prawdziwą bombę, z ich ostatnią kluską, czyli ćwiartką laski dynamitu. Zniknął w ciemnościach wagonu, a stojący na peronie bojowcy

usłyszeli zaraz potem zgodne „kurwa!” z dwóch gardeł. Nie widzieli, że ich pirotechnik potknął się o związanego żandarma i prawie upuścił ładunek. W porę przytomnie zareagował towarzysz Gustaw, który w ostatniej chwili podtrzymał kolegę.

Ponieważ nie słychać było wybuchu, nic złego się stało. Katajama, Siłacz i Wojciech podeszli do wagonu pocztowego. Nagle Aleksandrem targnęło złe przeczucie. Zatrzymał gestem towarzyszy i dał znak, aby ukryli się przy burcie pojazdu. Sam krzyknął:

– Kto idiota?!

– Co? – odezwał się głos ze środka.

– Hasło: kto idiota?

– Olek. Prawie się wypierdolił z dynamitem! – oznajmił głos ze środka. Prystor stracił cierpliwość i strzelił w jakimś cudem ostałe okno wagonu. – Kurwa, przestań, to ja, Sławek. Komuniści. Odzew: komuniści.

– Co tam się dzieje?

– Wszystko dobrze, zakładamy ładunek. Aleś ty nerwowy!

Towarzysz Katajama był nerwowy, ale on przecież nie został uratowany cudem, gdyż żadna wymierzona w niego kula nie spaliła na panewce. Zdał sobie jednak sprawę, że przesadził. Kolejne strzały, nie dość, że mogły kogoś zabić („nie po to tu jesteśmy”), to alarmowały mieszkańców miasteczka.

– Pospieszcie się.

– To nam pomóż. Trzeba odciągnąć jeńców.

To był faktyczny problem. Arciszewski stanął z pistoletem na wąskiej platformie między wagonami, a Prystor wszedł do środka. Zobaczył tam swoich towarzyszy, bardzo niezgrabnie przenoszących związanych żandarmów.

– Bierz tego za nogi do kantorka pocztowego.

– Czy wybuch bomby ich nie zabije? – zapytał towarzysz Katajama. Rozpaczliwy jęk związanego i zakneblowanego strażnika wskazywał, że nie tylko on myślał o takiej ewentualności.

– E tam! To tylko ćwierć laski. Nic im się nie stanie – zapewnił Sławek, po czym spojrzał na mocującego ładunek towarzysza Stefana. – Prawda?

– Mówiłem: raczej nic poważnego im się nie stanie – odparł dynamitard, a żandarm znów zajęczał żałośnie. – Ale walka o wolność wymaga ofiar. Lepiej, żeby od nich niż od nas.

W końcu sześciu żandarmów i jednego urzędnika kolejowego zamknięto w przedziale pocztowym, a w dodatku przysypano ich listami, co (jak zapewniał towarzysz Stefan) stanowiło zaskakująco dobrą osłonę przed odłamkami. Ładunek został założony, a bojowcy wybiegli z wagonu. Aleksander Lutze-Birk uroczyście odpalił lont.

Wybuch był mało efektowny. Po poprzedniej eksplozji i kilku strzałach nieśmiałe pyknięcie z wnętrza wagonu pancernego zostało od razu zagłuszone przez przerażone pomruki zakneblowanych jeńców. Za to pepeesowcy od razu wrócili do środka. Wojciech odpalił lampę karbidową, aby przyjrzeć się miejscu akcji.

– Pierdel, serdel, burdel! – syknął towarzysz Stefan, przy okazji cytując ulubione przekleństwa Ziuka. – No i co my z tym zrobimy?

Ściana przedziału pocztowego wciąż stała (choć Tomasz wiedział, że fala uderzeniowa mogła naruszyć strukturę desek i zmienić całą przegrodę w odkrywkową kopalnię ostrych drzazg, a ten huragan śmiercionośnego drewna mógł nafaszerować jeńców), a w powietrzu unosiło się kilkanaście listów mających pecha jechać wraz z pieniędzmi. Szafa pancerna została rozpruta, ale w jej wnętrzu znajdowały się mniejsze skrzynki, niby drewniane, ale solidnie okute i z mocnymi zamkami.

– No, jeszcze kilka ładunków? – zapytał Wojtek.

– Zniszczymy pieniądze! – żachnął się towarzysz Stefan.

– No to bierzmy całość.

– Przecież to ciężkie jak kamień młyński!

– Palniki – przypomniał Tomasz. – Mamy dwa palniki przemysłowe. Jak nie stopicie okuć, to przynajmniej wypalicie drewno.

– To zajmie trochę czasu… – mruknął Stefan. – Dajcie znać Ziukowi, a my zaczynamy. Wojciechowski, dawaj karbidówki!

Aleksander nigdy nie słyszał prawdziwego nazwiska młodego towarzysza, ale wtedy zdał sobie sprawę, że jeżeli towarzysz Wojtek nazywa się Wojciech Wojciechowski, to taką konspirację można potłuc o kant poduszki.

– Tomek, osłaniasz ich? – zapytał Arciszewskiego. Gdy ten potwierdził, Aleksander ruszył szukać wodza.

Walery gdzieś zniknął, zapewne udając się na patrol po pociągu. Był prawie kwadrans po jedenastej w nocy, więc od momentu pierwszych strzałów i eksplozji mijał kwadrans. Pasażerowie, przytłoczeni i przerażeni rozwojem wypadków, do tej pory siedzieli cicho, ale to nie mogło trwać wiecznie. „Wejście, wyjście, szast-prast! Tak planowaliśmy i musimy się spieszyć!" – myślał towarzysz Siłacz.

Wreszcie pojedyncze odgłosy zaczęły się dobywać z tylnych wagonów. Ktoś strzelił, ale był to pewnie bojowiec, walący na postrach. Gdzieś płakało dziecko. Po jakimś czasie do tego odgłosu dołączył chór odmawiający różaniec. To były kluczowe momenty akcji. Nie wiedzieli, czy ktoś wysłał sygnał do Wilna. Tak, owszem, grupa szturmowa i grupa pirotechniczna dostały znak, że kontrolka telegrafu została opanowana, ale czy to oznaczało koniec problemów? Zerwany drut można było związać, a nadać sygnał SOS umiał chyba każdy członek rodziny pracowników stacji. Każda minuta się liczyła, a pozorny spokój podczas napadu nie zmieniał faktu, że bojowcy musieli się gotować na bezlitosny pościg.

Z wagonu drugiej klasy dobiegły kolejne dwa strzały. Tomasz powstrzymał chęć opuszczenia stanowiska i sprawdzenia strzelca. „Walery ma wszystko pod kontrolą. Ja pilnuję samego wagonu. Ufamy sobie, każdy wykona powierzoną mu pracę!" – myślał bojowiec, ściskając nerwowo pistolet.

– Jak wam idzie?! – krzyknął w głąb wagonu.

– Idzie, idzie… ale ciężko. Drewno impregnatem nasączane.

– Ja tam mówię: wysadźmy! – dodał Wojciech. – Wszystko wysadźmy, coś z pieniędzy zostanie.

– To wezmę tego pocztowca. Może ma klucze – zaproponował towarzysz Siłacz. – Hej, towarzyszu! – krzyknął do Macieja, który obstawiał wagon pierwszej klasy. – Przejmujesz mój perymetr.

Nie czekając na potwierdzenie, ruszył po pomoc. Wszedł do środka, minął ślęczących nad skrzyniami kompanów i dotarł do przedziału pocztowego. Otworzył drzwi, zbyt szybko i zbyt pewnie. Niemal przypłacił to życiem.

Dwaj żandarmi ocknęli się i oswobodzili z więzów. Czekali na tę okazję, gdyż od razu po uchyleniu drzwi pchnęli w szparę wyrwane z podłogi deski. Gwóźdź jednej przeorał nogawkę i udo Tomasza. Pepeesowiec nie stracił jednak zimnej krwi i pociągnął za klamkę. Obie zaimprowizowane maczugi zaklinowały się w wąskiej szparze. A potem Arciszewski odskoczył do tyłu i wymierzył z browninga w próg.

– No dalej, dalej! – krzyknął, celując w mrok.

Poniewczasie zdał sobie sprawę, że było to posunięcie wielce charakterne, ale mało roztropne, gdyż jeśli którykolwiek z więźniów miał jeszcze coś do walki, może przegapiony podczas szybkiej rewizji nóż, ów nóż mógłby już wystawać z piersi terrorysty. Na szczęście Tomasza desperacki atak żandarmów był ostatnim przejawem ich inicjatywy.

– Poddaję się! Poddaję się! – krzyczał jeden z niedoszłych bohaterów.

– Takiego mi wała! Już raz się poddałeś, kłamco! – krzyknął towarzysz Siłacz.

– Wcale nie. Mnie najpierw bomba ogłuszyła, a potem ktoś z waszych dał mi w mordę i zatkał usta szmatą – zapewnił żandarm, notabene: szczerze. – Teraz się poddaję.

– Dawajcie pocztowca!

– Ja nie chcę! – jęknął urzędnik.

– To Polak – zauważył drugi z przytomnych żandarmów po rosyjsku. – Zabijesz rodaka?

– Nie gadać! A ty wychodź!

W końcu wypchnęli go na zewnątrz, a Tomasz założył skobel na drzwi, chwycił nieszczęśnika pod ramię i zaciągnął do skrzyń. Tam złapał go za włosy i zmusił do spojrzenia na pracę kolegów.

– Towarzyszu, niech nie patrzy! – sprzeciwił się nieoczekiwanie Wojciech.

– Masz na twarzy chustę, nie pozna cię! – zauważył Arciszewski.

– No ale mu się wzrok popsuje od tego karbidowego blasku. Towarzysz też powinien założyć przyciemnione okulary, ale więcej nie mamy… – dodał z troską.

– Dobra, nieważne… – Usadził pocztowca na jednej z nienaruszonych skrzyń. – Słuchaj, musisz otworzyć te kłódki.

– Klucze mają w Petersburgu, a zamknęli je w Warszawie. Nic nie poradzę!

– Kłamiesz! – krzyknął Arciszewski.

W tej samej chwili do wagonu wpadł zdyszany Prystor. Spojrzał na przyjaciela, potem na trzymanego urzędnika i w jednej chwili zrozumiał, o co chodzi.

– Wszystko pod kontrolą, ale musimy się zbierać. Ktoś puścił racę nad miastem!

– Niech otworzy skrzynie. Zaoszczędzimy czas.

Bojowcy spojrzeli na siebie badawczo, chyba czytając własne myśli. A ponieważ wielkie umysły pracują podobnie, niemal identyczny materiał źródłowy musiał prowadzić do tożsamych wniosków. Pojął to nawet schwytany urzędnik.

– W Polsce moich marzeń nie ma tortur… – zaczął powoli towarzysz Katajama. – Nikt nie jest zmuszany do działania pod groźbą przemocy. Nawet więźniowie, najgorsi skazańcy, są traktowani zgodnie z ich prawami i cywilizowanym obyczajem. W Polsce moich marzeń do czegoś takiego nigdy nie dojdzie.

– Nie jesteśmy jeszcze w Polsce twoich marzeń – zauważył Tomasz. – A ty studiowałeś medycynę…

– Nie skończyłem studiów – próbował się wymigać Prystor.

– No to nie składałeś przysięgi Hipokratesa!

– Tomek, ja…

Przerwał im towarzysz Wojtek. Odłożył przygaszony palnik karbidowy (jednak na samym krańcu skrzyni, na tyle blisko pocztowca, że ten wygiął ciało w strunę, oddalając się od źródła ciepła) i kucnął przed jeńcem. Potem wskazał na stojących za nim bojowców.

– Bracie, słyszysz mnie? – zapytał głosem pełnym przejęcia. – Lepiej, byś mnie słyszał, bo to co powiem, może być ostatnią rozmową w twoim życiu. – Urzędnik drgnął i usiłował wygiąć się jeszcze bardziej. – Patrz na tych dwóch zacnych towarzyszy. To moi starsi koledzy i nauczyciele. Jestem dumny, że mogę uczestniczyć w jedne akcji z Katajamą i Siłaczem, rozumiesz? – zapytał, ale pocztowiec pokręcił głową. – Wspaniali to ludzie, uwierz mi na słowo. Cierpliwi, łagodni, muchy by nie skrzywdzili. Ale teraz, w tej wielkiej godzinie, gdy los ojczyzny wzywa, zamienią się w bestie. Nie zabiją cię, o nie, tym bardziej że towarzysz zna się na sztuce felczerskiej. – Wskazał na Aleksandra. – Ale będą podpiekać żywcem, kropić amoniak do oczu, wbijać drzazgi pod paznokcie, dusić mokrymi szmatami, gnieść jądra drzwiami…

– Wojciechu… – szepnął łagodnie Prystor. – Chyba już wystarczy…

– …a potem zamkną cię w tej skrzyni i zakopią… o kurwa! – Młody bojowiec zauważył, że blady jak ściana urzędnik znieruchomiał, a potem nienaturalnie zwiotczał. – Przesadziłem chyba. Ale żyje, prawda?

– Żyje, dzięki Bogu, żyje! To omdlenie nerwowe… Chyba. Dobrze, że nie zawał – mruknął Prystor. Złapał pechowca za lewe ramię, Arciszewski chwycił jego prawe. Zaczęli wynosić go na powietrze.

– No ale próbowałem, co nie? – zapytał niepewnym głosem towarzysz Wojciech, ale zaraz potem wrócił do swojego palnika.

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część szósta, „Kurier Tokijski”, 17 grudnia 1908 roku

Ocknąłem się na podłodze przedziału, widząc nad sobą męską sylwetkę. Kiedy udało mi się skupić wzrok, rozpoznałem młodego wagonowego, który cucił mnie za pomocą mokrej chusteczki i soli trzeźwiących. Jego ruchy zdradzały mieszankę fachowości i zdenerwowania. Nie byłem pewien, czy byłem leczony, czy też tylko przygotowywany do przesłuchania. Możliwość, że młody kolejarz (także Polak przecież) znajduje się w zmowie z porywaczami, była nieprzyjemna, ale całkiem realna.

– Przepraszam, przepraszam… – szeptał młodzik, a ja nie wiedziałem, czy chce wybaczenia za mój nokaut, czy też za to, co dopiero zaczyna robić. – Wziąłem pana za jednego z porywaczy, ale potem…

– Co: potem? – zapytałem słabym głosem.

– No jakby ci bojowcy wzięli Azjatę do spółki? Pan by od razu ujawnił każdą akcję, bo pan, za przeproszeniem, rzuca się w oczy. Nie udałyby im się żadne eksy.

Nie wiedziałem, czym są owe „eksy”, ale zakładam, że chodzi o różne szalone wyczyny ćwiczące odwagę i sprawność bojowców. Nazwa pochodzi chyba od łacińskiego słowa *experientia*. Tak czy inaczej uznałem, że ze strony wagonowego nic mi nie grozi.

– Myślałem, że pan jest w tej bandzie, to uznałem, że chociaż jednego zdejmę – kontynuował młodzik. – Chciałem zrobić to po cichu, więc zaatakowałem napastnika oddzielonego od grupy jak drapieżnik. Chciałem dobrze, a wyszło jak zwykle.

– To pan nie wspiera swoich rodaków? – zapytałem, tak naprawdę nie chcąc znać odpowiedzi na pytanie.

– To skomplikowane – odparł. – W zasadzie chcę, ale bardzo nie tak.

– Wiem, pamiętam. W Tokio spotkałem pewnego działacza socjalistycznego. Najprawdopodobniej to ta sama osoba, która przygotowała ten napad. Chciałem z nim zrobić wywiad, gdyż dowiedziałem się, że proponował naszemu rządowi współpracę w walce z Rosjanami. Ale potem spotkałem w kawiarni innego z waszych ludzi, który przekonywał mnie, że powstanie w Polsce jest przedwczesne i przyniesie tylko ofiary.

– Może spotkałeś pan Romana Dmowskiego – zamyślił się kolejarz. – On ponoć chciał powstrzymać Piłsudskiego przed nierozważnymi inicjatywami. Teraz jest posłem do Dumy.

– Piłsudski?! – jęknąłem zaskoczony.

– Nie, Dmowski. Ale nie czas tu na wykłady. Pomoże mi pan odbić pociąg?

– Ale jak? Nie mam broni, choć nawet zakonnica z mojego przedziału okazała się przezorniejsza.

– Nie wiem jak, ale spróbujemy. To jak: idzie pan?

Zapewniłem, że tak, wstałem, a potem musiałem wstać jeszcze raz, gdyż po solidnym ciosie wciąż kręciło mi się w głowie. Jak to mówią chrześcijanie: „Duch ochoczy, ale ciało słabe". Wreszcie odzyskałem pewność siebie oraz poczucie stron świata, po czym przystąpiłem do działania.

Marsz korytarzem był wykluczony. Bojowcy ustawili bardzo sprytne czujki. Jeden z nich stał w przejściu między wagonem pierwszej klasy a bufetem, drugi: między bufetem a pierwszym wagonem drugiej klasy, i tak dalej. Co prawda pasażerowie pozostawali niestrzeżeni w swoich przedziałach (prócz biedaków z klasy trzeciej), ale każda podróż korytarzem musiała się skończyć alarmem. Musieliśmy dotrzeć do przedziału technicznego w trzecim wagonie drugiej klasy, gdzie znajdował się Antonii Czechow, a co ważniejsze: jego strzelba. Potem chcieliśmy działać tak, jak pozwolą okoliczności.

Bezpieczniejsza trasa wcale nie okazała się taka bezpieczna, ponieważ nie było odwrotu. Musieliśmy udać się górą. Korzystając z osłony ciemności, otworzyliśmy okno, a potem pomogłem Trudnikowi (gdyż tak na imię miał młodzieniec) wdrapać się na dach. Następnie on wciągnął mnie na górę i zaczęliśmy drogę przez mękę. Nie dość, że musieliśmy uważać, to jeszcze balansowanie na dachu wagonu nie było takie proste, jak się nam wcześniej wydawało.

Co prawda noc nam sprzyjała, ale i tak marsz w pozycji wyprostowanej nie wchodził w grę. Mimo że ktoś wyłączył elektryczność na stacji, peron rozświetlały dwie lampy, a bojowcy mieli ręczne latarki naftowe. Chmury wciąż zaścielały niebo, ale każdy powiew wiatru mógł odsłonić księżyc i nas zdemaskować. Dlatego Trudnik szedł na czworakach, w ten sposób dbając też o ciszę, gdyż cztery punkty podparcia były pewniejsze i dyskretniejsze.

Ruszyłem za nim w podobnej pozie, ale i tak ledwo uniknąłem upadku. Wciąż kręciło mi się w głowie, nie w pełni czułem palce rąk, więc nawet chwytając się krawędzi jednej z metalowych płyt na dachu, szedłem z trudem. Ów wiatr, który w każdej chwili mógł przegonić chmury, wydawał mi się morskim sztormem, istnym Kamikadze, tajfunem, który zatopił flotę Kubilaj-chana i uratował naszą Święta Wyspę siedem wieków temu. Dlatego stawiałem niepewne kroki wszystkimi czterema kończynami, kiwając się jak okręt na morzu. Do mojego umysłu wdarła się marynarska piosenka, którą słyszałem podczas rejsu do Rygi.

– „Kiedy rum zaszumi w głowie / Cały świat nabiera treści / Wtedy chętnie słucha człowiek / morskich opowieści!" – nuciłem, póki delikatny kopniak Trudnika nie przekonał mnie do zachowania ciszy.

Dotarliśmy do pierwszej przeszkody: końca wagonu pierwszej klasy. Każdy z pojazdów kończył się niewielką platformą, niemal stykającą się z platformą kolejnego wagonu. Choć były one zadaszone, nadal na górze znajdowała się szczelina około metrowej szerokości: przeszkoda banalnie łatwa do pokonania w normalnych warunkach, w tej sytuacji będąca dla mnie jednak nie lada wyzwaniem.

Trudnik skoczył w noc jak biegacz ruszający do sprintu. Ja musiałem wziąć rozbieg i skoczyłem ciężko. Trafiłem na dach wagonu restauracyjnego, ale zaraz zachwiałem się i prawie stoczyłem na peron. Podtrzymał mnie polski kolejarz i obaj zastygliśmy na długie sekundy, gdy odzyskiwałem panowanie nad kończynami. Wtedy też dostrzegłem towarzysza Ziuka.

Miał na części twarzy chustę, ale poznałem, że jest to wódz bojowców. Stał przed wejściem do budynku dworca, osłaniany przez trzy kobiety z pistoletami, i wznosił ręce jak opiewany w chrześcijańskich świętych księgach Mojżesz nad wodami Morza Czerwonego. Ruszał palcami, jakby dyrygował niesłyszaną muzyką, ale nie mogłem ocenić, czy wydaje komukolwiek komendy tymi znakami, czy po prostu poddaje się upiornemu urokowi sceny. Ostre światło lamp karbidowych cięło czerń nocy jak miecz, rzucając ostre półcienie za biegającymi po peronie bojowcami. Kilkunastu ludzi, zdawałoby się niesterowanych przez nikogo, odbywało ów taniec w niemal idealnej ciszy. Był to widok przejmujący i tajemniczy, gdyż zdawało mi się, że nie jesteśmy o dwadzieścia wiorst od centrum sporego miasta, ale na jakimś tajnym sabacie, misterium dawnych Greków, którzy okrywali całunem mroku do niedawna dumne zdobycze cywilizacji.

Sam budynek stacji był niemal ciemny, rozświetlany lichym światłem lamp ze środka. Biorąc pod uwagę, że pamiętałem jeszcze, jak pięknie te skromne zabudowania były oświetlone tydzień wcześniej o tej samej porze, odczucie, że przeniosłem się do innego, równoległego wobec naszej rzeczywistości świata, było jeszcze silniejsze.

Podnieśliśmy się na kolana i wznowiliśmy żmudny marsz ku środkowej sekcji pociągu. Z każdym ruchem zbliżaliśmy się do źródeł światła, do socjalistycznego kapłana i jego trzech westalek, ale nie mieliśmy wielkiego wyboru. Nie mogliśmy też przewidzieć pewnych niespodzianek.

W którymś momencie nad nami rozbłysła czerwona iskra. Odruchowo przywarliśmy do dachu i zastygliśmy. W ostatniej chwili, gdyż oczy niemal wszystkich obecnych na peronie skierowały się w górę. My nie mieliśmy takiej możliwości, ale Trudnik wytłumaczył mi wszystko szeptem.

– To Witkowski! Uciekł z lokomotywy, ale zabrał ze sobą racę awaryjną, którą odpala się w razie kolizji lub blokady torów. Uciekł poza zasięg pościgu i zaalarmował Wilno. Na pewno przyślą żandarmów na zwiady!

– To dobrze czy źle? – zapytałem.

– Nie wiem – odparł szczerze kolejarz. – Właściwie źle, ale tak trzeba. Ja tu pracuję.

Rozumiałem go aż za dobrze.

Te trzy zdania były taką błyskawicą zetknięcia się z duszą polską. Wszystkie psychologie, wszystkie systematy etyczne, z jakimi się zapoznałem, milczały co do tego, co było najsilniejszą zawsze sprężyną moralną mej duszy. I nie przeczuwałem, że jedna wycieczka na Zachód więcej mi powie niż najwięksi mędrcy naszej literatury. Już studia przedwstępne nad literaturą dotyczącą celu mej podróży zrodziły przeczucia, że zetknięcie się z tym odległym światem będzie najsilniejszym wpływem duchowym, przez jaki w życiu dane będzie mi przejść. Wpływ był o wiele większy, niż przypuszczałem. Na chwilę zdawało mi się, że runął cały mój system myślenia; później, gdy praca myśli zaczęła układać znów wszystko na swym miejscu, przekonałem się, że na wiele rzeczy patrzę z zupełnie przeciwnego niż dotychczas stanowiska. Oto poczułem więź z tym Polakiem, synem dziwnego narodu, rozpiętego między fantazją ich szlacheckich samurajów a poczuciem obowiązku, który jest największą cnotą zarówno najlepszych elit, jak i niezepsutego ludu.

A raca wystrzelona przez sprytnego maszynistę podziałała jak kopniak wymierzony w gniazdo os. Przez chwilę na peronie zrobiło się jeszcze ciszej, potem odezwał się głos towarzysza Ziuka.

– Ruchy, towarzysze… ruchy towarzyszki. Nie mamy wiele czasu. Zaraz ruszą z Wilna!

Na peronie znów zawrzało, tym razem już nikt nie krępował się nastrojem chwili. Rzucane ukradkiem polecenia, klątwy i sapanie wypełniły okolice dworca, co było dla nas okolicznością niezwykle sprzyjającą. Wznowiliśmy nasz marsz, teraz szybciej, nieco mniej ostrożnie. Do krańca wagonu restauracyjnego dotarliśmy w ledwie trzy minuty. Kolejny skok był prost-

szy, choć upadłem ciężko, wzbudzając znaczny huk. Na szczęście nie zwróciło to uwagi stróża między pojazdami.

Trudnik dał mi znak, po czym podniósł się na dwie nogi. Zaczął ostrożnie maszerować, wciąż schylony, ale potem przeszedł do biegu. Skoczył na kolejny wagon z gracją i niemal zniknął mi z oczu. Mimo że wciąż kręciło mi się w głowie, musiałem go gonić. Nie wiedziałem, w którym dokładnie przedziale jedzie strzelba Czechowa, więc nie mogłem stracić z oczu mojego przewodnika. W tej nerwowej sytuacji popełniłem błąd, i to błąd dość poważny: uwierzyłem w nieskończoność swoich sił.

Także wstałem i rozpocząłem bieg. Widziałem, jak Trudnik zatrzymuje się na szóstym wagonie i zaczyna manewrować przy oknie. Sam rozpędziłem się więc i skoczyłem na wagon czwarty. Owszem, wylądowałem na dachu, ale zaraz zmyliłem krok i wciąż rozpędzony energią rozbiegu, padłem na metalowe płyty z głośnym pacnięciem. Tego hałasu nie mógł zignorować nawet bardzo niesumienny strażnik.

Leżałem przez kilka sekund, czekając, co się stanie. Słyszałem nerwowe kroki pode mną i czułem, że jeden z bojowców zbliża się do drzwi wagonu. Potem do moich uszu doszedł głos, zdanie po polsku. Wiedziałem, że to pytanie, choćby z samej intonacji. Ale o co chodziło pytającemu?

– ...? – zapytał pepeesiak z wagonu.

– ...! – odparł inny bojowiec z peronu.

– ...! – powiedział nerwowo pierwszy napastnik. – ...? – dorzucił pytanie.

Brodaty młodzieniec z pistoletem spojrzał na dach pociągu i bez wątpienia mnie dostrzegł. Skierował na mnie mauzera i groźnie indagował:

– ...? ..., kurwa, ... – Słowo „kurwa" już znałem, i nawet domyślałem się jego znaczenia.

– ... – odparłem rozpaczliwie, usiłując powtórzyć odpowiedź bojowca z peronu, zakładając, że ten jeden wyraz to odzew na hasło.

Nie miałem pojęcia, co powiedziałem, ale ów bojowiec na peronie zamarł, a potem opuścił pistolet i wybuchnął śmiechem. Usłyszałem też rechot od dołu, z wnętrza wagonu, więc uznałem, że unieszkodliwiłem co

najmniej dwóch przeciwników. Nie czekałem na dalsze szczęśliwe przypadki. Zsunąłem się na prawą stronę i zeskoczyłem na tę stronę pociągu. Po szybkiej analizie sytuacji podjąłem decyzję tak głupią, że aż niemożliwą do przewidzenia przez bojowców. Schowałem się pod wagon, między koła.

W tym czasie dwóch terrorystów – jeden dość mikrej budowy, a drugi zbudowany jak zawodnik sumo – wyskoczyło na wschodnią stronę torów, myśląc, że uciekam przez pole do odległych o kilkaset metrów zabudowań gospodarstwa. Oddali kilka strzałów, a ja wciąż czekałem. Kiedy mikrus ruszył biegiem w ciemność, a ten tęższy poczłapał za nim z godnością, wyszedłem zza kół i wskoczyłem do wagonu. Tam zderzyłem się z samym Sławkiem Walerym, bezokim postrachem kolei.

– Co się dzieje?! – krzyknął po rosyjsku.

– Pańscy koledzy pobiegli na pole – odparłem. – Chyba kogoś ścigają.

– Wracaj pan do swojego przedziału! – rozkazał socjalista, a ja wykonałem polecenie bez sprzeciwu.

W ten sposób potencjalna katastrofa zakończyła się drobnym sukcesem. Sławek zaczął coś wołać do kompanów (domyślam się, że kazał im przerwać pościg), a ja, nie czekając, aż wściekli gończy wrócą, ruszyłem marszobiegiem (wciąż nieco kręciło mi się w głowie) do mojego przedziału.

Wpuszczono mnie od razu i powitano jak bohatera, choć właściwie niczego nie dokonałem. Może była to jedyna możliwość, aby zostać bohaterem? Przedział podzielił się na trzy obozy: zwolenników działalności zbrojnej (reprezentowany przez pannę Bertę oraz pana Cezarego), amatorów pracy organicznej (siostra Ambona i pan Dulcjusz), a także radykalne centrum w postaci pani Eufemii i pana Fidelisa, którzy zapewne byliby przeciwni jednoznacznemu opowiedzeniu się po którejkolwiek stronie.

Ze zdarzeń najciekawszych: zostałem uściśnięty przez pannę Bertę. Potem zaś wymuszono na mnie streszczenie ostatnich przygód. Nie trwało to długo (gdyż przez większość czasu poza przedziałem byłem nieprzytomny), a potem zapytałem moich współpodróżnych:

– Czego państwo oczekują?

– Nie pomożemy im? – zapytał pan Cezary.

– Ale komu? – zażądał doprecyzowania pan Dulcjusz.

– Niezależnie od moich sympatii nie mam żadnych zobowiązań wobec napastników. Czuję się odpowiedzialny tylko za was, szanowni państwo.

– Panie Cezary, a co pan chciałby zrobić? – zapytał gostynianin. – Ryzykować eskalację przemocy tylko po to, aby jakiś nieodpowiedzialny watażka zdobył nieco gotówki?

– Oni walczą za wolność waszą i naszą! – powtórzył pan Cezary, znów po rosyjsku, więc poczułem, że to ja jestem głównym adresatem owej deklaracji.

– Może zaczniemy od zatroszczenia się o życie nasze i ich, to jest innych pasażerów – odparł przewidywalnym argumentem pan Dulcjusz. – Panu łatwiej być chojrakiem, bo się pan nażył już, a my nie!

– Bo widzi pan, celem życia nie jest przeżycie! – Weteran wcale się na takie dictum nie obraził, a wręcz zapalił do dalszej dyskusji.

– A co takiego? – zapytał przedsiębiorca.

– Ludzie mają swoje cele, mają swoje ambicje, mają swoje ideały i za to walczą i umierają, a pan chce tylko żyć! To niech pan sobie żre i żyje dalej…

– Mam nadzieję, że będę miał za co żreć i żyć dalej, panie Cezary!

– Ciszej tam! – krzyknął zawodnik sumo.

Nie zauważyliśmy, jak nasze podniesione głosy sprowadziły niechciane zainteresowanie. W pewnym, przegapionym przez nas momencie drzwi do przedziału się otworzyły i stanął w nich gruby terrorysta. Kiedy na niego spojrzałem, zamarłem, niepewny, czy mnie nie pozna. Dyszał jeszcze po szybkim marszu, a w dodatku jego cierpliwość wydawała się na wykończeniu. Z bliżej nieokreślonego powodu jednak ignorował moją obecność.

– Koniec z tymi sejmami! – krzyknął i potrząsnął pistoletem. Ten wypalił, co zaskoczyło zarówno pasażerów, jak i strzelca. – Cisza! – powtórzył już jakby mniej pewnie i zatrzasnął drzwi.

– Wygrywamy? – zapytał jeszcze pan Cezary, ale odpowiedziało mu milczenie.

Wtedy ciszę przedziału rozerwał wrzask panny Berty. Dziewczę wstało, wyciągnęło dłoń ku górze i trwało, krzycząc, aż gruby bojowiec znów otworzył drzwi. Na jego twarzy kipiała wściekłość.

– Czego tam?!

– Zabiłeś! Zabiłeś! On nie żyje! – szlochała chuda Berta.

– Kto nie żyje? – dociekał intruz.

– Zastrzeliłeś tego, co na dachu!

– Ktoś jest na dachu? – zapytał bojowiec i wybiegł z przedziału.

Serce mi zadrżało, gdyż pomyślałem, że zabłąkana kula trafiła dzielnego Trudnika. Ale przecież kolejarz powinien być już daleko. Spojrzałem więc w górę, w punkt, który tak przeraził Bertę. Kula weszła pod kątek, w ścianę tuż pod sufitem, nad półką na bagaże. Zauważyłem, że między pakunkami zbiera się i skapuje czerwona ciecz. W przedziale zapachniało krwią.

– Nie żyje… – powtórzył grobowym głosem pan Dulcjusz.

– *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua…* – zaczęła szeptać siostra Ambona.

Mnie jednak kilka szczegółów tej sceny przeszkadzało, choćby fakt, że tyle krwi spłynęło z dachu tak szybko. Jeśli postrzelony byłby kolejarz na górze, do środka przedostałby się tylko ułamek posoki.

– Jezu, Fidelciu, to nasze! – krzyknęła pani Eufemia, a jej małżonek wskoczył na siedzenie i zaczął grzebać w bagażach.

Panna Berta wciąż krzyczała, aż do czasu, gdy siostra Ambona wyjaśniła jej, że kula stłukła słoik z czarną polewką, zabrany przez siedzące w przedziale małżeństwo. Co do zupy, to mogę zaświadczyć, że danie to jest egzotyczne, ale dobrze przyrządzone należy do smacznych oraz odżywczych. Nie to jednak było najważniejsze w owej chwili.

Wyjrzałem przez okno. Zauważyłem poruszenie na peronie, a także przy krańcu naszego wagonu. Dwóch bojowców z trudem podsadzało opasłego kolegę na dach, zapewne myśląc, że znajdą tam martwe ciało.

– ...! – krzyczał sumoka.

– ..., kurwa! – odpowiedział mu zmęczony bojowiec.

Na to małe pandemonium uwagę zwrócił dyrygent całego koncertu. Towarzysz Ziuk spojrzał na nasz wagon, najpierw na człapiącego po jego dachu olbrzyma, a potem na przedziały pasażerskie. Jego wzrok padł też na mnie.

– Ty! – syknął, wskazując mnie palcem.

– Ja – odparłem, wiedząc, że zaprzeczanie nie ma sensu.

A wódz bojowców rzucił komendę do swoich przybocznych. Dwóch z nich ruszyło ku wejściu do wagonu. Wiedziałem, że idą po mnie. Odskoczyłem od okna i zwróciłem się do współpasażerów.

– Cokolwiek mi zrobią, nie zrobią tego tutaj. Do zobaczenia państwu.

Potem zaś wybiegłem z przedziału i ruszyłem na tył pociągu, z dala od spodziewanego pościgu. Nie miałem żadnego planu, ale zakładałem, że im więcej zamieszania zrobię, tym więcej czasu dam Trudnikowi, aby zdobył broń. Byłem niemal pewny sukcesu, gdy usłyszałem ciężkie tupanie nade mną, na dachu. Oto sumoka także biegł do północnych drzwi, a w dodatku robił to z niesamowitą prędkością, udowadniając fizyczną prawdę, że ciężki rozpędzony obiekt trudno zatrzymać.

Myślałem, że mi się uda, ale kiedy przebiegałem między wagonami, spadł na mnie straszny ciężar i posłał mnie na podłogę platformy następnego wagonu. Po raz drugi tego wieczoru zostałem znokautowany.

Wielki bojowiec trzymał mnie za kark, aż przybyli mu z odsieczą towarzysze. Potem sapnął coś zdecydowanym tonem i legł na podłodze obok mnie. Jednak natychmiast potem poczułem silny chwyt dwóch napastników. Nie byłem w stanie stawiać jakiegokolwiek oporu.

Powlekli mnie przez peron do głównych drzwi dworca. Tam stał Piłsudski oraz jego trzy pretorianki. Jedna z nich złapała mnie za rękaw i obróciła do siebie. Potem powiedział coś po polsku, a widząc moje zmieszanie, powtórzyła po rosyjsku.

– Ja to dla męża robię. Nie dla pieniędzy, nie dla sławy, ale dla mojego Januszka. Jesteś dziennikarzem, napisz o tym!

– Przepraszam, ja pani nie znam – odparłem, choć domyślałem się, z kim mam do czynienia.

– Regina… Anastazja – powiedziała i straciła całe zdecydowanie. Nawet odwróciła mnie, jakbym był manekinem w pracowni krawieckiej.

Tak oto stanąłem oko w oko z towarzyszem Z, legendą polskiego podziemia i wodzem owego napadu. Mierzyliśmy się wzrokiem, chyba równocześnie okazując podobne zdziwienie. To nie było nasze pierwsze spotkanie. Ja poznałem go po wąsach, których nie zdołała zakryć chusta. Po czym poznał mnie Polak, nie wiem.

– Znowu się spotykamy, panie…

– Kobayashi Osamu, korespondent „Kuriera Tokijskiego" – podpowiedziałem. – A pan…

– Proszę mi mówić: towarzyszu Z.

– Czyli nie Piłsudski? – zapytałem odruchowo, popełniając poważny błąd. – Dobrze, panie towarzyszu Z.

– Skąd znasz moje nazwisko?

– Z Tokio, rzecz jasna. Wziął mnie pan za agenta kontrwywiadu i poturbował. Miałem prawo do pewnych odpowiedzi w mojej redakcji – przyznałem.

Piłsudski podkręcił wąsa (nie było to łatwe z powodu chusty) i machnął ręką, jakby chciał odgonić nieprzyjemny wątek rozmowy. Zaraz potem wskazał dworzec, następnie pociąg, a dokładnie – wagon pancerny.

– Widzisz to, panie Japończyku? Napiszesz o tym w swojej gazecie.

– Jeśli to przeżyję, na pewno przygotuję relację – odparłem ostrożnie.

– Ale czy rozumiesz, co tu się dzieje? Oto naród polski się budzi. Dzięki tym pieniądzom nasza działalność rozwinie się, a car będzie się bał!

– Jak na razie boją się pasażerowie – odparłem. – Ale proszę się nie martwić, nie zamierzam nikogo podburzać przeciwko porywaczom.

– Myślałem, że mnie zrozumiesz… – westchnął Ziuk. – Ale to nie ma znaczenia. Ważne, byś u siebie opisał wszystko, co widziałeś! My to wszystko dla Polski robimy!

– I dla Janusza! – dopowiedziała kobieta z szalonymi oczyma.

Ziuk, zamiast ją zgromić, dodał poważnie:

– I dla naszych towarzyszy, których rodzinami się opiekujemy. Dla uwięzionych, rannych, starych weteranów ruchu. Chodź pan, panie Japończyk!

Ruszył ku wagonowi pocztowemu osłaniany przez trzy towarzyszki. Poszedłem i ja, nie będąc pewien, czy jestem traktowany jako cenny i celebrowany świadek, czy jednak zakładnik. Ta druga opcja była nie tylko mało prawdopodobna, ale i niezbyt mądra, gdyż rosyjscy żandarmi mogliby jakoś przeboleć zabicie Japończyka. Wciąż jednak mogłem znajdować się w poważnych tarapatach.

Starałem się nie rozglądać za bardzo, ale spojrzałem ku mojemu przedziałowi. W oknie zauważyłem głowy panny Berty, pana Cezarego i pana Dulcjusza. Na ich twarzach strach mieszał się z żądzą czynu, choć miałem nadzieję, że nie planowali żadnej odsieczy. Szukałem też Trudnika, ale młody kolejarz gdzieś zniknął. Wyobrażałem sobie, że zaczaił się w mroku ze strzelbą Czechowa i czeka stosownej okazji.

A my dotarliśmy do wagonu. Dwóch bojowców pracowało z palnikiem, czterech innych uderzało młotami i łomami w kłódki. Zapewne nie tak wyobrażali sobie udany napad, w którym obezwładnienie eskorty i zastraszenie pasażerów zajęło trzykroć mniej czasu niż próby dostania się do gotówki.

Bałagan wokół wejścia świadczył, że bojowcy chwytali się dość rozpaczliwych sposobów, aby pokonać ostatnie przeszkody. Na pewno rzucali skrzynki z dachu na tory (o czym świadczyły rozsypane drzazgi), używali młotów i pistoletów (wreszcie zrozumiałem, dlaczego padło tyle strzałów, już po unieszkodliwieniu eskorty), a także kwasu. Jeden z nich kłócił się z drugim, machając trzymaną w ręku laską dynamitu. Z szybko wyrzucanych z siebie zdań po polsku nie zrozumiałem wiele, ale słowa „alarm” i „żandarmi” udało mi się wychwycić.

Ziuk nie zważał na te obawy. Wszedł w drzwi wagonu pocztowego i zachęcił mnie, abym podszedł bliżej. Wspiąłem się na górę, spojrzałem do środka, aby zobaczyć koniec ciężkiej pracy. Dwóch bojowców z palnikiem karbidowym rozpruło właśnie ostatnią szafę pancerną. W jej środku widać było opasłe wory pieniędzy. Socjaliści zdjęli przydymione okulary i spojrzeli na wodza. Ich uśmiechy promieniowały nawet spod chust.

– Wiktoria! – oznajmił jeden z nich. – Wiktoria!

Piłsudski poklepał go po ramieniu, szepnął coś do ucha i wskazał miejsce na peronie, do którego nadjeżdżała bryczka. Bojowiec podniósł palnik, jego towarzysz zabrał rękawice i ciemne okulary, po czym ruszyli na zewnętrz. Wtedy spostrzegłem, że nie jestem sam.

Trudnik Bożydar czaił się w cieniu. Stał między stojakiem na palta a ścianą przedziału pocztowego. W nikłym świetle można było dostrzec trzymany przez niego podłużny kształt. Wiedziałem, że to nie rękojeść parasola, ale niewielki pistolet. Czekał, ale nie wiedziałem na co. Szybko jednak nasze spojrzenia się spotkały, a młody Polak wyciągnął dłoń i wykonał nią sugestywny gest.

Spojrzałem w tył. Obok mnie stało dwóch nieznanych mi bojowców, straszny Sławek Walery ze szklanym okiem, a także Regina Brzeszczot-Lepiszcze. Pozostali uczestnicy akcji albo trwali na stanowiskach, albo pomagali kruszyć zamki w mniejszych skrzyniach. Właściwie nikt nie patrzył na mnie, zrobiłem więc to, o co prosił mnie Trudnik Bożydar (a przynajmniej tak mi się wydawało).

Zatrzasnąłem za Piłsudskim drzwi.

AP, Rady dla przyjezdnych, część czwarta, „Codziennik Wileński”, 26 września 1908 roku

Skoro już rozmawialiśmy o napadach na pociągi, może napiszemy coś o owianym tajemnicą Samodzielnym Korpusie Żandarmów. Formacja ta, choć składa się z weteranów armii i zasłużonych śledczych, stanowi zbrojne ramię Ochrany, jeśli chodzi o trzymanie porządku na kolei. Ale liczne skargi składane na tę formację każą nam zapytać, czy legenda jednostki nie jest znacznie przesadzona. Aby rozwiać kilka mitów dotyczących służby na kolei, przytoczymy tu fragmenty wywiadu z porucznikiem Dymitrem Rżewskim (który w całości ukazał się naszym piśmie 4 sierpnia br.).

AP: Czy uczciwy obywatel ma się czego obawiać przy spotkaniu z żandarmem?

p. DR: Absolutnie nie! Musimy pamiętać, że Samodzielny Korpus Żandarmów, tak jak inne służby porządkowe, zostały utworzone z myślą o losie wszystkich poddanych cara i spokojności państwa. Owszem, ma to być formacja groźna, ale bać się jej mają przestępcy i wichrzyciele. Pewna, powiedzmy, powaga instytucji jest konieczna, tak samo jak groźne oblicze ojca kochającego swoje dzieci.

AP: Ostatnio w prasie czytamy o aktywności Korpusu raczej w kontekście masowych aresztowań i pacyfikacji demonstracji.

p. DR: Niestety, takie obowiązki spadają na nas coraz częściej. [Artykuł skrócony na wniosek Wileńskiego Komitetu Cenzury]. Sądzę więc, że wszystko zmierza ku lepszemu.

AP: Czy jednak te wydarzenia nie tworzą niezdrowej atmosfery wokół żandarmerii? Jak pan ocenia sprawność kolegów po fachu i ich podejście,

zwłaszcza do wystąpień masowych?

p. DR: Dobrze, choć w instytucji działającej na terenie całego Imperium można wskazać różnice tak w stylu działania, jak i skuteczności służby. [Artykuł skrócony na wniosek Wileńskiego Komitetu Cenzury]. Nieprawdaż?

AP: Nie mnie o tym sądzić, jestem tylko niezależnym dziennikarzem. [Artykuł skrócony na wniosek Wileńskiego Komitetu Cenzury].

p. DR: I przy tym pozostańmy, jeśli łaska.

AP: Panie poruczniku, dlaczego w takim razie przez trzy ostatnie lata liczba napadów rabunkowych na urzędników państwowych, zwłaszcza pocztowych i kolejowych, tak wzrosła?

p. DR: Moja odpowiedź może wydać się paradoksalna, ale proszę się nad tym zastanowić. Im państwo jest bogatsze, tym więcej można ukraść. Z każdym rokiem rozwój Imperium skłania większą liczbę desperatów do sięgnięcia po przemoc. Ba! Choć nastąpił znaczny rozwój technologiczny ułatwiający nam złapanie przestępców, to ten sam rozwój ułatwia przestępcom robotę. Napady na kolei nie byłyby możliwe, gdyby nie zbudowano kolei, nieprawdaż?

AP: Ale ilość doniesień medialnych o przestępstwach na kolei rośniej jeszcze szybciej niż długość aktywnych linii.

p. DR: To optyka mediów. Coraz więcej gazet donosi o sprawach kryminalnych, a przy okazji: coraz więcej spraw jest wykrywanych.

AP: A dlaczego Korpus nie może poszczycić się takimi sukcesami w chwytaniu sprawców na gorącym uczynku?

p. DR: [Artykuł skrócony na wniosek Wileńskiego Komitetu Cenzury] Poza tym, to jak pan sobie to wyobraża? O większości sukcesów żandarmerii się nie słyszy, składa się na nie ciągłe odstraszanie napastników. To tak jak lekarz, którego chwali się, gdy wykuruje chorobę, ale mało kto docenia jego długoletnie starania, aby zachować pacjenta w dobrym zdrowiu.

AP: Ale skoro już nastąpi napad…

p. DR: No i co mają żandarmi robić? Jeśli się tacy szubrawcy na atak zdecydują, to pewnie przewyższają liczebnie obrońców. Ilu strażników jest w przedziałach pocztowych? Sześciu? Na krótszych trasach nawet czterech czy trzech. A terrorystów może być kilkudziesięciu, czasem wmieszanych wśród pasażerów, tak samo jak zaczajonych na dworcach. I takich czterech mołojców może się zabarykadować w wagonie pancernym, ale cóż wtedy? Pasażerom nie pomogą, bo jak? Kiedy tylko otworzą drzwi, to zaraz ich przeważające siły bandytów wystrzelają, albo wrzucą dynamit lub gazowe bomby. Rolą żandarmów nie jest pokonanie napastników, ale utrzymanie oporu do czasu przybycia posiłków.

AP: Czyli to odpowiedzialność łączona z policjami miejskimi i lokalnymi oddziałami wojska...

p. DR: Dokładnie! Jak mawiali starożytni Rzymianie: *nec Hercules contra plures*, czyli: kiedy ludu kupa, i Herkules [artykuł skrócony na wniosek Wileńskiego Komitetu Cenzury]. Sposobem na pokonanie wroga jest przełamanie jego przewagi. Dlatego dla terrorystów liczy się każda minuta. Kluczowe jest dobre wykorzystanie sposobów przekazywania informacji. Jeśli bandyci uszkodzili kable telegrafu, trzeba je powiązać. Jeśli jest to niemożliwe, należy użyć rac. W ostateczności gwizdy i sygnały trąbkami myśliwskimi także mogą spełnić swoją rolę.

AP: A zdarzyło się panu porucznikowi, że obsługa pociągu albo pasażerowie sprzyjali napastnikom?

p. DR: Nigdy. To niełądnie podejrzewać uczciwych poddanych cara, a tym bardziej pracowników towarzystw kolejowych o tak niecne intencje. Oczywiście prócz zamaskowanych wśród pasażerów terrorystów. W teorii można uznać ich za pasażerów, jeśli kupili bilety. [Artykuł skrócony na wniosek redaktora naczelnego]. Poza tym pamiętajmy, że praca na kolei to sprawa nieprosta. Niedopełnienie obowiązków służbowych, także z powodu udziału osób trzecich, wiąże się dla kolejarzy z poważnymi konsekwencjami. Dlatego też robią oni wszystko, by powstrzymać taki napad.

AP: A jeśli jednak do kradzieży dojdzie? Czego mogą się spodziewać sprawcy?

p. DR: Tego, że państwo rosyjskie nigdy nie ustanie, nim nie ukarze winnych. Nie zaznają do końca życia spokoju, gdyż będą ścigani wszelkimi siłami policji oraz wojska. Ten, kto podnosi rękę na państwo, jest zdrajcą, a kolej to krwiobieg nowoczesnego państwa. Jeśli czytają to ludzie, którym po głowie chodzi podobna zbrodnia, niech już teraz zaczną się bać. Mówię to ja, porucznik Dymitr Rżewski, z Samodzielnego Korpusu Żandarmów!

AP: Dziękuję za rozmowę!

Najgorszy kurs Bożydara Trudnika, 26 (i trochę 27) września 1908 roku

Młodemu wagonowemu nie uśmiechało się ratować pociągu w pojedynkę. Właściwie nie uśmiechało mu się także ratowanie go w duecie z Japończykiem, a nawet w ogóle. Mimo to działał, pchany tym rodzajem automatyzmu, który wyciska z człowieka najgłębsze pokłady kreatywności.

Gdy wreszcie ocucił zaskoczonego Azjatę, zaczął się zastanawiać, co właściwie może zrobić. Walka z całą gromadą napastników mijała się z celem. On jeden nie da rady pokonać ich wszystkich, to oczywiste. Mógł unieszkodliwić kilku, o ile po jego stronie pozostałby efekt zaskoczenia. Ale i w ten sposób ryzykował życiem pasażerów, którzy mogliby znaleźć się w strefie walki.

Nie wierzył, że nikt nie pomyślał o nawiązaniu łączności. To zresztą nie był jego obowiązek. On, podpisując umowę z Towarzystwem Rosyjskich Dróg Żelaznych, zobowiązał się zadbać o pasażerów, i to zamierzał robić. Zdobycie strzelby Czechowa było tylko pierwszym etapem działania. „Co z tego wyjdzie: zobaczymy!" – pomyślał kolejarz.

Ta myśl już zupełnie uspokoiła Bożydara, który mógł się skupić tylko na swoich bezpośrednich obowiązkach. W kilku słowach streścił sytuację niespodziewanemu sojusznikowi i podjęli niezbędne decyzje. Japończyk nadal nie mógł się otrząsnąć po zadanym ciosie, ale dziarsko udawał gotowego do walki.

Nie bez trudu wydostali się na dach i ruszyli do przodu. Cudzoziemiec był wciąż zszokowany, ale i na Trudniku sytuacja odcisnęła piętno. Ukrywał zdenerwowanie szybkimi ruchami i pozorami pewności siebie. Asekurował skoki Japończyka, choć sam też nie czuł się dobrze, wędrując po dachu. Kiedy zrozumiał, że nawet dla bezpieczeństwa powinni trzymać się

z dala, przyspieszył, i dlatego nie mógł pomóc towarzyszowi, gdy ten zaalarmował napastników. Za to bezlitośnie wykorzystał zamieszanie wywołane przez dziennikarza.

Kiedy znaczna część wart goniła japoński wiatr (ponoć zwany „kamikadze") w polu, on sprawnie wślizgnął się do przedziału Antoniego Czechowa. Kontroler zaś siedział na podłodze ze strzelbą na kolanach i płakał.

– Panie Antonii... tylko spokojnie! – pocieszył Rosjanina.

– Jestem beznadziejny! – szlochał starszy kolejarz. – Niech sam pan spojrzy! – Wskazał na podłogę i już właściwie niczego nie musiał tłumaczyć. Pod ścianą leżało puste pudełko po nabojach. Samych ładunków nigdzie nie było widać, ale Bożydar zauważył szczelinę w podłodze pod ławą, w samym rogu pomieszczenia.

– Wysypały mi się. A tam dziura była, podłoga pękła po tym zderzeniu pod Pskowem. Mieli załatać w stolicy, ale...

– Przecież pan i Michał wypchaliście to pakułami...

– No i naboje się tam zatrzymały. Ale ja chciałem je wyciągnąć, poruszyłem szmaty i... poszło...

– Wszystkie?

– Wszystkie – potwierdził Czechow. – No, prócz dwóch, ale z nich jeden jest zwietrzały, a drugi to już nie wiem. – Wcisnął mu w dłonie strzelbę z jedną załadowaną komorą. – Wszyscy myśleli, że mamy się czym bronić, a tu nic, porażka! Strzelba Czechowa nie wystrzeli!

– Raz może – zauważył Bożydar, ale sam od razu zrozumiał, jak desperackim posunięciem byłaby walka z kilkunastoma napastnikami za pomocą jednego strzału. – A kto może mieć naboje? – zapytał zaraz potem. – Pamięta pan jakiś pasażerów, myśliwych albo wojskowych?

– No coś pan, nie wolno tak w pociągu...

– Damom pozwalają – zauważył Bożydar. – A w każdym razie ich nie rewidują.

Sam zaczął intensywnie szukać w pamięci potencjalnych posiadaczy broni, w dodatku takich, którzy byliby skłonni im pomóc. Od razu wspo-

mniał słowa japońskiego dziennikarza i nabrał lichej nadziei.

– Panie Antonii, nie denerwuj się. Zaraz coś wymyślimy. Pan tu poczeka, dobrze?

Nie czekając na reakcję kolegi, znów otworzył okno, rozejrzał się po peronie, a widząc, że coś przykuwa uwagę wszystkich z przodu pociągu, znów wspiął się na dach. Kolejny raz kusił los, ale uznał, że skoro doznał takiego pecha, że Czechow zgubił osiemnaście z dwudziestu nabojów do strzelby, teraz należy mu się łut szczęścia jak psu buda.

Nie był na sto procent pewien, gdzie siedziała siostra zakonna. Pamiętał, że był to czwarty wagon, gdzieś w środku. Zastanawiał się, jak sprawdzić ową zagadkę, gdy Niebiosa zesłały mu odpowiedź, przy tym omal go nie zabijając.

W środku wagonu padł strzał, a kula przeszła tuż obok stopy Trudnika. Kolejarz chciał runąć na dach, ale w ostatniej chwili powstrzymał się, pojmując, że w ten sposób zdradzi swoją obecność. Dlatego wyprostował się i czekał na dalszy rozwój wypadków.

Ktoś na dole krzyknął, potem rozległ się odgłos otwieranych nagle drzwi. Bożydar postanowił, że ruszy na odsiecz dopiero po drugim strzale, ale sytuacja zrewidowała ten plan. Usłyszał głośne pytanie: „Ktoś jest na dachu?", i nie rozumiejąc, jakim cudem został wykryty, ruszył długimi susami do północnego krańca wagonu.

Potem usłyszał odgłosy walki w wagonie. Padł płasko na dach i ostrożnie wyjrzał zza krawędzi. Zobaczył, jak dwóch napastników wlecze unieruchomionego Japończyka wprost ku budynkowi dworca. Tym samym wagon pozostał bez warty, a Bożydar Trudnik nie zwykł odpuszczać takich okazji.

Zwinnie opuścił się na podłogę i ruszył do przedziału zakonnicy. Nie namyślając się długo, szarpnął za klamkę i wcisnął się do środka. Powitało go groźne spojrzenie siostry zakonnej i pana Derringera (nie osobiście, acz *per procura*, za pomocą pistoletu kalibru .22 cala).

– Żadnych numerów, ręce do góry! – syknęła zakonnica.

– Siostro, to nasz wagonowy! – zauważyła przytomnie dziewczyna siedząca przy oknie.

– Z kim ty trzymasz? – zapytała przedstawicielka *Ecclesia Militans*.

– No właśnie: z kim? – dodał siwy mężczyzna trzymający swoją laskę jak szablę.

Coś w wyglądzie tej dwójki podpowiedziało Bożydarowi, że niekoniecznie oczekują tych samych odpowiedzi.

– Ja chcę ratować pana Osamę! – zadeklarował Trudnik. – Chyba tak się nazywa…

– Widzi pan, co wyprawiają pańscy idole? – zapytała zakonnica, patrząc na starca. – Zaraz naszego Japończyka wypatroszą!

– Co siostra mówi, pewnie go wzięli, aby zrobił wywiad z bojowcami. – Potem spojrzał na wagonowego. – Ale na wszelki wypadek kryj się pan, aby jakiejś afery z tego nie było!

– Siostro Adelajdo… – powiedział ubrany w rozchełstany garnitur mężczyzna, zwracając się do szarytki. Patrząc na długą szyję kobiety, Bożydar nie mógł opędzić się od wrażenia, że wygląda jak ambona. – Chyba można już opuścić ten pistolet.

– Dobrze, panie Dominiku. – Zakonnica wsunęła broń pod niewielką książkę podpisaną *Tajny agent*. – To co mamy robić? A jeśli faktycznie zastrzelą pana orientalnego?

– Czy pożyczy mi siostra ten pistolet? – zapytał wagonowy. – Obiecuję, że postaram się odbić pana Osamu. – Widząc niedowierzanie na twarzy kobiety, dodał: – Na słowie kolejarza polegaj jak na Zawiszy!

– I znowu będziesz pan łaził po dachach? – rzuciła kobieta w średnim wieku, zajęta wycieraniem walizki z ciemnego, pachnącego tłuszczem płynu.

– Już nie muszę – odparł kolejarz.

Z gracją zabrał siostrze Adelajdzie mały pistolet, po czym zdał sobie sprawę, że dwulufowy derringer zapewnia mu ledwie dwa razy tyle amuni-

cji, co strzelba, a w dodatku roztacza znacznie mniejszą aurę strachu. Zakonnica zrozumiała jego myśli bez słów i podała mu woreczek z nabojami.

– Nie zabijaj pan, jeśli nie musisz. Ci szubrawcy muszą się wyspowiadać przed śmiercią.

– To bohaterzy – zaprzeczył starszy radykał. – Szkoda, że porwali pana Japończyka.

Trudnik ukłonił się i wyszedł z wagonu. Na korytarzu wciąż nie było wart, więc dobiegł do najbliższych drzwi, wysiadł na wschodnią stronę torów i ruszył dalej, osłonięty przed bojowcami z peronu całym składem pociągu. Musiał się schylić na wysokości wagonu restauracyjnego, a potem przy pierwszej klasie (tego wciąż pilnowali napastnicy), ale bez przeszkód dotarł do wagonu pancernego. Wszedł do niego przez wciąż otwarte drzwi od strony lokomotywy.

– Oto naród polski się budzi. Dzięki tym pieniądzom nasza działalność rozwinie się, a car będzie się bał! – grzmiał ktoś od strony dworca.

Bożydar zauważył blask światła po drugiej stronie wagonu, jednak uznał, że bojowcy są tak zajęci próbą sforsowania skrzyń z łupem, że nie zwrócą na niego uwagi. W mroku dotarł do przedziału poczty, otworzył go, aby zobaczyć obraz nędzy i rozpaczy. Oto pięciu związanych i jeden nieprzytomny mężczyzna leżeli pokotem na całej powierzchni podłogi. Na jego widok jeden z żandarmów pokiwał smętnie głową, a Trudnik zamknął drzwi bez słowa. Potem zaś przemknął do stojaka z nadpalonymi od eksplozji płaszczami. Sięgnął do skrzynki przyniesionej przez napastników, wybierając kilka przedmiotów na chybił trafił. Już za trzecim razem znalazł to, czego szukał. Cofnął się więc, okrył wiszącymi ubraniami i znieruchomiał.

Do drzwi wagonu podeszło kilka nowych osób. Trudnik rozpoznał w nich prowadzonego (chyba!) siłą Japończyka oraz wodza napastników, zwanego Ziukiem. Zamienili kilka zdań z operatorami palnika, aż w końcu mężczyźni zostawili łup dowódcy. Ziuk wszedł zaś do wagonu i zwrócił się do Azjaty.

Bożydar dostrzegł, że właściwie nikt nie zwraca uwagi na wodza. Ten też zapomniał się w głoszeniu swego przekazu do dziennikarza, a kolejarz dostrzegł szansę dla siebie. Delikatnym gestem zwrócił uwagę Azjaty, a potem wskazał drzwi. Osamu skinął głową i pociągnął za krawędź.

W wagonie zapadłyby absolutnie ciemności, gdyby nie wciąż żarzący się palnik karbidowy. Towarzysz Ziuk od razu spojrzał na ten suchy blask, który zaczął się szybko podnosić. Gdy zmysły obu mężczyzn przywykły do nowego oświetlenia, obaj mogli się zmierzyć wzrokiem.

– Ani kroku, bo będzie bolało! – syknął kolejarz.

– Ja też potrafię w mordę bić – odparł bojowiec.

Wtedy jednak Bożydar podkręcił lampę, odsłaniając więcej szczegółów, bardzo niemiłych pepeesowcowi. Oznajmił grobowym głosem:

– Uważam, że w tym przypadku siła mięśni nie będzie decydująca.

Józef nie widział całej sylwetki kolejarza. Ta była w większości zasłonięta. Trudnik postawił przed sobą niewielki stołek, a na nim oparł wyrwane eksplozją drzwi pancernej szafy. W ten sposób ów rycerz nowych czasów ukrywał niemal cały tułów grubą blachą. W prawej ręce trzymał niewielki pistolet, a w lewej… Cóż, w lewej…

– No i jaki jest twój plan, spryciarzu? – zapytał Ziuk, patrząc na lewą dłoń Trudnika. Młodzik trzymał w niej na wpół odkręcony palnik karbidowy i laskę dynamitu. – Nie muszę cię nawet trafić w głowę. Upuścisz kluskę i po tobie.

– Właśnie to jest mój plan. Jeśli do mnie strzelisz, obaj zginiemy!

– Aha, no to nie strzelę – mruknął nerwowym głosem bojowiec.

– Rzuć broń!

– Chyba śnisz! – odparł Piłsudski. – Nie poddam się byle chłystkowi pracującemu dla Moskali.

– Poddasz się pracownikowi kolei, który może cię zastrzelić.

– No dobrze, ubijesz mnie i co potem? Walery i reszta usłyszą strzał i cię załatwią. Czy moje życie jest warte twojego?

– Nie schlebiaj sobie, bandyto – powiedział Bożydar, choć sam ze zdziwieniem zauważył, że słowo „bandyta" nie zabrzmiało tak surowo, jak zamierzał je wypowiedzieć. – Wszystko zakończy się dobrze. Nikt tej nocy nie zginie.

– Walery chyba kropnął tego porucznika w pierwszej klasie…

– Nikt już więcej nie zginie – uściślił kolejarz. – Rzuć broń, weź te dwa worki, które wydobyliście, i uciekaj.

– Co takiego? Nie sądzisz chyba, że oddam pistolet, a potem dam się zastrzelić z dowodami napadu w ręku?

Płomień z palnika niemal lizał spód laski dynamitu. Widok ten hipnotyzował i ściągał wzrok Ziuka ku suchemu blaskowi. Bojowiec z trudem zmusił się, aby nie patrzeć w światło. Oślepiało go, odbierając chyba ostatnią przewagę, jaką miał nad szalonym kolejarzem.

Wtedy Józef zamknął oczy, odgonił latające przed oczyma mroczki i paniczne myśli. Gdy znów podniósł powieki, zaczął mówić, a jego głos miał w sobie spokój i władczość.

– Mówisz do mnie po polsku. Jesteś Polakiem, czy tego chcesz, czy nie. Dlaczego ich wspierasz? Dlaczego dla nich pracujesz?

– Dlaczego pracuję dla Towarzystwa Dróg Żelaznych? – zapytał młodzik. – A dlaczego ty napadasz na pociągi?

– Ja zapytałem pierwszy.

– Pracuję dla pieniędzy.

– Pracuję dla wolnej i sprawiedliwej Polski – oznajmił Ziuk, ale wtedy płomień palnika drgnął i musnął bok laski. Piłsudski nie wiedział, czy była to groźba, czy ręce kolejarza zaczęły drżeć, ale na wszelki wypadek doprecyzował swoją deklarację: – Potrzebuję pieniędzy na działalność mojej partii, szkolenie rekruta i opiekę nad rodzinami schwytanych towarzyszy. Ani kopiejki nie wydam na luksusy!

– Wierzę – odparł spokojnie Trudnik. – Jestem przekonany, że wykorzystacie pieniądze z tych dwóch worków z czystym sercem, choć w sposób, który mnie przeraża.

– No powiedz, Polak ty jesteś czy nie?! – krzyknął Ziuk, ale kolejne drgnięcie ręki z palnikiem i kluską zmusiło go do ściszenia głosu. – Jeśli tak ci Moskwa miła, to czemu mnie nie zastrzelisz?

– Gdyż, jak towarzysz już wyłuszczył, na zewnątrz stoi kilkunastu bojowców z bronią. A odpowiadając na pierwsze towarzysza pytanie: to nie jest takie proste. Jestem Polakiem, a to nie znaczy, że takim, jakiego pan sobie wyobraził.

Ziuk, ujęty tym formalnym szacunkiem, nieco rozluźnił chwyt na rękojeści pistoletu i się uśmiechnął. Poczuł, że ów kryzys można rozwiązać bez jednego strzału.

– Jak masz na imię, młody człowieku?

– Bożydar Trudnik.

– Panie Trudnik, ja nie wnikam, w co pan wierzysz. Czyś nasz, czyś pan się zapisał do Ligi, to nie moja sprawa. Jedyne, czego chcę, to zabrać te pieniądze i walczyć dalej. Tak jak umiem, tak jak wierzę, że trzeba. Jak to wszystko padnie, to kiedyś w wolnym kraju spotkamy się przy herbacie i opowiemy o swoich ideach jak starzy przyjaciele. Ale to nie będzie możliwe, jeśli nie odłoży pan tego dynamitu i nie przestanie się wygłupiać!

– A ja mówię, panie Piłsudski, żebyś brał, co już masz, i wiał. Jak będzie dalej, zdecyduje Bóg. – Głos młodzieńca drżał, chyba bardziej z wysiłku niż nerwów, ale akurat wychodziło na to samo, gdyż upuszczony przez zmęczenie palnik zabiłby ich równie łatwo, co tenże sam karbidziak roztrzaskany ze strachu. – Nikt was tutaj nie wyda. Bronik uciekł przed napadem. Pan Andrzej to dobry Polak, nie chce widzieć rodaków na szubienicach. Anton i Smirnoff to Rosjanie, ale przecież nie będą sypać, wiedząc, że my nikogo nie wydaliśmy. Panie z obsługi niczego nie widziały. Kucharze tak samo. Michał Bytka to socjalista, a pan Czechow rozpacza, że mu strzelba nie wypaliła. Pan Woroński chyba nikogo nie rozpozna. Jesteście bezpieczni.

– Pasażerowie nas poznali. Na pewno Walerego, a pewnie też mnie i Reginę.

– Obiecuję, że kiedy przyjdzie co do czego, zapomną – oznajmił Bożydar. – Daję słowo na Matkę Boską z Ostrej Bramy, grób mego ojca i tego Orła… Wie pan, pokazałbym ryngraf z Najświętszą Panienką i Orłem Białym, ale mi trochę rąk brakuje.

– Wierzę – potwierdził spokojnie Józef. – Ale to nie wystarczy. Potrzebujemy tych pieniędzy. Obiecałem wiele rzeczy wielu ludziom. To sprawa honoru. Moim honorem jest obrabować ten pociąg.

– Moim honorem jest bronić tego pociągu. Widzę dwa możliwe kompromisy w tej sytuacji. W przypadku jednego z nich obaj przeżyjemy. Bierze pan te dwa worki i ucieka.

– Coś się pan tak uwziął na bronienie tego kursu. Pańskie pieniądze?

– Bardziej niż pańskie. Płacę podatki – zauważył Trudnik.

– Podatki! To wszystko idzie do Petersburga, karmi smoka. Z tego jest żołd dla żołnierzy, pensja dla urzędników, cała siła Imperium, by gnieść mniejsze narody!

– Rewolucja! Widzę, że pan nie socjalista, ale komunista prawdziwy.

– Co, ja? – syknął autentycznie wściekły Ziuk. – A zobacz pan! – Uderzył cztery razy w burtę.

– Otworzysz pan te drzwi i zginiesz! – zapewnił Bożydar.

Drganie jego dłoni sugerowało, że do śmierci otwarte nie były nawet niezbędne. Ziuk zrozumiał powagę sytuacji i przytrzymał odsuwaną klapę.

– Wszystko w porządku? – rozległ się głos z zewnętrz.

– Kto idiota?

– Ziuk, co… A, komuniści! – odparł bojowiec.

– No widzisz. To nie rewolucja, tylko powrót do sprawiedliwości – wyjaśnił Józef.

– No ładnie – przyznał Bożydar. – Teraz znam hasło i odzew.

– Odpuść pan! Zostaw tę kluskę i rozejdziemy się w pokoju.

– Dwa worki – powtórzył Trudnik. – Mam na utrzymaniu dwie siostry i chorą ciotkę…

– Długo ich nie utrzymasz, jeśli cię ten dynamit rozerwie – wtrącił Józef, ale potem uznał, że lepiej nie przerywać młodzikowi. „Niech mówi. Albo palnik zgaśnie, albo ktoś w końcu zajrzy do wagonu. Tak czy inaczej będzie na moje!" – pomyślał.

– Pracuję na kolei, jeżdżę z kursami petersburskimi, niańczę pasażerów pierwszej klasy. Po nocach czytam, przygotowuję się do gimnazjalnych egzaminów eksternistycznych. Kiedy odłożę trochę grosza, pójdę na politechnikę. Potem zaś będę budował pociągi, tory i mosty. A tacy jak pan będą je wysadzać. Kiedyś historia oceni, kto z nas więcej się do odrodzenia Polski przysłużył.

– Panie, ja popieram edukację młodzieży! Mojego druha, Ignasia, z partyjnej kasy na studia posłaliśmy, a potem on nas bomby robić uczył!

– Kontynuując! – warknął Trudnik. – Ja tu pracuję, a pan przychodzi na gotowe, stąpa po ludzkich planach i marzeniach, jakby to dywan był, a nie kwiaty cudowne. A car się cieszy, bo potem w prasie napiszą, że Polacy to nie koleje, mosty i fabryki budują, ale bomby!

– Panie, to tylko na czas walki. Potem będziemy budować. A teraz dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte jak dzieło tworzenia! – zadeklamował Ziuk.

– No właśnie, ta bomba na szafie pancernej spaliła mój tomik Mickiewicza – przerwał mu Bożydar. – Pożyczyłem go Kostii, jednemu z żandarmów, bo to Polak po matce i chciał poezji naszej poczytać.

Ale Józef już nie słuchał. Wypiął pierś i wziął głęboki wdech, cytując słowa niedawno zasłyszane, dziwne i niepokojące, ale idealnie oddające stan jego ducha.

– To już czas! „W nim to, gdzie wojna świętsza jest niż pokój i gdzie nad miłość nienawiść zachwyca / Zabłysł straszliwy jako sam Duch Święty Orzeł, co bielszy jest niż gołębica"!

– Ładne, ale trochę pan bluźni. Chyba lepiej, aby nas nienawiść nie zachwycała?

– Dobra, ile działki pan chcesz? – zapytał wybity z wieszczowskiego rytmu Ziuk. Na widok grymasu na oświetlonej płomieniem twarzy Bożydara dodał: – Ja tu przed panem serce otwieram, do idei przekonuję, a pan nic! Nie zdobędę pańskiej lojalności słowem, więc chcę ją kupić. Odpalę dziesięć tysięcy z łupu.

– Słono chcesz za mnie zapłacić, panie bojowiec. Ponoć pod Rogowem trzydzieści tysięcy zabraliście, a padło siedmiu żandarmów. Chcesz mnie spłacić ceną życia trzech ludzi?

– Tysiąca! Miliona! Moje życie i śmierć dla narodu! – warknął Ziuk. – Co za ludzie, co za ciemna masa! Naród wspaniały, ale ludzie: kurwy! – Po czym dodał głosem wręcz płaczliwym: – Chłopcze, czy ty nie widzisz, że ja to wszystko robię dla Polaków?

– Ja jestem Polakiem – odparł Bożydar Trudnik. – I jak Polak Polakowi daję panu dwie minuty, bo się zaraz karbid skończy. Więc potem strzelam.

Józef przymknął oczy, znów, aby odgonić drażniącą go poświatę palnika. Potem zaś zaczął ważyć w duszy wszelkie za i przeciw. Na jednej szali położył życie Aleksandry, Walerego, Tomasza, młodego Wojciecha… Następnie zdał sobie sprawę, że cokolwiek położy na drugiej szali, nie będzie to uczciwa wymiana. Zrozumiał, że przegrywa, a w tej chwili słabości uderzy w jego uszy głos Kusiciela.

– Nie strzelę. Bierz pan dwa worki i zmiataj. Zeznam, co trzeba, i będą mieli taki, za przeproszeniem, burdel w papierach, że śledztwo potrwa miesiące. Bierz pan ten worek… No dalej! Ciężki, nie? To złote rubelki. Z tego samego pakunku będzie sto tysięcy, jak nie więcej. A teraz drugi… Tylko musi pan dać mi pistolet.

– Co takiego?! – żachnął się Józef.

– Zabrałem panu klamkę, jak mówią warszawiacy, i wygoniłem z wagonu. Reszta bandy rozpierzchła się w panice po polu, nie wiem dokładnie gdzie.

Piłsudski stał bez ruchu. Nie grał już na zwłokę, tylko rozważał swoje możliwości. Chciał odejść, ale na własnych zasadach. Nie mógł pozwolić,

aby reszta bojowców zobaczyła tę chwilę słabości. Spojrzał na błyszczące ogniem oczy Trudnika, a ten jakby zrozumiał myśli napastnika.

– Ja im nie powiem. A pan?

Wtedy też do umysłu pepeesowca wdarło się wspomnienie sprzed kilkudziesięciu godzin. „Dwa worki weź, nie więcej!" – szeptał w umyśle bojowca świętej pamięci towarzysz Witold. Może był to wymysł fałszywego medium. Ale może nie. „Dwa worki weź, nie więcej! A potem uchodź, nie dowie się nikt" – powtarzało widmo poległego towarzysza. Józef zrozumiał, że z tym głosem nie wygra, gdyż ludzie najbardziej słuchani są dopiero po śmierci, zwłaszcza męczeńskiej.

Z ciężkim sercem położył browninga na rozprutej kasie pancernej. Potem złapał za drugi worek i zrobił krok ku drzwiom. „Głupi, głupi, głupi! Teraz ten chłystek mnie zastrzeli" – pomyślał, ale żaden strzał nie padł.

– A przepraszam, jeszcze jedno – poprosił uprzejmie Trudnik. – Niech pan na chwilę... No, tylko na chwilę, mówię, odłoży jeden worek, sięgnie do kieszeni... Nie, nie tej, nie po mauzera, ale do tej drugiej po gwizdek. I proszę sygnał do odwrotu. Tak na wszelki wypadek, żeby pan nie zmienił zdania.

– Szatanie, myślisz o wszystkim! – zawołał Ziuk, ale wydał sygnał.

– Do zobaczenia, panie Józefie! – krzyknął jeszcze Bożydar, machając na pożegnanie laską dynamitu.

Gdy drzwi wagonu zamknęły się za bojowcem, kolejarz opadł na kolana, potem zaś pochylił się ku podłodze i zaczął wymiotować. Opary karbidu paliły mu gardło.

A towarzysz Ziuk gwizdał na towarzyszy, wydawał komendy, a kiedy był pewien, że ludzie rozpoczęli ewakuację, rzucił jeden worek Waleremu.

– Odbój! Odbój! Ludzie, wiktoria!

Potem zaś ruszył szybkim krokiem ku czekającej przed budynkiem dworca bryczce. Kulił jednak plecy w oczekiwaniu na wystrzeloną z wagonu pocztowego kulę. Ta nigdy nie nadeszła, ale przecież mogła nadejść, nieprawdaż?

Relacja z polskich ziem Imperium Rosyjskiego, część siódma, „Kurier Tokijski”, 18 grudnia 1908 roku

Słyszałem cały ten dialog pomiędzy wodzem bandytów a dzielnym kolejarzem. Porwał mnie ten potok uczuć, patosu i śpiewnej słowiańskiej mowy. Mówili po polsku, więc nie zrozumiałem ani słowa (oprócz jednego: kurwy), ale prawdziwe piękno przekracza bariery narzeczy, ziemskie półkule, a nawet ludzkie rasy. Poznałem, że ci dwaj byli godni szacunku, prawie jakby byli Japończykami.

Wiedziałem, że w każdej chwili grozi mi śmierć, gdyż szybko się domyśliłem, co zamierza zrobić z dynamitem Trudnik Bożydar. Ale nie miało to znaczenia. Dla naszych czytelników doświadczyłem prawdziwej przygody – stanąłem oko w oko z bandytą spod Bezdan. Nasz wywiad powinien nadal roztaczać dyskretne pieczę nad tym interesującym człowiekiem. Wróżę mu wielką i dumną przyszłość, o ile go nie powieszą.

Ale wracając do owej nocy, muszę opowiedzieć jeszcze o jednym epizodzie związanym z napadem. Otóż około drugiej nad ranem nadjechała spóźniona tylko o dwie godziny odsiecz. Rotmistrz Fiodor Waliliowicz Ustanow ruszył z oddziałem Kozaków dońskich, gdy tylko dostrzegł rację alarmową. Po nocy i w błocie ich droga nieco trwała, ale udało się ją pokonać bez strat marszowych.

Imperialna czota wjechała na rynek miasta, z rozpędu aresztowała postrzelonego telegrafistę, który próbował naprawić aparat nadawczy, ale potem przystąpiła do zabezpieczenia terenu. Jako że Ustanow był jedynym obecnym na miejscu oficerem (szybko ustalono zgon porucznika Rżew-

skiego), nie mógł prowadzić pościgu, tylko czekał aż do piątej nad ranem, gdy drezyną przyjechał pierwszy oddział żandarmerii z Wilna.

Przez ten czas rozstawił swoich ludzi po mieście. Żołnierze przeszukali pociąg na wypadek, gdyby co bardziej bezczelni napastnicy kryli się wewnątrz. Znaleźli tylko sześciu skrępowanych żandarmów, przerażonego urzędnika pocztowego oraz ciało porucznika Rżewskiego w przedziale pasażerki pierwszej klasy. Potem odnaleziono także czterech pasażerów na gapę, których prewencyjnie obito i aresztowano. Jeden z nich zapewniał, że nie jest bandytą, ale słyszał, że w napadzie uczestniczyła niejaka Regina Brzeszczot-Lepiszcze. Rotmistrz uznał jednak, że nie może to być prawdziwe nazwisko, więc rozkazał obić podejrzanego raz jeszcze.

Potem zgromadzono co ważniejszych świadków w sali bufetu. Dzielny rotmistrz Ustanow nie był śledczym, nie znał się na robocie policyjnej, a tym bardziej łapaniu terrorystów. Dlatego kazał zgromadzić interesujące go osoby razem i pozwolił, by słyszały swoje zeznania.

Usadził przy stolikach starszego wagonowego Andrzeja Wyklepa, wciąż roztrzęsionego Antoniego Czechowa, kucharzy Antona Volkova i Marka Smirnoffa, pannę Karolinę Schmidt, kucharza Fiodora Żarło, kaprala Michaiła Szostowa i Witalija Worońskiego. Pozostali członkowie załogi pociągu byli zbyt wyczerpani, ranni, spanikowani albo uciekli zbyt daleko, aby ich na szybko szukać. Poza nimi usadzono w bufecie pana Cezarego, pana Dulcjusza, pannę Bertę, siostrę Ambonę, no i mnie. Chciano też przesłuchać panią Eufemię i pana Fidelisa, ale ostatecznie pozwolono im się przebrać i umyć po zbrukaniu czarną polewką.

Od razu dodam, że moich współpasażerów zatrzymano nie tylko ze względu na egzotykę mojej osoby, ale także na książkę siostry Ambony. Rotmistrz przeczytał tytuł i uznał, że skoro to tom o tajnym agencie, zakonnica może mieć coś wspólnego z napadem.

Przyznam, że w dość chaotyczny sposób zaczęliśmy relacjonować niedawne wydarzenia. Oficer i służący za sekretarza wachmistrz bardzo ostrożnie zapisywali wnioski, a i tak musieli bardzo opacznie zrozumieć część naszej relacji.

– Najpierw naczelnik pociągu wyleciał za burtę, do rzeki – opowiadałem.

– Napastnicy go wypchnęli? – zapytał rotmistrz.

Ja, widząc rozpaczliwe gesty Trudnika Bożydara i starszego bagażowego, postanowiłem bronić honoru Bronika Stanisława. Skoro wstawiali się za nim dwaj uczciwi ludzie, którzy swojego przełożonego szczerze nie lubili, widać i mnie to wypadało.

– Dokładnie nie widziałem. Chyba wypchnęli, a może sam wyskoczył, nie chcąc, aby go użyto jako zakładnika – zaproponowałem mało prawdopodobną, ale nie niemożliwą, heroiczną interpretację zachowania skoczka.

– A potem maszynista Witkowski uciekł w las tuż przed stacją?

– Tak, zbiegł z racą, aby wezwać pomoc. Ale tego bezpośrednio nie widziałem.

– To którego terrorystę widział pan twarzą w twarz?

– Ciemno było, to tak dokładnie nikogo nie widziałem – powiedziałem ponaglony kolejnym gestem Trudnika. Młody kolejarz wcale nie zamierzał donosić na rodaków, którzy prawie go zabili. – Poza tym, proszę wybaczyć, dla mnie wszyscy biali ludzie wyglądają tak samo.

– Na pewno odróżnia pan mężczyzn po wąsach! – krzyknął Ustanow.

– Chusty mieli…

– A ty! – Rotmistrz zwrócił się do Trudnika. – Na pewno kogoś rozpoznałeś.

– Nikogo. Twarzą w twarz stałem tylko z jednym, tym wodzem, w wagonie pocztowym. Nie rozpoznam jego twarzy. Oślepiał mnie wtedy blask palnika karbidowego.

– Więc zagroziłeś, chłopcze, że wysadzisz się z całym wagonem, jeśli ten terrorysta nie odwoła akcji? – zapytał podejrzliwie kawalerzysta.

– To był mój obowiązek.

Pan Cezary chciał powiedzieć coś nieprzemyślanego i niesprawiedliwego, ale pan Dulcjusz szepnął mu coś na ucho. Ten się uśmiechnął i spojrzał na wagonowego z uznaniem.

– No dobrze, dobrze… więc ci bojowcy uciekli w popłochu? – zapytał rotmistrz. Przesłuchiwani pokiwali energicznie głowami. – Ale szafa pancerna jest rozpruta i brakuje co najmniej dwóch worków…

– A jaka to różnica? – zapytał z mocą Trudnik. – Ile pieniędzy wiózł transport? Milion? Dwa? Co tam strata stu tysięcy czy nawet dwustu, skoro władza pokazała przestępcom władczą pięść. Ofiara porucznika Rżewskiego nie poszła na marne.

– Niech żyje porucznik Rżewski! – krzyknął pan Dulcjusz, ale zaraz został szturchnięty, jednocześnie przez pana Cezarego i siostrę Ambonę. – To znaczy: chwała porucznikowi Rżewskiemu i wagonowemu Trudnikowi!

– Boże, zachowaj cara! – dodał rotmistrz, ale znacznie cichszy odzew zgromadzonych nie spełnił jego oczekiwań.

– Tak czy inaczej chłopak jest bohaterem – powiedziała panna Berta.

Zauważyłem na twarzy rotmistrza Ustanowa delikatną zmianę. Wciąż krzywił oblicze, ale udawał też uśmiech. Chyba zrozumiał, że dla dobra wszystkich tam obecnych, a zwłaszcza własnego, powinien przedstawiać tę absolutną klęskę jako umiarkowany sukces.

– A co… pan powie? – zapytał oficer teraz już z większym szacunkiem wobec młodzika. – Czy nadal będzie pan bronił tak dzielnie interesów Towarzystwa i Imperium?

– Mam już dość! – odparł z mocą bagażowy. – To dla mnie za dużo. W poniedziałek składam wypowiedzenie, rzucam kolej i zajmę się czymś wymagającym mniej wysiłku. Będę studiował prawo!

Dalsze pytania rotmistrza zagłuszyła fala braw. Potem podpisaliśmy zeznania (niektórzy nawet prawdziwymi nazwiskami) i zostaliśmy skierowani z powrotem do wagonów, aby dospać do rana, kiedy to miała przyjechać zapasowa lokomotywa i ekipa remontowa.

Mogę jeszcze dodać, że rano ekipa remontowa znalazła na torach niezdetonowaną bombę, jeden z robotników zemdlał z wrażenia, a drugi zaczął uciekać, potknął się o szynę, upadł i wybił sobie dwa zęby. Były to jednak już ostatnie ofiary akcji pod Bezdanami, nie licząc kilku przypadków

pośrednich, związanych z nagromadzeniem silnych uczuć, rodzącymi się w wielkim wysileniu psychicznym romansów, a tym samym kilku przekazanych chorób wenerycznych.

Aby dopełnić kronikarskiego obowiązku, mogę dodać, że władze ogłosiły schwytanie wszystkich sprawców, ale jak na razie (pisane w grudniu 1908 roku) chyba nie znaleźli nikogo z grupy towarzysza Z. Ja udałem się jeszcze na kilka dni do Dyneburga, ale szczegóły tej podróży pozostawię już wyłącznie swojej dobrej pamięci. Można więc powiedzieć, że wszyscy żyli długo i szczęśliwie, oczywiście prócz porucznika Rżewskiego, który zginął. Ale taka już kolej jest rzeczy, że nie wszyscy wygrywają.

Co mogę dodać na marginesie, na pewno wygrała tajemnicza Regina Brzeszczot-Lepiszcze, i to można powiedzieć: podwójnie. Uczestniczka akcji jeszcze o tym nie wiedziała owego wieczora, ba!, i ja dowiedziałem się dużo później, ale 26 września Janusz Lepiszcze był już wolny po brawurowej ucieczce z łaźni w cytadeli warszawskiej 25 września. Więźniowi udało się przedostać z pionu łaziennego do magazynów, a potem (choć za wiarygodność tego doniesienia ręczyć głową nie mogę) przedostał się tajnym tunelem pod Wisłą do Fortu Jasińskiego. Jednak moi warszawscy informatorzy podają w wątpliwość nawet istnienie takiego tunelu, uważając, że odpowiedzialni za ucieczkę strażnicy mogli zmyślić ową legendę, aby ukryć swoją niekompetencję. Tak czy inaczej ścigana para ma teraz możliwość połączenia się, choć raczej nie na terenie Imperium Rosyjskiego.

O ile mi wiadomo, kierownik pociągu Bronik Stanisław otrzymał naganę, a potem awansował.

Prace towarzyszy spod Bezdan, część ostania w tej powieści, ale nie ostatnia w ogóle

Ziuk przytroczył swój worek do siodła konia, pogłaskał zwierzę za uchem i wskoczył na grzbiet. Spojrzał jeszcze na Walerego krzątającego się przy wozie, Tomasza dzielącego ludzi na grupy oraz Aleksandra oglądającego opatrunek towarzysza Stefana. Wszyscy skierowali w górę kciuki, niby antyczni cesarze ogłaszający udane igrzyska. A akcja była udana, przynajmniej na razie. Teraz jednak zaczynał się jej drugi etap, może i trudniejszy: rozpaczliwa ucieczka przez niemrawą, ale potężną machiną Ochrany.

– Udało się nam teraz i uda raz jeszcze! – szepnął Józef i pogonił konia.

Czekała go jeszcze bardzo długa droga.

„Wileńskie Wieści Drobne”, 28 września 1908 roku

Redakcja „Wileńskich Wieści Drobnych” oświadcza, że do odwołania nie będzie przyjmowała nekrologów dla „wujków Staszków”. Nie wierzymy, że aż tylu krewnych szanownych czytelników ma na imię Stanisław i że umierają tak masowo w tym miesiącu. Upraszamy o zachowanie powagi wobec majestatu śmierci, żałoby rodzinnej i Urzędu Cenzury, który podejrzewa, że jest to jakiś kod organizacji tajnej.

Jednocześnie składamy serdeczne i najszczersze wyrazy współczucia tym rodzinom, które faktycznie straciły wujów Stanisławów w tym ciężkim czasie.

Szczególne wyrazy współczucia dla: Gustawa, Franciszka, Rafała, Antoniego i Wojciecha.

Sen towarzysza Ziuka

Owej nocy Józefowi nie śniło się absolutnie nic. Ani śmierć w chwale, ani cierpienia młodego rewolucjonisty, ani twarze poległych przyjaciół. W odpoczynku tuliła go cisza, jakby sam Los zdziwił się, że Ziuk przetrwał niechybną zgubę, a potem trzeba się było chwilę zastanowić, co z nim zrobić dalej.

Uprzedzając pytanie, nie zastanawiał się długo.

AP, Rady dla przyjezdnych, część piąta, „Codziennik Wileński”, 28 września 1908 roku

W związku z napływającymi informacjami o wydarzeniach nocy z soboty na niedzielę minionego tygodnia, w imieniu swoim i całej redakcji chciałbym przeprosić za udzielane na wyrost i bez odpowiedniego rozeznania rady dotyczące podróżowania. Jak się okazało, trasa kolejowa z Wilna do Petersburga okazała się mniej bezpieczna, niż można było to wnioskować z naszych relacji. W związku z tym [artykuł skrócony na wniosek Wileńskiego Komitetu Cenzury] pozdrawiam serdecznie. AP.

Akcja pod Bezdanami, posłowie metafizyczne

Jak powiedział kiedyś towarzysz Ziuk, istnieją krainy poza zasięgiem naszych zmysłów i dróg postrzegania, ale przez to nie są ani trochę mniej prawdziwe niż to, czego możemy dotknąć, co możemy poczuć. Zapewne nie chodziło mu owego piątkowego popołudnia wróżb o to samo co nam, ale miał rację. Nasz Wszechświat składa się z niezliczonego mnóstwa swoich wersji różniących się czasem jednym szczegółem, czasem tylko ruchem jednego atomu, który popchnął historię w kierunku zupełnie nieoczekiwanym. Opisując historię pewnego zuchwałego napadu, byliśmy świadkami miriadów takich punktów podziału naszej rzeczywistości. Skupimy się na paru.

W wielu innych wariantach dziejów bandyci spod Bezdan zostali zabici lub schwytani. Ich udział w teatrze dziejów się skończył w nocy z 26 na 27 września 1908 roku. W innych: udało im się zrabować pieniądze, czasem znacznie więcej, ale stało się to za cenę masakry eskorty i śmierci kilkunastu pasażerów. I choć organizacja zebrała pieniądze potrzebne do dalszej działalności, odium rzezi na stacji ciągnęło się za towarzyszem Z do końca życia, torpedując jego kolejne projekty i organizacje niepodległościowe. Jednak zastanawiające mrowie nitek historii przędzie się w podobny sposób: nie dość, że dodając wigoru polskiemu podziemiu, ale jeszcze popychając niezwykłe kariery wielu zaangażowanych w nią osób.

W naszej wersji rzeczywistości czterech uczestników napadu zostało potem premierami: Józef Piłsudski (dwa razy, w latach 1926–1928 i w roku 1930), Walery Sławek (trzy razy: w 1930, od końca 1930 do maja 1931 oraz w 1938), Aleksander Prystor (jeden tylko raz, ale jak długo!, bo w latach 1931–1933) i Tomasz Arciszewski (pechowy premier rządu na uchodźctwie w latach 1944–1947). I można powiedzieć, że to bardzo ciekawy przypadek

kooperacji polityczno-terrorystycznej, dodajmy: bez precedensu na skalę międzynarodową.

Ale w jednej z nitek alternatywnej historii pojawiają się jeszcze piąty premier, a w kilku z nich i szósty. W tym wariancie losu Bożydar Trudnik faktycznie rzucił pracę na kolei i dzięki stypendium zamożnego przedsiębiorcy z Gostynia (na kartach powieści zwanego panem Dulcjuszem, acz mającego zupełnie inne imię i nazwisko) skończył prawo na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim i jeszcze przed wojną zaczął robić karierę jako prawnik reprezentujący poszkodowanych w wypadkach kolejowych. Podczas starcia państw i narodów tułał się po świecie, ostatecznie wrócił do wolnej ojczyzny z Błękitną Armią i zdążył powalczyć przeciw bolszewikom w 1920. Poważnie ranny, w nową dekadę wszedł okaleczony nie mniej niż towarzysz Gustaw, ale szybko zdobył uznanie w palestrze wolnego kraju. W tej nitce losy Polski i świata splątały się jeszcze bardziej, ale trochę szczęśliwiej. Szczęśliwszy był także sam Trudnik.

Gdy Koalicja Środkowoeuropejska broniła się przed drugim najazdem bolszewików w 1942, ówczesny wiceminister sprawiedliwości wzruszył sumienie świata płomiennymi mowami zachęcającymi do pomocy wolnym narodom Międzymorza w powstrzymaniu śmiertelnego zagrożenia. W końcu wrócił do Polski i jako prosty żołnierz wziął udział w Drugiej Bitwie Warszawskiej i kampanii listopadowej. W wyborach 1944 zdobył największą liczbę głosów w okręgu stołecznym, a w 1945 stanął na czele rządu. Jako polski premier prowadził misję pokojową na terenach byłego Związku Sowieckiego i, narażając się kolegom i koleżankom z rodzimej partii, mianował na stanowisko wiceministra sprawiedliwości mecenasa Rafała Lemkina. To właśnie Lemkin reprezentował Polskę w oskarżeniu w procesach petersburskich. Dzięki serdecznej przyjaźni z premierem Cesarstwa Japonii, Kobayashim Osamu, stał się inicjatorem pokoju odeskiego w 1947, a potem jednym z sygnatariuszy Drugiej Ligi Narodów. Kolejny niewiarygodny zbieg okoliczności sprawił, że zmarł na zawał serca 17 września 1962, jadąc pociągiem z Warszawy do Wilna, na tej samej trasie, na której przeżył napad na pociąg w roku 1908.

Opozycja i krytycy często nazywali go „Bagażowym spod Bezdan". Lubił to wyzwisko, gdyż przecież żadna praca nie hańbi, a jeśli się ją wykonuje solidnie, niemal każda jest powodem do dumy.

Tak było w nitce historii, którą roboczo nazwałem „Światem 13 587". W naszym wariancie został zamordowany strzałem w potylicę, najprawdopodobniej 10 kwietnia 1940 w okolicach Katynia.